

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/505

1989



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

P. WANDYCZ: **CZY EMIGRACJA JEST
JESZCZE POTRZEBNA?**

W. LAMENTOWICZ: **DYLEMATY OKRESU
PRZEJŚCIOWEGO**

N. ASCHERSON: **OŚWIĘCIM**

T. JERZ: **NIEDZIELA W OŚWIĘCIMIU**

SPIS RZECZY

Piotr Wandycz:	<i>Czy emigracja jest jeszcze potrzebna?</i> . . .	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	16
Witold Charlamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	30
ARCHIWUM POLITYCZNE		
M.Z.:	<i>Niepełny dialog</i>	53
—	<i>Czy potrzebna jest żelazna ręka?</i>	55
KRAJ		
Wojtek Lamentowicz:	<i>Dylematy okresu przejściowego</i>	60
Ernest Skalski:	<i>Uwagi o końcu świata</i>	68
SPRAWY I TROSKI		
Maria de Hernandez-Paluch:	<i>Les Restaurants du coeur</i>	76
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Neal Ascherson:	<i>Oświęcim</i>	79
Tomasz Jerz:	<i>Niedziela w Oświęcimiu</i>	82
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	91
Antoni Pospieszalski:	<i>Kościół katolicki i białoruskie odrodzenie</i>	98
Józef Darski:	<i>Z lektury czasopism białoruskich</i>	104
Andrzej Vincenz:	<i>Konferencja ukraińistyczna w Neapolu</i>	107
WOLNA TRYBUNA		
Krzysztof Wolicki:	<i>Żydzi, endecy i kardynałowie</i>	109
KRONIKA KULTURALNA		
Piotr Witt:	<i>Wtajemniczenie według Jana Potockiego</i>	114
Andrzej Kempfi:	<i>Jan Czeczot</i>	128
CI, CO ODESZLI		
Marek Nowakowski:	<i>Andrzej</i>	131
Jacek K. Machniewicz:	<i>Roman Palester</i>	134
KSIĄŻKI		
Renata Gorczyńska:	<i>O Leopoldzie Buczkowskim zamiast nekrologu</i>	138
Leszek Szaruga:	<i>Książki najgorsze</i>	145
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	146
•		
—	<i>Humor krajowy (niestety)</i>	157
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz i Kronika kanadyjska</i>	152
•		
A. Albrecht, M. Budny, J. Görlich, H. Kuczyńska, J. Kulczycki, K. Marek, M. Rodowicz, O.M. Stepan, A. Pospieszalski, R. Zimand:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
—	<i>Odpowiedzi redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1989

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów w rocznicę śmierci Zygmunta Hertza — \$100,00	F. 650,00
Jan Holstorp, Clamart (Francja) — na koszty związane z wydawaniem <i>Kultury</i> i <i>Zeszytów Historycznych</i> w Polsce	F. 500,00
Komitet Stot Solidarność, Hvidovre (Dania) — zamiast kwiatów na grób Romany Heltberg, zmarłej w Kopenhadze	F. 173,46
Ela i Jerzy Kowalewscy oraz Maria Włodarska (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób nieodżałowanej Zofii Hoffmannowej, zmarłej w Warszawie w lipcu 1989 r. — Krs 300,00	F. 285,00
B.T. Łaszewski, Nowy Jork, po raz 23-ci — \$50,00	F. 325,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, IL (USA), po raz 13-ty — \$25,00	F. 162,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 43-ci — \$100,00	F. 650,00
Franciszek Socha, Milwaukee, WIS (USA) po raz 2-gi — \$100,00	F. 650,00
Wstrząsnęła mną śmierć Andrzeja J. Chileckiego. Tej straty nie sposób powetować. Brak mi „Kroniki niemieckiej”. Zamiast kwiatów na Jego grób przesyła Jan Deny, Baden Baden (RFN)	F. 1.000,00
Anonimowo, Paryż, po raz 25-ty	F. 320,00
Anonimowo, Paryż — zamiast kwiatów na grób wybitnego socjologa prof. Stefana Nowaka	F. 100,00

DZIĘKUJEMY !

Helena Ejsner, Montreal — zamiast kwiatów na grób Józefa Boronowskiego — na <i>Fundusz „Solidarność”</i> — \$ c.25,00 ...	F. 130,00
Ewa i Zdzisław Lewalscy, Carson City, NV (USA) — odpowiadając na apel Anny Ruszkowskiej-Hartel z Warszawy, na <i>Fundusz „Solidarność”</i> — \$100,00	F. 650,00

Zbigniew Panek, Kolonia (RFN) — na <i>Solidarność Walczącą</i> — DM 20,00	F. 67,00
---	----------

E. Piórkowska, Nowy Jork — w 7-mą rocznicę śmierci Męża, Jerzego Jana Piórkowskiego, zmarłego 1 października 1982 r. — na fundusz pomocy dla walczących w Kraju <i>Żeby Polska była Polską</i> — \$32,00	F. 208,00
Maria Wal, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Polsce (<i>Żeby Polska była Polską</i>), po raz trzeci — \$50,00	F. 325,00

Czy emigracja jest jeszcze potrzebna?

Pytanie to zabrzmia zapewne szokująco dla wielu czytelników *Kultury*. Przyzwyczailiśmy się do emigracji i celowość jej jest rzadko, jeśli w ogóle kwestionowana. Pogląd nasz na kraj też ulega niekiedy skostnieniu. W tych warunkach dramatyczne wybory 4 czerwca i proces przemian w kraju może nie być dostatecznie silnie odebrany. A w kraju stało się niewątpliwie coś, nad czym emigracja nie może przejść do porządku dziennego. W jakimś sensie w Polsce zmieniło się wszystko, a równocześnie nie zmieniło się nic, bo pozostały nietknięte struktury władzy, bezpieczeństwa, wojsko, nomenklatura i — o czym można łatwo zapomnieć — pozostał garb nałogów, przyzwyczajzeń i mentalności, wyrosły przez ostatnich 40 lat i powodujący psychiczne kalectwo narodowe. W tej dziedzinie jest bardzo wiele do zrobienia i wysiłki Kościoła, tak owocne w wielu wypadkach, nie są dotąd w stanie skutecznie przezwyciężyć pijaństwa, kradzieży, aspołecznego kombinatorstwa itp. których przykłady cytowane są stale i wszędzie. Potrzeba odrodzenia narodowego w każdym prawie wymiarze jest ewidentna, aby Polska znów była Polską. I tu powstaje pytanie, jaka rola przypada emigracji w sytuacji, która niewątpliwie nie jest tą samą co poprzednio.

Emigracja polityczna jest zjawiskiem odwiecznym, a dla człowieka z Europy środkowo-wschodniej dobrze znanym. Może pierwszą wielką emigracją polityczną z tego regionu była emigracja czeska po Białej Górze, w połowie siedemnastego wieku. Pomimo zwycięstwa strony, z którą się identyfikowała, emigracja i same Czechy zostały opuszczone przez sojuszników. Brzmi to bardzo znajomo — historia w tym regionie Europy lubi się powtarzać. Pamiętamy wszyscy dzieje Wielkiej Emigracji, jej

wkład w historię Polski, blaski, cienie i „potępieńcze swary”. W okresie niepodległości międzywojennej nie było emigracji politycznej, ale byli emigranci polityczni, że wspomnę tylko Witosa czy Liebermana. Czytając ich wspomnienia, czy listy, możemy sporo się dowiedzieć i nauczyć o stosunkach emigrant-kraj w pierwszej połowie naszego stulecia.

Emigracja wojenna i powojenna była porównywalna z Wielką Emigracją, a ilościowo oczywiście ją przewyższała. Jej założenia i linia polityczna nie wymagają chyba szczególnego przypomnienia, chociaż czas byłby już opracować źródłowo i naukowo choćby pierwszy okres, do 1956 roku, kiedy przeważała koncepcja państwa na obczyźnie. Październik 1956 spowodował rewizję poglądów: uznano ideę pomocniczej roli emigracji wobec kraju i koncepcję ewolucjonizmu, z zachowaniem podziału ról między kraj i emigrację. Ostateczny cel — podmiotowość narodu, niepodległość i demokracja — pozostał niezmienny.

Jak można by określić rolę i charakter polskiej emigracji politycznej w 1989 roku? Po pierwsze, emigracja funkcjonuje jako symbol trwania przy pełnej niepodległości i jako widomy protest przeciwko decyzjom narzuconym Polsce pod koniec drugiej wojny. W tym sensie „zamek” w Londynie, legalizm i ciągłość nie są balastem, ale raczej pewnym atutem, nawet jeśli bardzo skromnym i powodującym czasem wzruszenie ramion. Nie ma powodu go odrzucać. *Secundo*, emigracja polityczna jest łącznikiem w sensie zbiorowym i w sensie pojedynczych emigrantów. Na aspekt ten słusznie kładzie nacisk Jan Nowak w swym wywiadzie pt. „Polski łącznik”, udzielonym *Tygodnikowi Powszechnemu* 9 lipca br. Spróbujmy uściślić to pojęcie. Emigracja jest łącznikiem między krajem a światem zachodnim, lub może lepiej wolnym światem (gdyż obejmuje on również Japonię). Jednocześnie jest łącznikiem między narodem polskim a Polonią. Przez Polonię rozumiem zarówno emigrantów zarobkowych, jak i tych emigrantów politycznych, którzy odeszli od swego pierwotnego statusu i zapuścili korzenie w kraju swego zamieszkania. Oczywiście dotyczy to także ich dzieci czy wnuków (o ile poczuwają się do łączności z ziemią ich przodków) czyli Amerykanów, Kanadyjczyków, Australijczyków etc. polskiego pochodzenia.* Nic lepiej nie ilustruje procesu przechodzenia z Polaków za granicą na cudzoziemców polskiego pochodzenia jak ewolucja Polonii amerykańskiej. Traktowana przed pierwszą wojną jako nieodłączna część narodu — mówiono

* Interesujące rozważania na ten temat w: Tadeusz Lępkowski, „Emigrant i członek Polonii (wokół pojęć i kategorii)”, *Prace XI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Toruniu 1974 r.* (Warszawa 1976), s. 158-176.

nawet o rozdarciu narodu na cztery części, trzy zabory i emigrację — przedstawiciele jej zaskoczyli kierownictwo Naczelni bodajże w latach 30-tych, stwierdzając, iż Polonia w USA jest częścią składową narodu amerykańskiego. Z faktem tym należy się liczyć, dlatego też napisałem powyżej, iż emigracja jest nie tylko łącznikiem między narodem polskim a wolnym światem, ale też między Polską a Polonią. Ta ostatnia, choć ofiarna i przywiązana do starego kraju, nie zawsze rozumie jego problematykę, a w swym postępowaniu kieruje się także interesami swej nowej ojczyzny, nie tylko Polski. Tu dochodzimy do trzeciego aspektu roli emigracji. Roli współuczestnika, katalizatora czy doradcy społeczeństwa w kraju. Żaden z powyższych terminów nie jest precyzyjny, ale nie potrafię znaleźć jednego określenia, którym można by objąć wszystkie te atrybuty.

Oderwana od codziennych trosk i problemów życia w Polsce, emigracja — mam na myśli głównie jej twórczy element — może z oddalenia i perspektywy łatwiej ogarnąć linie rozwojowe. Celnym tego przykładem była publicystyka Juliusza Miroszewskiego w *Kulturze*, pisarza który przebywając poza krajem od 17 września 1939 r. potrafił dojrzeć i zanalizować zjawiska, które umykały uwadze osób tkwiących w polskiej rzeczywistości. Jego i nie tylko jego wpływ na formowanie pewnego „stylu politycznego myślenia” w kręgach krajowych zasługuje na odrębne studium. Weźmy inny przykład. Wchodząc w życie naukowe na Zachodzie, stykamy się na co dzień z inną mentalnością, przewartościowując sądy (na przykład o historii Polski) pod wpływem koncepcji zachodnich, polscy uczeni mogli wносить trwały wkład do polskiej nauki. Nie chodzi tylko o to, że pisali bez cenzury i mogli mówić to, czego nie można było mówić a raczej pisać w kraju, ale także o to, że ich sposób pisania i spojrzenie były inne (zachodnie) i stanowiły odtrutkę na sowietywizowanie polskiej myśli. W tym wypadku też byli „łącznikami” między zagrożoną kulturą polską a zachodnią. Można by to ująć jeszcze inaczej, używając terminu „tłumacz” w odniesieniu do emigracji czy jej poszczególnych jednostek. Rola to niewdzięczna, bo łatwo o niezrozumienie z jednej, czy z drugiej, czy nawet z obu stron. Nie wiadomo też, co czasem jest trudniejsze: tłumaczenie problematyki polskiej na Zachodzie czy zachodniej w Polsce. Okazuje się czasem, że emigrant nie potrafi tego zrobić tak dobrze, jak „tubylec”. Mam na myśli autora historii Polski Normana Daviesa, który umiał spojrzeć i przedstawić dzieje naszego narodu w sposób, który był czytelny i zrozumiały dla Anglosasów, gdyż był pozbawiony kompleksu ambasadora polskośći czy też obrońcy sprawy.

Zachodzi pytanie, czy te trzy role emigracji straciły rację bytu wobec zmian które zaszły w Polsce i miejmy nadzieję,

będą postępowały dalej. Niżej podpisany spróbował postawić ten temat pod rozważę w artykule pt. „Emigracja a Kraj” (*Tygodnik Powszechny*, 2 lipca br.). Artykuł miał głównie charakter wstępu historycznego, a adresatem był zasadniczo czytelnik w kraju. W tygodniowym *Przeglądzie Polskim*, będącym dodatkiem do *Nowego Dziennika*, Jan Nowak ogłosił pierwszą część opracowania pt. „Kraj i emigracja w obliczu nowej sytuacji”. Jak rozumiem, główną tezę tego ważnego artykułu, w którym autor przypomina doświadczenia Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy, którą kierował, jest stwierdzenie, iż musimy „pomagać w stwarzaniu faktów dokonanych i nieodwracalnych” w kraju. I zauważa słusznie: „Nasze możliwości docierania do społeczeństwa w kraju nigdy nie były tak wielkie jak dziś. Chodzi o to, by umieć je wykorzystać”. Słowa te mógłbym potraktować jako motto dalszej części mego artykułu, który zawierać będzie pewną ilość tez czy propozycji konkretnego działania.

Pierwotny cel emigracji, niepodległość i demokracja, jest nadal aktualny, z tym, że cel ten głosi również oficjalna opozycja. „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie”, śpiewa się w katedrze warszawskiej po mszy celebrowanej przez prymasa. Podział ról między emigracją (czynna akcja niepodległościowa) a krajem (przetrwanie narodowe) ma dziś inny charakter, gdy okazało się, że w kraju można prowadzić czynną akcję niepodległościową w różnych stopniach natężenia i na różnych płaszczyznach. Czy oznacza to, że należy odrzucić samą zasadę podziału ról i prowadzić do zacierania istniejących różnic w postawach, strategii i taktyce? Nie, chociaż sprawa nie jest prosta. Z jednej strony opowiadam się za tezą, że istnieje tylko jedna kultura polska i że polscy pisarze, artyści i uczeni, którzy identyfikują się z polskością, są częścią narodu bez względu na to, czy mieszkają nad Wisłą, Sekwaną, Tamizą czy Pacyfikiem, a nawet bez względu na paszporty, jakie posiadają. Z drugiej strony musimy uznać fakt, że perspektywa z jaką patrzą oni na procesy zachodzące w kraju oraz ich wieloletnia znajomość Zachodu i doświadczenia z tym związane ustawiają ich w nieco innej kategorii od stałych mieszkańców kraju. Powyżej wzmiankowane role łącznika i katalizatora oraz w jakiejś mierze symbolu nie tracą na aktualności, a jedynie zmieniają charakter. Mam tu na myśli możliwość zaangażowania i współpracy z krajem na różnych szczeblach i w różnych dziedzinach. Postawa czystej negacji wobec ustroju i władz będzie trudna do utrzymania w tej formie, jaka istniała do tej pory. Czyż senat w 99 procentach solidarnościowy nie jest instytucją państwową? Czyż nie są instytucjami wbudowanymi w istniejący reżym wy dawnictwa, czy w jakimś stopniu placówki naukowe? Podział na białe i czarne, czy jeśli ktoś woli białe i czerwone, nie jest tak ewidentny we

wszystkich dziedzinach, chodzi więc tylko o to, aby w zmieniającej się sytuacji — a należy też pamiętać o jej płynności i możliwości regresu — współpraca z krajem odbywała się w sposób przynoszący maksimum pożytku Polsce. Sztywne formułki mogą tutaj zawodzić, ale chciałbym odwołać się do autorytetu Jana Pawła II i przypomnieć jego zdanie w encyklice *Sollicitudo Rei Socialis*. Brzmi ono: „Każdy kraj winien odkryć i jak najlepiej wykorzystać przestrzeń własnej wolności”. Naszą rolą, jak ją widzę, jest współdziałanie w tym procesie. Co oznacza to w praktyce? Spójrzmy na trzy dziedziny, polityczną, gospodarczą i kulturalną, i spróbujmy naszkicować ramowy program działań.

Zaczynając od polityki: jakie formy przyjąć może współpraca z Solidarnością, rozumianą w najszerszym tego słowa sensie jako ruch polityczny, a nie tylko jako związek zawodowy? Dobrym przykładem poparcia jej działań była misja Bolesława Wierzbiańskiego, wysłanego jako obserwator Kongresu Polonii Amerykańskiej w czasie ostatniej fazy obrad okrągłego stołu. Dla Wałęsy i jego drużyny istotne było wówczas moralne i materialne poparcie ze strony Polonii, a nie było sprawą przypadku, że łącznikiem był właśnie Wierzbiański, emigrant polityczny i jeden z założycieli NiD-u. Jego organ *Nowy Dziennik* stał się katalizatorem akcji mobilizującej emigrację do poparcia kandydatów solidarnościowych poprzez głosowanie i zbiórkę funduszy na cele wyborcze. Mniej głośnie, ale skuteczne w swoim rodzaju są działania typu pośredniczącego ze strony przodujących działaczy emigracyjnych w Waszyngtonie (ułatwienia kontaktów przywódcom Solidarności w ich wizytach w USA jak i naświetlanie wydarzeń zachodzących w kraju na użytek Białego Domu i Departamentu Stanu). W tym wypadku wiarygodność i ekspertyza Polaków w USA wzmacnia poczynania Solidarności. Szczególną pozycję zajmuje tutaj Zbigniew Brzeziński, którego nie można uważać (i on sam się nie uważa) za polityka emigracyjnego, ale który jako wybitny Amerykanin polskiego pochodzenia spełnia doniosłą rolę w trójkącie USA-emigracja-kraj.

Polityczne zaangażowanie emigracji w sprawy krajowe, choćby w obecnej formie popierania Solidarności, nie jest jednakże wolne od różnych „ale”. Nawet w okresie wyborów istniała w kraju tendencja do bojkotowania ich względnie uczestnictwa w wyborach poza „drużyną” Wałęsy. Ogólnie biorąc emigracja polityczna poparła linię Wałęsy, ale wysuwano również szereg krytyk i zastrzeżeń pod jego adresem. Możliwość przetrwania się Solidarności w szereg ugrupowań politycznych jeszcze bardziej utrudni zastosowanie w praktyce założenia, iż emigracja powinna wspierać działania niepodległościowo-demokratyczne. Aktualnym stanie się pytanie „które”, jeśli będzie ich więcej. Na przykład doświadczenia z pierwszej wojny światowej i

zacięte walki zwolenników koncepcji Piłsudskiego i Dmowskiego przeniesione na teren USA stanowią poważne ostrzeżenie. A co będzie dalej, jeśli Solidarność obejmie rządu w układzie, który nie da się określić jako realizacja ostatecznego celu — pełnej niepodległości i demokracji? Czy „niezlomność” emigracji stanie na przeszkodzie udzieleniu kredytu zaufania i pomocy rządowi idącym etapami i stosującym elastyczną taktykę? A może emigracja winna dystansować się od bieżącej taktyki i strategii, koncentrując się na pracach koncepcyjno-ideowych i włączeniu się do tego typu prac w kraju, bądź grupowo, bądź indywidualnie? Na pytania takie trzeba wypracować odpowiedzi, biorąc pod uwagę możliwe rozmaite warianty.

Jeśli obecne procesy w kraju rozwiną się pomyślnie, możemy być świadkami usamodzielnienia się polskiej polityki zagranicznej, będącej przez tyle lat jedynie odbłaskiem dyplomacji Kremla. Nie wydaje się, aby w przeszłości wiele zrobiono, aby przygotować po temu teoretyczny grunt. Obecnie jednak mamy do czynienia z wyraźnym zaktywizowaniem się ośrodków niezależnych, które mogą odegrać poważną rolę jako centra badań i dyskusji. Mam na myśli konwersatorium „Polska w Europie”, które wspólnie z krakowskim „Znakiem” zorganizowało znaczącą konferencję na temat „Europa środkowa: iluzja czy szansa”. Zgromadziła ona szereg wybitnych politologów, publicystów, polityków, historyków, że wymienię tylko Timothy Garton Asha z Oxfordu, Pierre Hassnera z Paryża, Erharda Buska (obecny austriacki minister oświaty), György Konrada i Csaba Kisa z Budapesztu, Jewgenija Ambarcumowa i Marię Pawłową-Silwanską z Moskwy, a z emigracji Antonina Liehma, Leopolda Ungera, Adama Zagajewskiego, Andrzeja Kawczaka z Kongresu Polonii Kanadyjskiej, niżej podpisanego i innych.

Lista krajowców obejmowała śmietankę intelektualną Polski. Poza organizatorami, Zygmuntem Skórzyńskim i Stefanem Wilkanowiczem, którym sekundowali Artur Hajnicz i Henryk Woźniakowski, przemawiali Jacek Woźniakowski, ks. Józef Tischner, Kazimierz Dziewanowski, Andrzej Krasiński, Stefan Bratkowski, Jerzy Kłoczowski, Jerzy Holzer, Andrzej Ajnenkiel (obecny prezes Pol. Tow. Historycznego), Halina Bortnowska i inni. Na jednej sesji był obecny abp Stroba; konferencję odwiedzili też Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Ten ostatni zaimprovizował bardzo interesujące i wyważone przemówienie polityczne.

Inicjatywy tego rodzaju oraz dalszy rozwój konwersatorium „Polska w Europie”, widzianego jako forum wymiany myśli i koncepcji, w którym to dialogu emigracja powinna uczestniczyć, są godne poparcia. Zagadnienia takie jak Niemcy są obiektem badań szeregu osób na emigracji, które mogłyby wnieść swój

dorobek do dyskusji. O ile wiem, jeden z wybitnych emigrantów w Paryżu był częstym informatorem Prymasa Wyszyńskiego odnośnie tematyki niemieckiej. Grupy robocze polsko-czechosłowackie, jak na przykład ośrodek który wydawał w swoim czasie w N. Jorku periodyk *Central European Federalist*, nie powinny zapaść się w niepamięć, gdy podejmowane są rozmowy polskiej opozycji z przedstawicielami Karty 77, jak to miało miejsce podczas niedawnej wizyty Michnika w Pradze. Kontakty tego typu też już mają swą lokalną historię. W takich dziedzinach jak dialog polsko-litewski włączenie się emigracji jest również celowe. Wypowiedzi Miłosza i Venclowy, m.in. na łamach *Kultury*, są tego dobrym przykładem. Nie należy też zaniedbywać zagadnień białoruskich i ukraińskich. W kraju są widoczne próby nawiązywania kontaktów i wymiany poglądów między znaczącymi jednostkami; może emigracja mogłaby wspólnie z ekspertami krajowymi przeprowadzić raz jeszcze dyskusję na temat polityki wschodniej Polski, dziś i jutro. Poza wszystkim innym istotne jest formowanie czy przekształcanie opinii publicznej i odchodzenie od jałowych sporów. Chyba zbyt wiele osób wciąż jeszcze uważa, że nienaruszalność zachodnich granic na Odrze i Nysie nie łączy się ze *status quo* na wschodzie. Kto uważa inaczej, jest kapitulantem, który chce oddać Lwów i Wilno. Patriotyzm regionalny jest piękną rzeczą, ale niech mi będzie wolno przytoczyć słowa Erazma Piltza, pierwszego posła R.P. w Czechosłowacji, który nawołując do przewyciężenia konfliktu cieszyńskiego pisał: „Są u nas ludzie i grupy, które wciąż wracają, niby owe dawne królewęża Rzeczypospolitej, do swojego zdania, że naprzód idą lokalne i terytorialne interesy, a potem sprawa polska... Polityka polska nie może, w przekonaniu moim, polegać dalej na *sumowaniu* interesów lokalnych, znaleźć ona musi wreszcie swoją syntezę”.*

Federalizm Piłsudskiego oraz jego dwa kanony sojuszków i równowagi należą już do przeszłości. Trzeba zacząć myśleć kategoriami włączania się do nowopowstającej Europy, która formalnie zacznie funkcjonować w 1992 r. Czy Polska i Europa środkowo-wschodnia znajdą się wobec niej w sytuacji gospodarczej przypominającej stosunek Meksyk-Stany Zjednoczone, czy potrafią wspólnie z sąsiadami wypracować inne relacje? Nie można wykluczyć wariantu, według którego zjednoczone Niemcy i ZSSR roztoczą coś w rodzaju condominium nad Polską i resztą regionu; Niemcy w sensie gospodarczym, Rosja polityczno-strategicznym, zakładając nawet, że Polska będzie miała dużą swobodę wewnętrzną. Badania futurystyczne mogą być niewdzięczną pracą, bo przyszłość przynosi często niespodzianki,

* Cytowane w P. Wandycz, *Polska i zagranica* (Paryż, 1986) s. 47.

ale nie można ich poniechać. W takich dziedzinach politycznie neutralnych jak ekologia i ochrona środowiska wiele jest do zrobienia.

Wkład emigracji w wysiłki mające na celu gospodarczą sanację kraju jest niezwykle ważny. Nie może się ograniczać jedynie do akcji charytatywnej z jednej, a działań spółek o mieszanym kapitale (nieraz o charakterze rabunkowym) z drugiej strony. Wielu polskich ekonomistów na Zachodzie, zajmujących się tematyką krajową lub specjalizujących się w dziedzinach szczególnie istotnych dla kraju — na przykład kształcenie menadżerów — mogłoby oddać różne usługi Polsce. W indywidualnych i konkretnych wypadkach zresztą to robią, współpracując, często na zasadzie osobistych znajomości, z kolegami ekonomistami z Solidarności. Znakę lepiej od krajowców zachodni styl myślenia i typ argumentacji, która może być skuteczna, mogą oni spełniać rolę łączników i doradców. Niezależnie od tego polskie *pressure groups* na Zachodzie winny prowadzić zorganizowaną i zsynchronizowaną akcję pomocy dla Polski ze strony wielkiej siódemki. Aby akcje tego typu były skuteczne, należałoby informować główne organizacje polonijne i prasę, jakiego typu pomoc jest pożądana, a jaka nie jest. Odstraszające przykłady miliardów zmarnowanych w okresie gierkowskim działań niewątpliwie hamujące na rządy i inwestorów zagranicznych. Zbyt mało jednak, jak dotąd, powiedziano, jaką pomoc gospodarczą (poza obniżeniem kosztów obsługi długów, ulg dla handlu i pewnych kredytów) należy szczególnie popierać. Widzę tu wdzięczne pole dla ekonomistów krajowych i emigracyjnych, wspólnie uświadamiających Polonię i poprzez nią opinię publiczną Zachodu. Niewątpliwie te sugestie są dalekie od wyczerpania tematyki gospodarczej, ale nie będąc ekonomistą, ograniczę się do tych bardzo ogólnikowych uwag i dezyderatów.

Największe możliwości współdziałania i współpracy widziałbym w dziedzinie kultury, w której zresztą zrobiono chyba jak dotąd najwięcej. Bariery mające izolować kraj od naturalnych i tradycyjnych inspiracji ogólnoeuropejskich funkcjonowały właściwie tylko w erze stalinowskiej. Od tego czasu władze trwały na straconych pozycjach, choć nadal wyrządzały poważne szkody kulturze polskiej. Sztuczne przedziały między krajem a emigracją nie mogły przetrwać a polityka cenzury, konfiskat na granicy i prohibitorów w bibliotekach była tylko półśrodkiem, choć nieraz bardzo uciążliwym dla tych, którzy padali jej ofiarą. Sowietyzacja kultury była zjawiskiem głębszym i niebezpieczniejszym, zwłaszcza, że społeczeństwo nie zdawało sobie z tego w pełni sprawy. Pewne nawyki myślenia wytwarzały się przez czterdzieści lat (okres dłuższy niż przeciętne pokolenie) od których nie łatwo odejść. Zwrócił na to uwagę dowcipnie Czesław Bielecki

na Forum Kultury w Warszawie, mówiąc, że komunizm to taki system, o którym się nawet nie wie, że wciąż istnieje.

Manipulacja kulturą stanowiła bardzo istotną broń systemu. Nawet dziś, gdy nastąpił pełny odwrót, gdy sklepy roją się od podobizn Piłsudskiego, orkiestry grają Pierwszą Brygadę, a telewizja nadaje kroniki filmowe P.A.T.-a z lat trzydziestych, trudno się oprzeć pewnym podejrzeniom, że chodzi tu o kooptację, o legitymizację, o zatarcie rozbieżności pomiędzy „ich” a „naszymi” symbolami. Orzeł w koronie i dopisywane „im. Józefa Piłsudskiego” do Uniwersytetu Warszawskiego, oto nieliczne już tylko „nasze” symbole. W chwili obecnej nie przypisywałbym jednak zasadniczej roli próbom manipulacyjnym, czy to w wyższej wymienionych wypadkach, czy to w wywoływaniu ducha skrajnego nacjonalizmu czy szowinizmu. Wiadomo, że hasła antyukraińskie czy antyżydowskie nie zmniejszyły ilości głosów oddanych w wyborach na kandydatów Solidarności nie mających „czysto polskiej” proweniencji. Osobiście dziwi mnie, że nie spotkałem się nigdy z refleksją, że jeśli Polska będzie kiedyś dostatecznie wolna, aby wejść w ramy zjednoczonej Europy, to skończy się etniczna jednolitość kraju. Znow pojawiają się mniejszości, jak *gastarbeiterzy* w Niemczech czy Algierczycy we Francji albo nawet spore zastępy etnicznie obcych w tak jednolitych krajach jak Szwecja. Chyba warto o tym pomyśleć na serio, wychowując polską młodzież w duchu pluralizmu, a nie *Mysli nowoczesnego Polaka*.

Współdziałanie na płaszczyźnie literatury między pisarzami krajowymi a emigracyjnymi było początkowo zjawiskiem jednokierunkowym: wydawano dzieła na Zachodzie pod pseudonimami. Wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu odegrały tu rolę pionierską. Obecnie mamy szereg domów wydawniczych i wielu, aby nie powiedzieć większość, autorów drukowanych na emigracji książek mieszka w kraju. Znam wszakże tylko jeden wypadek wydawnictwa, mającego mieszany emigracyjno-krajowy komitet wydawniczy, a mianowicie tak zwaną niebieską serię paryskiej Libelli pt. „Historia i teraźniejszość”. Rzym za pontyfikatu Jana Pawła II zdawał się być idealnym forum do współdziałania Polaków z kraju i na emigracji. Dawał to do zrozumienia sam papież. Spotkanie robocze Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej w 1981 r. odbywało się na tych zasadach (*nota bene* obecność Polaków z emigracji pominął J.J. Szczepański w opisie tego spotkania w *Kadencji*, s. 74-75) w późniejszej reorganizacji Instytutu ideę tę właściwie porzucono. Wśród instytutów naukowych istniejących na emigracji istnieje też duża rozpiętość pod tym względem. Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku ma członków korespondentów krajowych i zarząd jego przeszedł w dużej mierze w ręce młodej wiekiem i

stażem emigracji. W Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu, o ile mi wiadomo, mamy sytuację odwrotną i „stara” emigracja utrzymuje monopol. W ulotce zachwalającej piękno położenia Biblioteki Polskiej na Ile St. Louis biblioteka nazwana jest „twierdzą”, co nasuwa niezbyt fortunne skojarzenia z oblężonym Zbarażem i Okopami św. Trójcy. Jeśli chodzi o nagrody, to zarówno Fundacja Alfreda Jurzykowskiego, jak na mniejszą skalę i sporadycznie Instytut Piłsudskiego i inne rozdają nagrody kierując się kryteriami ideowo-naukowymi, między krajowców i emigrantów.

Stypendyści polscy w USA są finansowani bądź przez Fundację Kościuszkowską i inne polskie instytucje, bądź (na większą skalę) przez instytucje amerykańskie. W Anglii akcje tego typu w Oxfordzie rozpoczęły się w okresie Solidarności i rozwinęły głównie dzięki funduszom niepolskim. Powstała natomiast Fundacja Batorego, w której Zbigniew Pełczyński z Oxfordu odgrywa czołową rolę. Jest to fundacja, w której skład wchodzi uczeni z kraju i z Zachodu. Oczywiście lista tego typu fundacji na terenie Europy (Lanckorońskich, Kościelskich etc.) jest o wiele dłuższa, ale jej analiza z punktu widzenia współpracy kraj-emigracja przekraczałaby ramy tego artykułu.

Nawet z powyższych uwag wynika jasno, że działalność kulturalna była zawsze pokazna i stale się zwiększała. W sytuacji obecnej podstawową zmianę stanowi możliwość swobodnego publikowania w kraju, i to takich zakazanych niegdyś pozycji jak Czapskiego, Jędrzejewicza, Zawodnego, że wspomnę tylko kilka nazwisk. W tych warunkach punkt ciężkości publikacji emigracyjnych w kraju przeniesie się zapewne, jeśli już się nie przeniósł, z publikacji drugiego obiegu do wydawnictw legalnych. Czy w tej dziedzinie należy przyjąć postawę *laissez-faire*, czy też zastanowić się nad celowością drukowania książek w kraju i przez kogo? Samo publikowanie w kraju, zakładając, że działalność cenzury będzie ograniczona do zupełnego minimum, uważam obecnie za wskazane. Ten punkt widzenia stoi w sprzeczności z uchwałami Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, ale mam nadzieję, że uchwały te ulegną (lub już uległy) zmianie. Nie jest natomiast rzeczą obojętną, kto wydaje książki emigracyjne, czerpiąc z tego pewne materialne korzyści. Tu wydaje mi się, że pewne względy ideowe powinny odgrywać jakąś rolę. Wydawnictwa takie jak katolicki „Znak” czy niezależna „Res Publica” zasługują szczególnie na poparcie, nawet jeśli mają nakłady mniejsze i możliwość kolportażu bardziej ograniczoną niż duże domy wydawnicze. Z drugiej strony należy być ostrożnym wobec powstających jak grzyby po deszczu różnych małych wydawnictw. A nuż niektóre z nich to prywatna inicjatywa nomenklatury lub przybudówki do różnych wiadomych urzędów?

Zasilanie ich kas nie leży z pewnością w interesie narodowym.

Możliwości współpracy naukowej wydają się szczególnie poważne w dziedzinie archiwalnej. Straty polskich archiwów podczas drugiej wojny są dostatecznie znane, abym nie musiał ich przypominać. Obawy przed powtórzeniem się tragedii archiwum rapperswilskiego, które spłonęło podczas Powstania Warszawskiego — abstrahując już od wykorzystywania archiwów do celów politycznych — powstrzymywały wielu przed przekazywaniem papierów do Polski. Tak jak sprawy stoją, ogromne archiwa Instytutu Piłsudskiego w New Yorku, polskie archiwalia w Instytucie Hoovera i archiwa Instytutu Sikorskiego w Londynie pozostają poza krajem i są dostępne jedynie przyjezdnym. Czy nie należałoby się poważnie zastanowić nad akcją mikrofilmowania tych wszystkich zbiorów (niektóre części istnieją już w mikrofilmach) i przekazywania tychże do Archiwum Akt Nowych w Warszawie? W zamian za to przekazano by równie dużą ilość mikrofilmów z Polski do naszych bibliotek za granicami. Niezależnie od kwestii łatwiejszego korzystania z tych materiałów, operacja taka zabezpieczałaby najistotniejsze polskie archiwa przez fakt, że istniałyby duplikaty w dwóch miejscach na świecie.

W niektórych wypadkach byłbym za przekazaniem archiwów do kraju nawet bez robienia mikrofilmów, o ile by nie było na to środków. Tak na przykład Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku ma w swych zbiorach tzw. materiały łańcuckie, głównie inwentarze i materiały dotyczące gospodarki z ostatnich kilku wieków. Jest rzeczą nader wątpliwą, aby ktokolwiek w USA nad nimi pracował — miejsce ich jest w archiwum zamkowym w Łańcucie.

Wydawnictwa źródeł do dziejów Drugiej Rzeczypospolitej, zwłaszcza polityki zagranicznej, są dopiero w stadium początkowym. Mam tu na myśli wielotomową publikację seryjną na wzór *Documents on British Foreign Policy, Documents diplomatiques français, czy Akten zur deutschen Auswärtigen Politik*. Istniejące *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich* nasuwają szereg zastrzeżeń, rzucających cień na całą publikację. Z nowszych prób w kraju należy ocenić wydanie selekcji dokumentów *Powstanie II Rzeczypospolitej* (1981), a zwłaszcza 1 tomu *Dokumentów z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918-1939* pod red. T. Jędruszczaka i M. Nowak-Kielbikowej, który ukazał się w tym roku. Ale jak długo czekał on na zielone światło i ile trudności musiano pokonywać! Miejmy nadzieję, że tom drugi ukaże się dużo prędzej. Są to jednak, jakkolwiek niezmiernie cenne, ale dopiero osiągnięcia wstępne. Wydanie, powiedzmy, 20-tomowej serii dokumentów polskiej polityki zagranicznej przekraczałoby zapewne możliwości finansowe i

techniczne zarówno oddzielnie kraju jak emigracji, ale nie ich połączonych wysiłków. Archiwa, jak już wspomniałem, są rozrzucone po całym świecie, co wymagałoby powołania zespołów badaczy w różnych krajach. Koszta wydawnicze byłyby z pewnością najniższe w kraju, pod warunkiem że zebraloby się pewne fundusze za granicami. Oczywiście tego typu ambitne zamierzenie trwałoby lata i jego realizacja w polskich zmiennych układach nie byłaby łatwa. Ale tym bardziej planowanie i przygotowanie już teraz projektów nie byłoby absolutnie przedwczesne.

Niewątpliwie konferencje naukowe czy kulturalne stanowią ważną platformę współpracy. Rozróżnić jednak musimy między typami konferencji i możliwościami uczestnictwa w nich naukowców czy intelektualistów emigracyjnych. Czas i kosztta przejazdu sprawiają, iż łatwiej jest emigrantom z Anglii czy Francji brać udział w imprezach urządzanych w Polsce niż dajmy na to mieszkańcom USA czy Australii. Czy ważniejsze jest uczestnictwo w konferencjach międzynarodowych, czy wyłącznie polskich, jak na przykład zjazdy historyków? Zależy to bardzo od charakteru konferencji i tego, co emigracyjny gość może do niej wnieść przez swój udział. W tym kontekście należy zwrócić szczególną uwagę na konferencje urządzone przez Towarzystwo „Polonia”, mające za zadanie łączność z wychodźstwem i emigracją, czy ostatnio z Polakami nie podpadającymi pod żadną z tych kategorii, a mianowicie Polakami obywatelami ZSSR. Towarzystwo „Polonia” miało jak dotąd wyraźnie rządowy czy na wpół rządowy charakter i organizowane przezeń zjazdy miały wydźwięk propagandowy, czy organizatorzy tego chcieli czy nie. Również konferencje uczonych polskiego pochodzenia nie mogły się ustrzec przed pewnym dyskontowaniem tych spotkań przez reżym. Awanse Towarzystwa pod adresem emigracyjnych czy polonijnych instytucji naukowych czy kulturalnych spotykały się z różnymi reakcjami — od chęci współdziałania po zupełną odmowę. Najszluszniejsza chyba była postawa, że uczestnictwo indywidualne jest sprawą osobistą, natomiast firmowanie konferencji, których organizację, program czy miejsce ustalano bez możliwości jakiegokolwiek wpływu ze strony instytucji zapraszanej nie jest właściwe ani pożądane.

Według wiadomości prasowych z lipca Rada Naczelna Towarzystwa „Polonia” odbyła ostatnio zebranie, na którym przyjęła uchwałę zapowiadającą zmiany w charakterze i strukturze tej organizacji. Podkreślając, iż program Towarzystwa winien służyć „nadrzędnym, ponadustrojowym interesom Polski, Polaków i Polonii świata”, Towarzystwo opowiedziało się za podjęciem wspólnych działań z przedstawicielami Kościołów, opozycji, środowisk niezależnych i wszystkich ugrupowań emigracyjnych. Brzmi to pięknie, należy jednak zobaczyć, co będzie oznaczać w praktyce.

Na zakończenie jeszcze kilka refleksji. Wydaje mi się, że poza osobami czy zespołami, które uważnie śledzą rozwój sytuacji w kraju, są dobrze poinformowane i mają własną orientację, dość dużo osób na emigracji obraca się w kręgu wyświechtanych sloganów lub sceptycyzmu do wszystkiego i do wszystkich. Niewątpliwie obraz obecnej Polski, a co za tym idzie stan stosunków emigracyjno-krajowych nie może już być malowany w biało-czarnej tonacji. Występują zjawiska o wiele bardziej złożone i wymagające wielobarwnej palety i gamy odcieni. Brak dobrego rozeznania, powiedziałbym nawet wycucia realiów może wyrządzić dziś sporo szkody. Wspomniałem już o tym, że nie każdy wydawca w kraju może być godny poparcia. Podobnie wywiady w pismach i telewizji czy radio mogą ukazywać się, przez niedopatrzenie czy nieznajomość rzeczy, w niewłaściwych organach, lub stwarzać wręcz mylące wrażenie. Wolę unikać cytowania konkretnych przykładów, ale moje uwagi są oparte na faktach.

Kraj jest obecnie w stanie fluktuacji, ewolucji, przemian, którym towarzyszą wstrząsy, a grożą różne niebezpieczeństwa. Toczą się gry i rozgrywki nieraz bardzo misterne, których na odległość nie sposób w pełni czy na czas zgłębić. Tak więc przy całym zaangażowaniu się w proces przemian, emigracja winna działać ostrożnie i z pełnym poczuciem odpowiedzialności. W powyższych uwagach starałem się przedstawić skrótowo tę bardzo złożoną tematykę. Dając zarys, wysuwałem pewne propozycje i stawiałem pytania. Od gruntownego przestudiowania całości zagadnień, wyciągnięcia właściwych wniosków i wprowadzania w życie jakiejś konkretnej linii zależeć będzie, czy emigracja będzie mogła wykorzystać chwilę obecną i spełnić swoje zadania, czy też nie. Jeśli te uwagi przyczynią się do szerszej dyskusji, cel ich będzie osiągnięty.

Piotr WANDYCZ

Dziennik pisany nocą

Viterbo, 12 lipca 1989

Siedzę na Placu Świętego Wawrzyńca i przeglądam książkę o Viterbo, „antycznej rezydencji papieskiej”. Przedemną Katedra, na prawo od niej Pałac Papieży z ładną, lekką, koronkową loggią, której kolumny obramowują pejzaż na horyzoncie w kilku podłużnych widokówkach.

Pałac Papieży zapisał się w dziejach jako widownia skutecznego „nacisku społecznego”, podyktowanego przez wzbierające „zniecierpliwienie społeczne”. Kazał go zbudować w roku 1267 „kapitan ludowy” Raniero Gatti, aby upodobanie papieży do częstych pobytów w Viterbo znalazło godną oprawę architektoniczną. Pierwszym rezydentem Pałacu był Klemens IV, zmarły tam w rok po przyjeździe. Święte Kolegium Kardynałów postanowiło w Viterbo, w Pałacu Papieży właśnie, wybrać jego następcę. Stanęły naprzeciw siebie dwa obozy: filoandegawęński, który wysunął kandydata francuskiego; filocesarski, skupiony wokół kandydata włoskiego. „Stanęły naprzeciw siebie” nie jest określeniem ścisłym, bo członkowie Świętego Kolegium zasiedli przy „okrągłym stole” dla złagodzenia różnic między wrogimi obozami. Choć na oko złagodzone, pogłębiały się z każdym dniem bardziej, zamieniając „okrągły stół” w pole gwałtownych utarczek. Minął rok, minęły dwa lata, a wciąż nie widać było światła *habemus papam* w ciemnym, długim tunelu *sede vacante*. Mieszkańcy Viterbo pomrukiwali gniewnie, „kapitan ludowy” wpadł więc na pomysł wywarcia nacisku na skaczących sobie do oczu elektorów. Wydał mianowicie polecenie zamknięcia Pałacu Papieży na klucz (*cum clave*, stąd późniejsza nazwa *conclave*) i oprzytomnienia kardynałów głodem, nakazawszy ograniczyć dostawę żywności dla nich do suchego chleba i wody. Gdy i to

nie przygasiło świętego zaciętrzewienia, wykorzystał nadejście pory deszczowej i wysłał robotników dla zdjęcia dachu nad Pałacem Papieży. Strugi wody z niemiłosiernego nieba zrobiły swoje, ostudziły i otrzeźwiły natychmiast rozgorączkowane głowy wokół „okrągłego stołu”. Święte Kolegium wybrało papieżem, u kresu trzeciego roku obrad, Grzegorza X (Teobaldo Visconti).

Zdjęcie dachu nie tylko spowodowało wiele szkód wewnątrz Pałacu Papieży (rozleciał się prawdopodobnie „okrągły stół”), ale naruszyło także jego mury. W roku 1277 zawaliła się sypialnia papieska, grzebiąc pod gruzami jedyne papieża portugalskiego Jana XXI.

Neapol, 15 lipca

Jak wyjść z komunizmu? Słysząc ostatnio bez przerwy to pytanie, stawiają je na wyścigi czasopisma i gazety z rosnącą, nerwową prawie natarczywością. Jakby pożądane przecież wyjście z komunizmu miało zarazem charakter niepokojącego skoku w ciemno.

Claude Roy w ciekawym reportażu z ZSSR („podróż wśród tych, którzy się więcej nie boją”) przypomina Tocqueville'a: *Il n'y a qu'un grand génie qui puisse sauver un prince qui entreprend de soulager ses sujets après une oppression longue*. Ocalić księcia znaczy tu, rzecz jasna, ocalić Gorbaczowa.

Garton Ash przytacza uwagę „jednego z najinteligentniejszych polskich przywódców komunistycznych” w antrakcie „okrągłego stołu”: „Wszystkie podręczniki wyjaśniają, jak trudno jest zdobyć władzę; żaden nie mówi, jak trudno jest pozbyć się władzy”.

Mille mots na temat *Sortir du communisme* ułożyli w trójkę Garton Ash, Janos Kis i Adam Michnik. Z ich tekstu zdaje się wynikać, że bilet bezpiecznego wyjazdu (na hamulcach) z komunizmu powinien nam w dolarach zafundować kapitalistyczny Zachód.

Revel przedstawił trzy sposoby „wyjścia z systemu w agonii”. Pierwszy zademonstrowali Chińczycy na Placu Niebiańskiego Spokoju. Jest najprostszyszy, polega bowiem na tym, że nie wychodzi się w ogóle, lecz przeciwnie, wraca się do starej zasady Mao, że „władza spoczywa w lufie karabinu” i do słynnej formuły Brechta z roku 1953, że „skoro naród stracił z własnej winy zaufanie rządu, rząd musi sobie wybrać inny naród”. Zamiar nie jest niewykonalny: trzeba tak długo, gęsto i na osłep strzelać, aż władza wyskoczy wreszcie z lufy karabinu, a spod góry trupów wygrzebie się i stanie mocno na nogach „inny naród”.

Sposób drugi dotyczy krajów, w których ustrój totalitarny nie zdołał zniszczyć sił zastanych przez komunizm w momencie zdobycia władzy i nie potrafił potem powstrzymać społecznych odruchów i zrywów niezależności i autonomii. Model demokratyczny i pluralistyczny pozostał w nich żywy na tyle, by pokojowe i ewolucyjne wyjście z komunizmu okazało się w teorii możliwe. Chwilowo chodzi w tym procesie o Polskę i Węgry. Oba kraje dojrzewają stopniowo, szybciej czy wolniej, do bezprzymiotnikowej demokracji i bezprzymiotnikowego pluralizmu politycznego.

Trzecim według Revela sposobem jest operacja podjęta przez Gorbaczowa w ZSSR. *Głasnost* ma tu być motorem *piestrojki*. Motor działa na przyspieszonych obrotach, niekiedy robi nawet wrażenie niebezpiecznie przegrzanego, ale konkretna przebudowa społeczna, polityczna i gospodarcza stoi w miejscu; na odwrót, ciężki, zablokowany i zardzewiały pociąg *piestrojki* grozi pociągnięciem dymiącej lokomotywy *głasnosti* do tyłu. Nie da się zatem całkowicie wykluczyć zastosowania, *in extremis*, sposobu chińskiego.

Sposób drugi, polsko-węgierski, jest realny? Można stopniowo, ewolucyjnie, krok po kroku posuwać się drogą do demokracji i pluralizmu? Można, czego dowodem w Polsce były wyniki wyborów do Sejmu i Senatu; wyniki nadspodziewanie (i zdaje się że kłopotliwie dla przywódców opozycji) dobre. Ale pod kilkoma warunkami. Opozycja musi nią kroczyć samodzielnie, pilnując jak oka w głowie swej tożsamości, nie dopuszczając ani na chwilę miłego „w narodowej potrzebie” sercom Polaków hasła „kupą mości panowie”, czyli wytyczając sobie jako cel odzyskanie pełnej niepodległości i odebranie kiedyś całej władzy uzurpatorom, zwłaszcza że „mości panowie (bądź towarzysze)” ze strony rządowej tak gorąco jakoby pragną się jej pozbyć (i nie bardzo ponoć wiedzą, jak to zrobić). Na drodze do demokracji i pluralizmu kierownictwo opozycji musi też zerwać z gabinetowo-konwentyklowym stylem „porozumienia elit”, oraz z zastrzeżeniem wszelkich istotnych prerogatyw dla Wodza i jego przybocznej Drużyny. *Last but not least*: Wodzowi i jego Drużynie wyszłaby na zdrowie ostrożność w postępowaniu, się dość śmiesznymi konceptami Wielkiej Gry i Wielkich Graczy, i większą powściągliwość w lansowaniu „zmienionej na plus opinii o Generale Jaruzelskim” (choćby w imię szacunku dla niezmienionej opinii „solidarnościowych dołów” i przypuszczalnie znakomitej większości czerwcowych wyborców).

20 lipca

Przedwczoraj późnym wieczorem wracałem do domu pieszo ulicą obok Zamku Andegawęńskiego, zmogła mnie wilgotna

duszość, usiadłem na skwerze na wprost Portu i zapadłem w drzemkę albo przelotne omdlenie, nieczuły na hałaśliwy rój amerykańskich marynarzy i prostytutek dokoła, nie zważając na błyski w stronie Wysp, zapowiedź gwałtownej burzy letniej. Wytrącił mnie z drzemki smród, tak nieznośny że machinalnie sięgnąłem po chusteczkę i przytknąłem ją do nosa. Ludzie biegli do Portu z przytkniętymi również do nosów chustkami, słyszałem powtarzane wciąż słowa *balena*, zobaczyłem na samym końcu długiego mola spory tłum, rozkrzyczany i gestykulujący. Przyłączyłem się do biegnących, ale zanim dotarłem na molo, fala świeżych przybyszów zatarasowała wejście, a policjanci powstrzymywali napierających. Udało mi się przyczepić do dwóch amerykańskich oficerów marynarki, którym policjanci otworzyli przejście w tłumie. Wraz z nimi przecisnąłem się na koniec mola, opanowany ciekawością silniejszą od smrodu. *God Almighty* — krzyknął jeden z oficerów, — *this is Moby Dick! Old Good Dick, dead as stone and stinking like Hell*. Jego towarzysz pochylał się w ciemnościach ku morzu i zauważył rzeczowo, że biały Moby Dick z zeszłego stulecia stał się w naszych czasach czarny. „Dziwisz się? — padła natychmiastowa odpowiedź. — W takiej gnojówce jak ta przeklęta Zatoka! Po co on tu na starość przyplął, co go tu zaniósło? *Poor Dick*. I biedny kapitan Ahab, jeśli z zaświatów patrzy na swego nieśmiertelnego zdawało się wroga, na czarne ścierwo ucieleśnionego niegdyś w białym wielorybie Zła, odwraca pewnie z obrzydzeniem oczy”.

Obwiązany linkami i przytroczony do mola, wielorybi trup kotłował się w brudnej wodzie, zanurzał się i wynurzał miarowo. Nie pozostało w nim nic z naturalnego kształtu, był ławicą gnijącego mięsa. Śmierć nastąpiła jakieś dwa miesiące temu: gdy przerażeni rybacy natknęli się nań w pobliżu wyspy Ponza, dawał jeszcze słabe oznaki życia. Co było jej przyczyną? O niczym nie świadczyły strzępy podartych sieci w paru miejscach cielska. Nie odkryto żadnych głębszych ran. Zdechł zatruty, natrafiwszy na smugę ścieków chemicznych, lub na ruchome bajorko nafty? Jak stary słoń dobrnął resztkami sił, wiedziony instynktem wieku, na cmentarzysko naszej Zatoki?

Trudno było dłużej wytrzymać obok martwego wieloryba, smród gęstniał i zmiatał powoli ludzi z mola. Szedłem nadbrzeżnym bulwarem w stronę domu podniecony. Śmierć Moby Dicka! Żart oficera amerykańskiego przestał naraz być dla mnie żartem. Jak gdybym rzeczywiście uwierzył, że niezwykłony bohater metafizycznego poematu prozą Melville'a, biblijny Lewiatan, władca oceanów i wysłannik Zła, pokonawszy swego zuchwałego przeciwnika, opłynawszy setki razy świat, roztrząskawszy po drodze wszystkie napotkane statki wielorybiczne,

bezbronnie w obliczu jego potęgi, zawiął wreszcie do swego ostatniego portu, aby wyzionąć ducha jak włóczęga, jak żebrak w rynsztoku. Sprzyjała takim rojeniom sceneria: burza, zamiast uderzyć w miasto, okrążyła je z daleka suchymi trzaskami i ognistymi wężykami.

Nazajutrz, czyli wczoraj, miejscowa gazeta przywołała mnie do rzeczywistości. Wybuchł „konflikt kompetencyjny”: kto i co ma zrobić z trupem Moby Dicka (właśnie tak; artykuł ozdobiono rysunkiem, który przedstawiał asenizatora miejskiego w masce przeciwgazowej, pogrążonego w lekturze powieści Melville'a). Niepraktyczna okazała się propozycja Urzędu Oczyszczania Miasta spalenia wielorybich zwłok specjalnym miotaczem płomieni, z obawy że nad Neapolem zawiśnie na długą czarna chmura toksyczna. Nie dawała dostatecznych gwarancji propozycja Kapitanatu Portu, aby trupa nafaszerowanego dynamitem zaholować na środek Zatoki i tam spowodować wybuch. Rozstrzygnięcie biurokratycznego sporu odłożono do następnego dnia.

Dobrą radę przyniosła widocznie noc, bo w dzisiejszej gazecie miejscowej znajduję wiadomość, że ziemskie resztki Moby Dicka (osiem ton wagi) wywieziono o świcie ogromnym kamieniem za miasto, gdzie został pochowany w grobie długości dziesięciu metrów i szerokości trzech. Miejsca nie podano, więcej — uczestnicy konduktu pogrzebowego zobowiązali się przestrzegać sekretu, co przypomina potajemny pochówek wampirów w Transylwanii (tam wbijano jeszcze, dla pewności, zaostrzony pal w ziemię na wysokości serca nieboszczyka). *Requiescat in pace.*

Marzy mi się jednak odnalezienie tego miejsca i położenie na wyrównanej ziemi (wyrównano ją dokładnie dla zatarcia śladów) nagrobkowej tabliczki z napisem po angielsku: *In Hating-Loving Memory of Invincible Moby Dick from His Once Defeated Eternal Foe Captain Ahab. Silence is the Only Voice of Our God.* Drugie zdanie pożyczyłem od Melville'a.

26 lipca

W rozmowie z Tadeuszem Drewnowskim, kuratorem *Dzienników* Dąbrowskiej, znajduję opinię Anny Kowalskiej o autorce *Nocy i dni*: „Dąbrowska była taka, jak Polska, była medium polskości”. W innym miejscu rozmowy sam Drewnowski nazywa jej postawę „nacijocentryczną, wspartą o specyficzną żywą świadomość historyczną”.

Cokolwiek się o *Dziennikach* sądzi (mój własny do nich stosunek określiłbym jako mieszaninę zaciekawienia i irytacji), waga tych pięciu tomów sprowadza się w dużej mierze do

możliwości śledzenia narodzin i rozwoju nacjocentrycznego „medium polskości” w prywatnych wyznaniach pisarki. W Dąbrowskiej widziano prawie zawsze (zastrzeżenie „prawie” zawdzięczała serii kompromisów w roku 1952; „w tym ustroju nie można być gronostajem”, skwitowała później krótko wymówki Wierzyńskiego) kwintesencję najlepszego, otwartego i światłego, odłamu inteligencji polskiej. Co oznaczało, przede wszystkim, wstręt do konformizmu, pogardę dla myślenia utartymi schematami. Czy nie bywało jednak i tak, że do nonkonformizmu wciśkały się czasem pokusy konformistyczne? Czy „medium”, jak i uosobiona przez nie grupa, nie poddało się nigdy obiegowym schematom z poczucia i obowiązku „nacijocentryzmu”?

Moje trzy osobiste zetknięcia z Dąbrowską miały charakter drobnych lecz charakterystycznych epizodów, takich właśnie od jakich roi się w *Dziennikach*. Myślę że warto je tu po latach przypomnieć, bo rzucają trochę światła na postać Dąbrowskiej.

Byłem przed wojną jako student admiratorem pisarstwa Dąbrowskiej, szczególnie jej nowelistyki i publicystyki (nie zachwycałem się i dalej nie zachwycał *Nocami i dniami*, myślę że w dziedzinie powieści „rodzinnej” lepsi są niedoceniani wciąż *Krauzowie* i inni Herminii Naglerowej). W roku 1938 bodaj napisałem do *Ateneum* Napierskiego recenzję ze *Znaków życia*, entuzjastyczną, pełną podziwu zwłaszcza dla opowiadania *Szkiełko*, które i dziś uważam za małe arcydziełko. Na tę recenzję powołałem się, telefonując do Dąbrowskiej w sowieckim Lwowie pod koniec 1939 roku. Znała ją, była mi za nią wdzięczna, zaprosiła mnie serdecznie do siebie na kawę. Mieszkała ze Stanisławem Stempowskim u swojej przyjaciółki Stanisławy Blumenfeldowej, kobiety uroczej i inteligentnej, egerii przedwojennego Lwowa literackiego. Długa rozmowa z Dąbrowską i Stempowskim była dla mnie balsamem w ówczesnym Lwowie, na sowieckim poligonie „literackim”, który nowa władza stworzyła z zamiarem selekcji ludzi „dyspozycyjnych”, zależniowych, gotowych lub przynajmniej skłonnych do serwilizmu, zobojętniałych na klęskę wrześniową, zerkających coraz otwarciej ku *Czerwonemu Sztandarowi* zatkniętemu na „trupie sanacyjnej Polski”. Od Dąbrowskiej i Stempowskiego usłyszałem to, co tak bardzo wtedy pragnąłem usłyszeć, co przed spotkaniem z nimi słyszałem we Lwowie raz tylko i krótko w zadymionym pokoiku, gdzie Lidia Ciołkoszowa (po ucieczce Adama do Rumunii, przed wyprawą z Andrzejem do Lidy i dalej) dyskutowała ze swoimi przyjaciółmi politycznymi. Nie zapomnę Dąbrowskiej, surowej dla niewolników czy świeżo upieczonych adeptów „historii w pochodzie”, prostolinijnej, rozumnej. No i nie zapomnę oczywiście Stempowskiego, który (choć odzywał się rzadko) wydał mi się studnią wiedzy i mądrości, pięknym połączeniem patriotyzmu i

ludzkiej wrażliwości. Nie opuszczała mnie, pamiętam, jedna myśl: u progu nowych rozbiorów rozmawiałem z autorką *Szkiełka* i z jego bohaterem. „Różne są znaki wolności — kończyło się opowiadanie — sztandary, złote herby, orły, gryfy i lwy. Lecz im większa jest niewola człowieka, tym skromniejszy i okrutniejszy jest znak jego wolności. A bywa, że staje się nim już tylko krzywe i ostre szkiełko”.

Następne spotkanie odbyło się po dwudziestu latach. Około roku 1960 na Kongres PEN-Klubów w Frankfurcie przyjechała duża delegacja z Warszawy, między innymi Dąbrowska. Spora też była grupa pisarzy emigracyjnych, z Wierzyńskim na czele. Chodziliśmy na posiedzenia i przesiadywaliśmy w kawiarniach w czwórce: Dąbrowska, Wierzyński z żoną Haliną, ja. Dąbrowska była pod wrażeniem swojej sześciotygodniowej podróży do ZSSR, o niej głównie opowiadała, kładąc nacisk na wszystko, co mogło świadczyć o autentycznym „przebudzeniu naszych wschodnich sąsiadów”. Słuchaliśmy jej relacji z uwagą i zrozumieniem, „odwilżowe” nadzieje i rachuby błąkały się jeszcze w powietrzu, mimo Węgier i „regresu” Gomulki. Poza tym znaczną rolę odgrywała osoba opowiadającej: chociaż lekko nadwątłony po roku 1952, autorytet moralny Dąbrowskiej był ciągle wielki, jej trzeźwy dar obserwacji uderzający, nie mówiąc już o dobrej znajomości Rosji i znakomitej języka rosyjskiego.

Któregoś dnia zawieziono autobusem chętnych uczestników Kongresu na całodzienną wycieczkę do Heidelbergu. Rusycystykę wykladał wtedy na Uniwersytecie Heidelberskim wybitny uczony Dymitr Czyżewski, Ukrainiec, przyjaciel Polaków, którego poznałem w Monachium dzięki Wiktorowi Weintraubowi. Dowiedział się przypuszczalnie o kongresowej wycieczce i o obecności Dąbrowskiej, gdyż czekał w miejscu przeznaczonym na zaparkowanie autobusu. Podbiegł do niej wyraźnie przejęty, nie witając się z resztą czwórki, i rozpoczął kwiecisty *hommage* po rosyjsku, przetykany pochwałami jej pisarstwa i jej przekładów z literatury rosyjskiej. Przyglądała mu się chłodno, bez słowa. Podwyższył dozę komplementów i dowodów uszanowania, znowu bez skutku. Sytuacja stawała się tak przykra, że wypadało ją czym prędzej rozładować. Kazimierz i ja zajęliśmy się Czyżewskim, Halina odprowadziła na bok Dąbrowską. Wieczorem, na kolacji w Frankfurcie, zdecydowałem się zadać wprost pytanie Dąbrowskiej, dlaczego potraktowała w ten sposób Czyżewskiego. Odpowiedziała z nutą rozdrażnienia w głosie: „Bo ja za granicą nie rozmawiam po rosyjsku”. Za granicą znaczyło na Zachodzie. Nie do wiary była meskineria tej odpowiedzi w ustach pisarki kalibru Dąbrowskiej, zmieniliśmy więc natychmiast temat. Kto wie, czy nie pokazało tu swego pazurka „nacijocentryczne medium polskość”.

W trzy lata później Dąbrowska przyjechała do Neapolu i była moim gościem wraz z Anną Kowalską i jej córką. Od pierwszej niemal chwili atmosfera naszych codziennych rozmów była, oględnie rzecz określając, ciężkawa. Ilekroć powstawały lekkie nawet kontrowersje, które normalnie mogłyby być przedmiotem spokojnych i rzeczowych polemik, Dąbrowska zamykała je nieodwołalnym orzeczeniem: „Wy tutaj (tzn. emigranci) nie jesteście w stanie tego zrozumieć”. W duchu, siłąc się na grzeczność należną jej „wiekowi i urzędowi”, bywałem bliski białej gorączki. Do krótkiego śpięcia doszło, gdy przeczytałem jej otrzymany właśnie od Jerzego Giedroycia list z dobrą nowiną, że Gombrowicz został zaproszony do Berlina przez Senat miasta. Zareagowała na tę wiadomość żalobnym wyrazem twarzy. I burknęła: „Gombrowicz nie powinien był przyjąć zaproszenia od Niemców, w Kraju wywoła to oburzenie”. Po czym, na widok mojego zdumienia, dorzuciła oczywiście: „Są rzeczy, których wy tutaj nie jesteście w stanie zrozumieć”. „Ależ Pani Mario, czytałem niedawno Pani opis podróży do wschodnich Niemiec na zaproszenie tamtejszego Związku Pisarzy, organizatora weimarskich uroczystości ku czci Goethego”. Zachnęła się gniewnie: „To nie jest to samo”. „Chce Pani powiedzieć, że istnieje zasadnicza różnica ludzka między Niemcami zachodnimi i wschodnimi?”. „Dokładnie to chcę powiedzieć, lecz emigranci i tak nigdy tego nie rozumieją”. Mignął mi zakłopotany wzrok Anny Kowalskiej.

Może to mało ważne skazy w wizerunku wielkiej pisarki, może przywiązuję do nich nadmierną wagę, ale chyba są w jakimś stopniu ciekawym przyczynkiem dla badaczy „nacijocentrycznego medium polskość”.

Albory, 4 sierpnia

Geremek nazwał owoce „okrągłego stołu” i wyniki wyborów „pluralizmem połowicznym”. Połowiczna jest władza, połowiczna jest opozycja. Jak długo może potrwać i do czego doprowadzić ogólna połowiczność (Sacharow uważa ją za śmiertelną chorobę *pierestrojki*)? Korespondent dziennika włoskiego pisze o lansowanym obecnie w Warszawie postulacie „nowych form dialogu” w istniejącym już dialogu, bez bliższego niestety wyjaśnienia, co ta chińska szkatułka oznacza i zapowiada w praktyce.

Czy aby nie zmierny raczej ku jakiejś współczesnej postaci „zdjęcia dachu” przez zniecierpliwiony lud pod wodzą swego „kapitana ludowego”?

7 sierpnia

Albory jest małą nadmorską wioską na wzgórzu, z którego widać Zatokę Salernitańską i wtopione w horyzont Salerno. W Albory można w pełni ocenić włoski, szczególnie południowy, dar wykorzystywania przestrzeni mieszkalnej. Żadnych ogródków, żadnych luzów i odstępów między domami, rosnący ciągle i drążony w głąb zlepek murów z korytarzami tak wąskimi, że trudno je uważać za uliczki. Z szosy dojazdowej w dole wioska wygląda jak rozległy, zбитy gęsto i uczepiony zbocza, plaster kamiennych gniazd ptasich.

Młodszy odlatują wczesnym ranem do pracy w Vietri i w Salerno. Pozostali wynurzają się ze swoich gniazd rzadko i przelotnie, życie nie toczy się tu na zewnątrz, jest w ciągu dnia odgródzone od świata, wmurowane. Dopiero wieczorem na schodach kościoła, które w Albory odgrywają rolę placu, siada gromadka starych mężczyzn. Rozmawiają czy opowiadają normalnymi, przyciszonymi nawet głosami, ale stłoczenie domów powoduje, że słycać ich tak wyraźnie jakby siedzieli przy moim stole i popijali ze mną wino. Od przeciągających się do północy rozmów i opowiadań na kościelnych schodach nie ma w Albory ucieczki.

Nie czuję zresztą, jak dotąd, impulsu ucieczki; przeciwnie, słucham z zainteresowaniem. Wczoraj, w niedzielę, rozmawiano o religii. Przeważały opowieści o procesjach i cudownych uzdrowieniach. Jeden z opowiadających — z lekko drwiącego tonu łatwo odgadnąć, że „niedowiarek” — przypomniał wypadek ciężko chorego człowieka z sąsiedniej wsi, który podczas procesji, blisko już górskiego Sanktuarium Orędowniczki, potknął się na stromej ścieżce i wpadł w rozpadlinę skalną, uderzywszy tyłem głowy w ostry kamień. „Leżał martwy na wznak w kałuży krwi, jak zdjęty z krzyża”. W gardle opowiadającego zabulgotała naśmieszka, urwana natychmiast, powitana widocznie niechętnymi spojrzeniami. Potem mój znajomy, częściowo sparaliżowany murarz powiedział wolno, z naciskiem: *Già, anche il Nostro Signore Gesù Cristo è stato crocefisso.* „Właśnie, także nasz Pan Jezus Chrystus został ukrzyżowany”.

„Właśnie”, „także”. Czytam ostatnio *Uwagi 1940-1942*, wojenny dziennik Karola Ludwika Konińskiego, którego poznałem przed wojną korespondencyjnie, zafascynowany jego *Pisarami ludowymi*. Koniński męczył się, miotał między wiarą i pokusami ateizmu, między laickim humanizmem i miłością do Boga, między rozumem i „illogizmem”, między katolicyzmem i protestantyzmem. Zanotował raz przejmująco: „Straszliwa męka wiary, która czepia się tajemniczy nagimi palcami, jak czepia się

górskiej ściany ktoś, kto się w przepaść osuwa. Boże, jeśli jesteś, zmiłuj się nad nimi!”. W gruncie rzeczy z całej tej szamotaniny ostaje się jedno: „Prawdą o człowieku jest to, że nieustannie potyka się na prawdzie; toteż sprawiedliwy ukrzyżowany jest dla niego zwierciadłem, w którym może ujrzeć swój obraz bez osłonek. Ale krzyż objawia nie tylko człowieka, objawia także Boga. Bóg jest taki, że utożsamia się z człowiekiem aż do samego dna, że sądząc, ratuje go. W głębi upadku człowieka objawia się niewyczerpana głębia miłości Boga”.

Bronisław Mamoń, kurator domu Konińskiego, przywołuje we wstępie Simone Weil, nieznaną przecież w latach powstawania *Uwag*. Ma rację. Nie pamiętam dosłownie jednego zwłaszcza wyznania Simone Weil, pamiętam tylko, że Ukrzyżowanie, współcierpienie bosko-ludzkie czy ludzko-boskie, było dla niej istotą chrześcijaństwa. „Bez tego nie czułabym się chrześcijanką”. I bez tego nie czułby się zapewne chrześcijaninem i człowiekiem religijnym stary murarz z Albory.

9 sierpnia

„W Polsce katolickiej — powiada Koniński — w której nikt na serio nie bierze ani religii, ani ateizmu”. Odzywa się tu echo lamentu Brzozowskiego nad „bezreligijnością myśli polskiej”. Ogromna księga zbiorowa *Ludzie Lasek* podważa słowo „nikt”, jest świadectwem „brania na serio”. Ale Bohdan Cywiński ostrzega, że „kiedyś Laski były oazą”, dodając że są nią dziś mniej, skoro „nie żyjemy już w Kościele polskim na intelektualnej pustyni”. W każdym razie „Laski niewidomych i widzanych” (określenie Tadeusza Mazowieckiego) były wielkim dziełem Matki Czackiej i księdza Kornilowicza. Księga daje o tym bardzo dobre pojęcie, na ogół rzeczowe tylko i ujmująco skromne w swej skrupulatności, niekiedy jednak głęboko wzruszające. Na przykład szkic Stefana Frankiewicza *Agnieszka*, o siostrze Miriam Wajngold, duchowej towarzysze Jerzego Lieberta, czyta się chwilami jak załazek powieści. „Dzieło Lasek — zauważa pięknie Janek Strzelecki — było odpowiedzią na twarze niewidomych dzieci”. Zdanie z ducha *Uwag* Konińskiego.

Konrad Górski, kolega uniwersytecki Rafała Blütha, opisuje w księdze jak upomniał go raz surowo: „Odkąd stałeś się katolikiem, coraz mniej jesteś Polakiem”. Jedyne to w *Ludziach Lasek* akcent, który każe pamiętać o polskim stereotypie i imperatywie kategorycznym „sprzężenia narodowo-religijnego”...

11 sierpnia

Próbą przewycięcia ogólnej połowiczności jest projekt Wałęsy stworzenia rządu Solidarności z udziałem Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, dojrzałych zdaje się do politycznej emancypacji wobec dotychczasowej Partii-Matki, i zepchnięcia tym samym PZPR do opozycji, o tyle znowu połowicznej, że wojsko i policja pozostałyby jednak nadal w gestii komunistów. Zdecydowany i rozumny krok (czy, dla ścisłości, półkrok) we właściwym kierunku stopniowego wychodzenia z „realnego socjalizmu”. Jeśli ten półkrok zawisnie w powietrzu, tzn. jeśli ludowcy i demokraci rozmyślą się i przestraszą własnej odwagi wyrodných synów, komuniści będą dalej półrządzić w ramach „małej koalicji”, a Solidarność wycofa się na grunt swojej półopozycji. Ślepy zaulek połowiczności pogłębi i zostrzy egzasperację społeczeństwa. Dobrze przynajmniej, że oddalił się (definitywnie?) upiór „wielkiej koalicji”, która dla Solidarności byłaby początkiem końca, drogą do politycznego wyjałowienia i rozmycia (drogą upragnioną w duchu przez jej partnerów przy „okrągłym stole”).

Znamienne że komentatorzy zagraniczni, nawet życzliwie usposobieni do Polaków i ich aspiracji niepodległościowych, uderzają dyskretnie w związek z projektem Wałęsy na alarm: Polacy posuwają się chyba za daleko! W wyobrażeniu Zachodu istnieje granica, poza którą Polacy nie powinni się nigdy posuwać. Chodzi naturalnie o granicę „nieprzekraczalnego poczucia rzeczywistości”, jakkolwiek proces wydobywania się z „realnego socjalizmu” ma wszelkie cechy otrząsania się z poczucia nierzeczywistości.

Nawiasem mówiąc nieprawdą jest, w doniesieniach korespondentów zagranicznych z Warszawy, że pomysł oderwania stronnictw flankujących od PZPR zrodził się zupełnie nieoczekiwanie. Była o nim mowa w kwietniu, podczas wizyty delegacji Solidarności w Rzymie. Rzecz w tym, że w kwietniu nie spodziewano się tak dużego sukcesu wyborczego, powściągliwie więc i z pewnym niedowierzaniem odnoszono się do możliwości sojuszu z ludowcami i demokratami, przywykłymi do macierzyńskiej kurateli komunistycznej. Geremek, zapytany przez mnie w Rzymie jakie przewiduje wyniki wyborów do Senatu, odpowiedział: „Pięćdziesiąt jeden procent dla nas, albo pięćdziesiąt jeden procent dla nich”.

16 sierpnia

W tegorocznym, trzecim tomie *Carnets* Camusa zaskoczył mnie zapis z sierpnia 1957. Bardzo dramatyczny i — ledwo

mogę wykrztusić te słowa, ja przysięgły wielbiciel Camusa — dość historyczny i histrioniczny. „Po raz pierwszy po lekturze *Zbrodni i kary* zważyłem absolutnie w moje powołanie. Zastanawiam się poważnie nad możliwością rezygnacji. Zawsze wierzyłem, że twórczość jest dialogiem. Ale z kim? Z naszym światkiem literackim, gdzie obowiązuje zasada płaskiej złośliwości, gdzie obraza zajmuje miejsce metody krytycznej? Ze społeczeństwem, które nas nie czyta, z pozeraczami gazet i czytelnikami najwyżej dwóch modnych książek w roku? W rzeczywistości twórca dzisiaj może być tylko samotnym prorokiem, artystą opanowanym niepowstrzymaną potrzebą tworzenia. Jestem twórcą? Wierzyłem w to, dokładniej mówiąc wierzyłem, że mogę nim być. Wątpię w to dzisiaj, odczuwam silną pokusę odepchnięcia tego nieustannego wysiłku, który czyni mnie niešťęśliwym w szczęściu, tej pustej ascezy, tego napięcia które ciągnie mnie nie wiadomo dokąd... Jestem zdolny do urzeczywistnienia moich marzeń? Jeśli nie, po co marzyć?”

Ten jęk na nutę „trzeba złamać pióro” wydobywa się z ust czterdziestoczteroletniego pisarza, który w parę miesięcy później miał dostać Nagrodę Nobla, a w trzy lata później zakończyć tragicznie życie i zdumiewająco bogatą twórczość. Co tu ma do rzeczy *Zbrodnia i kara*? Camus uświadomił sobie naraz, że nie był tak wielki jak Dostojewski? Równie dobrze mógł być to sobie uświadomić, czytając dziesiątki innych, także większych od niego pisarzy. Dziecinna, niegodna Camusa, jest sama procedura „przymierzania się”. Lustrzana procedura drugorzędnych literatów, bywalców giełd i salonów literackich. Pewnie, że prawdziwy pisarz jest (i zawsze był) czymś w rodzaju „samotnego proroka”. Pewnie, że musi wykształcić w sobie i zahartować względną obojętność na afronty „światka literackiego” i dowody chłodu ze strony czytającej publiczności (nie dotyczyło to zresztą samego Camusa). Ale godząc się na rolę „samotnego proroka”, staje się monologistą, nie może zatem wzdychać równocześnie i natychmiast do dobrodziejstw „dialogu” (który zostanie nawiązany, albo i nie, dopiero po pewnym czasie). Słowem, nieszczęście (osamotnienia) w szczęściu (tworzenia) jest jego sytuacją naturalną. Pusta asceza! Napięcie ciągnące nie wiadomo dokąd! Porzucenie marzeń, których nie można urzeczywistnić! W swoim życiu i w swojej twórczości Camus był odwrotnością tego, co w zapisie w *Carnets* wylicza jako ciężar rzekomo nie do uniesienia.

Skąd więc ten płaczący wybuch? Wytłumaczenie jest, być może, banalne. Zamiłowany w młodości aktor zapragnął nagle pofolgować sobie w spektakularnym geście teatralnym. W prywatnym, na szczęście, teatrze zeszytu nie przeznaczonym do druku.

Neapol, 23 sierpnia

„Za wcześniej”, orzeka dziś w *Corriere* Leszek Kołakowski, Solidarność za wcześniej sięgnęła po władzę. To orzeczenie przypomina trochę zachodni niepokój, czy aby Polacy nie posuwają się „za daleko”. Kołakowski, dzięki Bogu, dorzuca zaraz potem: „Co powiedziawszy, wypada stwierdzić że Solidarność nie może uchylić się od chwycenia w lot okazji”.

Sytuacja jest tak płynna, mętna, najeżona niewiadomymi, że „okazja” staje się jednym z głównych kryteriów postępowania, a ostrzeżenia „za daleko”, „za wcześniej” brzmią niemal absurdalnie: jakby istniał gdzieś idealny, przygotowany wzorowo przez historię rozkład jazdy. Nikt nie potrafi przewidzieć biegu wypadków w ZSSR. Jeśli przewróci się Gorbaczow, ożyją tendencje odwrotowe. *Moskowskaja Prawda* napomknęła ostatnio o groźbach zamachu stanu i wojny domowej. Ale jakkolwiek potoczy się przyszłość („która — według Kołakowskiego — może się okazać albo piękna, albo okropna”), ocaleje przecież coś z gorzej bądź lepiej wykorzystanej „okazji”. Problem sprowadza się więc do owego gorzej lub lepiej.

Gorzej — znaczy ulec przesadnym obawom, zawierzyć zanadto „przebiegłości” w Wielkiej Grze, zawahać się w obliczu posunięć radykalnych, umożliwiających — do rozsądnego, lecz śmiałego maksimum — wyjście z zabójczej połowiczności. Lepiej — znaczy wyjść z połowiczności, zostawiając z wyższej i bezspornej konieczności komunistom MON i MSW (wystarczy trzech generałów na straży naszego położenia geopolitycznego), zepchnąć ich do otwartej a nie dwuznacznej opozycji, stworzyć wiarygodny rząd Solidarność. Mazowiecki zapowiada, że nie będzie premierem „na papierze”. Oby, oby, należy mu tego życzyć z całego serca. Będzie nim niestety, jeśli da sobie narzucić rolę premiera połowicznego, szefa zamaskowanej „wielkiej koalicji”.

Kwestia wiarygodności w oczach społeczeństwa jest w tej chwili psychologicznie gardłowa. Domagać się wyrzeczeń, ofiar, „dyscypliny pracy”, zaciskania pasa wolno tylko, gdy perspektywę ciężkich lat podnoszenia się z upadku i ruiny zrównoważy pełne, autentyczne, nie powściągane żadnymi wątpliwościami i podejrzeniami, zaufanie do własnego nareszcie rządu.

29 sierpnia

Nowyj Mir rozpoczął w odcinkach druk *Archipelagu* Sołżenicyna. W pierwszych dniach września ma wyjść w *Czytelniku*,

w bardzo wysokim nakładzie, mój *Inny Świat*. Znacząca, dla mnie nawet symboliczna, zbieżność.

W listopadzie zeszłego roku napisałem krótką przedmowę do wydania *Innego Świata* w *Czytelniku*. Jest w niej taki fragment: „Lada dzień ukaże się w Londynie przekład rosyjski *Innego Świata* pióra Natalii Gorbaniewskiej. Kto wie, czy nie ujrzy kiedyś światła dziennego również w ojczyźnie tłumaczki. Ostatecznie za trzema stroniczkami w *Doktorze Żiwago* na opisany w *Innym Świecie* temat, które taki niegdyś wywołały skandal w ojczyźnie wielkiego poety, poszedł niebawem *Dzień Iwana Denisowicza* w miesięczniku Twardowskiego *Nowyj Mir*. A dziś urządza się w Moskwie wieczór publiczny ku czci Warłama Szalamowa, autora *Opowiadań kołymskich*, i coraz częściej mówi się, że dotrze w końcu otwarcie i masowo do swoich naturalnych odbiorców *Archipelag Gulag*”.

Zaczął docierać wcześniej, niż wtedy oczekiwałem. Jeszcze jedno potwierdzenie mądrej uwagi „nieśpiesznego przechodnia” Hostowca o „przyspieszonym rytmie naszej historii”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 7504 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Dziennik zewnętrzny

I oto stało się, zostałem okrutnie ujawniony, obdarto mnie z pseudonimu w *Kulturze*, jak z ubrania, bez mej zgody i wiedzy. Na dodatek zrobili to przyjaciele dziennikarze, i jakby tego było mało, w podziemiach kościoła. Kiedy wszystko zostało triumfalnie wykrzywane uzbrojonymi w mikrofon ustami naszego nieocenionego w swym optymizmie Prezesa, poczułem się nagle zupełnie nagi, i w tym stanie udałem się do mikrofonu, z trudem przemykając się przez ścisk, który jak zwykle na „Mówionej Dziennikarskiej Gazecie” był nie inny niż w szczytującym warszawskim autobusie. Powiedziałem o nieszczęściu jakie mnie spotkało, co jak się wydaje rozbawiło salę, przyzwyczajoną do lekkiego tonu imprezy.

Jurorzy, którzy tak nieroztropnie przyznali nagrodę, nie memu pseudonimowi a nazwisku, tłumaczyli się potem, że każdy myślał iż przez kogoś innego niż on, byłem pytany o zgodę na ujawnienie. Pozornie nic się nie stało, nie siedzę w pudle, nikt nie dał mi w głowę — może dlatego, że należę do tych co oddają — i nawet odnotowałem całkiem liczne objawy sympatii. Kłopot tylko z pisaniem. Co siądę do maszyny, kartka papieru wywala ku mnie jezor, biały jak u ciężko chorego.

Mimo tej gorączki biorę się do pracy, zachowując pseudonim, bo nie jest wcale wykluczone, że ja... to jednak ktoś inny.

Międzynarodowe Targi Książki odbyły się tradycyjnie w Pałacu Kultury i oto w brzuchu daru Stalina rozgościły się książki drugiego obiegu oraz niektóre wydawnictwa emigracyjne, do których zresztą nie trafiłem zgubiwszy się w labiryncie stoisk. Kłębowski ludzkie było przy tych stoiskach drugiego obiegu nieopisane, tym większe, że w dużej mierze składające się ze znajomych, a wiadomo, że nie ma większego tłoku niż ten,

który czynią znajomi, pogrubieni o wspólne z nami wspomnienia, sympatie i antypatie. Szefowie niezależnych wydawnictw oraz ich zastępcy i zastępcy zastępców siedzieli sploteni, mrużąc oczy jak podziemne krety, co nagle dostały się w reflektor słońca. Dowiedziałem się od nich, że rano byli tu różni dygnitarze, którzy niejako pobłogosławili miejsce. A więc co przedwczoraj zupełnie nielegalne, zaś wczoraj nielegalne-legalne, dzisiaj jest już w pełni legalne. I pomyśleć, że dzieje się to w ramach tych samych praw. Prawo jest u nas jak guma do żucia, wszystko zależy od tego kto je weźmie do ust i co potem z niego ulepi. Przyglądałem się ze wzruszeniem okładkom tych książek, które przycupnęły na żerdziach stoisk, takie zmęczone i skromne, jak ptaki, ich skrzydła wypływały w czasie długiego lotu, pełnego wichru i burzy. Nie wszystkim udało się tu dolecieć. Nagle staje twarzą w twarz z własnym nazwiskiem na kilku okładkach, jakbym zobaczył niespodziewanie swój pysk, właśnie pysk — nie twarz — w lustrze. Czy to niechęć do tego co się napisało, czy nawet do siebie samego, czy do tamtego czasu, którego heroizm topniał z każdym rokiem, aż nie wiadomo kiedy zrobiła się z tego gnojówka. Okrągły stół zamienił to wszystko na wielki kocioł zupy jarzynowej — ciekawe jaki diabeł z tego jeszcze wyskoczy? Nagle usłyszałem radosne powitanie i dłoń wyciągnęła się w mój kierunek. Zająłem się nią, jak dłonią znajomego, którego póki co nie mogę odpoznać. Jako, że mam słabą pamięć do twarzy, posiadam już wypracowane techniki zachowania w takich sytuacjach, udaję że znam człowieka i czekam na dalsze wydarzenia w nadziei, że otrzymam informacje, które pozwolą rozwikłać zagadkę. Tym razem jednak od razu poczułem niepokój, u źródeł którego był nieugostowny krawat, a i kolor garnituru podejrzany.

— Swojego prześladowcy pan nie poznaje?

Nie słowo prześladowca naprowadziło mnie na trop, ale lekki nalot seplenienia, który przed laty płynął ku mnie przez cały dzień i noc, aż do białego świtu. To seplenienie w czasie całodobowego przesłuchania na Rakowieckiej oblepiało powoli wszystkie przedmioty, aż w końcu dobrało się do mojej głowy i długo nie mogłem się potem domyć, siedząc już w białoleckim „pensjonacie”.

— Pan kapitan?

— Niech mnie pan nie degraduje, bardzo proszę.

Ciekawy kraj, awansowali zarówno ci co przegrali i wygrali, ale kto wygrał, czyżby wszyscy przegrali. Mimo, że stać mnie było na tak skłębione myśli, zupełnie poczułem się zaambarasowany tym spotkaniem, bo całkowicie doń nieprzygotowany i odruchowo odciągnąłem swojego oprawcę na bok, gdyż stać z kimś takim w gęstwie niezależnych wydawców, wydawało się czymś niemożliwym.

— Pan tu służbowo?

— Trudno powiedzieć, do książek mnie przydzielili, to już człowiek wszedł w tę kulturę z butami.

Z butami przede wszystkim — tak trzeba było powiedzieć, ale nie powiedziałem, bo myśli ślimaczyły mi się w głowie, niepewnej, czy to wszystko jest naprawdę. Wtedy właśnie podbiegła dawno nie widziana znajoma, wielce urodziwa dziewczyna, pocałowała mnie i bach, rękę wyciąga do majora. Ja rzuciłem się by powstrzymać jej dłoń przed utratą cnoty, ale było za późno. Więc tylko machnąłem ręką, jakbym przepłasał zmorę. I zmora odeszła, z bolesnym wyrazem twarzy. Zawsze zazdrościli nam kobiet, dolarów, wyjazdów zagranicznych, i tego co sami zwykli z pogardą nazywać luksusem moralnym.

Czemu mnie zaczął w miejscu tak niezwykłym? To jakby mysz wlaźła między koty. Mogłem przecież go chwycić za ogon krawata i narobić rumoru — patrz niezależny kaganku oświaty, oto ćma co do ognia lecieć musi, chociaż od ognia ginie.

Proszę się nie bać, już od dawna nie zaprzątam sobie głowy zawiłościami ubeckiej duszy, bo wiem, że nie ma tam niczego godnego uwagi. Ciekawy wydaje się tylko problem ofiary, oprawcy i czasu. Czemu ludzie męczeni w śledztwie, nigdy prawie nie szukają po latach odwetu? (Ja sam od majora nie doznałem jakichś okrutnych krzywd, ale zasłużył sobie na utratę użębienia). Nie jest to tylko rozmazywanie przez czas doznanych krzywd, one będą żyć do końca naszych dni. I nienawiść, chociaż jej mięśnie wiotczeją, nie ginie. Ale gniew czuje prześladowany z tamtego okresu, do dawnego oprawcy. Stąd zemsta zawsze tak żalosna, bo przez kogoś innego na kimś innym czyniona, podwójne tworzy nieporozumienie.

Po kilku dniach wracając w myśli do tego spotkania, ujrzałem, co w pierwszym impecie zaskoczenia schowało mi się w zakamarku pamięci. Jego dłonie... jego ręce drżały jak dwa bezradne liście osiki, poruszane niewidocznym powiewem.

Od ponad roku moja skrzynka pocztowa wprawia mnie w zakłopotanie. Otwieram w nadziei, że leży tam list, na który czeka się całe życie, a tu sypią się tylko pisma drugiego obiegu, *Solidarności Walczącej*, *PPS-u*, wytrwałe biuletyny podziemne Gdańska, Stalowej Woli, dzielne pismo literackie z Siedlec... czuję, że powinienem być wzruszony, że przylatują do mnie pocztą, ale ich czcionka wydaje się nieznośnie mała, treść męcząca, bo to wszystko już gdzieś czytałem lub słyszałem... Gryzą mnie wyrzuty sumienia. Przecież ja nieomal cały z drugiego obiegu, próbuję czytać, nie idzie... co się porobiło?

Zanoszę buty do osiedlowego szewca, znam go nieźle bo zapadł na typową w Polsce chorobę — pisze wiersze. „A ty

Józiu nie kandydujesz na posła lub senatora? Wystukał młotkiem na obcasie wielokrotny znak zapytania? Potem jak zwykle, ja chęć o butach, on o wierszach.

Wracam po buty i słyszę, że właśnie podjął decyzję, idzie do Sejmu. Podpisy zbierze w pobliskim hotelu robotniczym, radzi się czy od kilku klientów wypada? Widząc, że czynię człowiekowi krzywdę, zaczynam go zniechęcać, że czasu nie będzie miał na pracę, bo Sejm bardzo czasochłonny. Dowiedziałem się, że ma już dosyć butów. Praca ciężka, niewdzięczna, i jak to brzmi — szewc — szczególnie w uszach kobiet. Zresztą u nas żadna normalna praca się nie opłaca i on chce pracy nie-normalnej. Próbuję więc z innej beczki — Sejm zabija poezję, być poetą w Sejmie to niemożliwe. Tum go trafiał.

Nazajutrz do mej żony podszedł nasz osiedlowy listonosz, miał do mnie sprawę na tyle delikatną, że uznał iż należy ją załatwić za delikatnym pośrednictwem. Lubię tego listonosza, bo nie tylko od dawna wiadomo, że nasz człowiek, ilekroć coś powiem w zagranicznym radiu daje mi konspiracyjne znaki, ale posiada nawyk, który mi przypomina listonosza z dzieciństwa — unosi na powitanie czapkę wprawnym, lecz ostrożnym ruchem, jakby się bał, że głowa spadnie mu z szyi. Przekazał szeptem mej żonie wiadomość, że wspólnie z szewcem uzgodnili, że to ja właśnie będę najlepszym kandydatem „Solidarności” w wyborach. Trzy tysiące podpisów oni mi już zapewnią.

Mój syn, jeszcze uczeń szkoły podstawowej, z kolegami z klasy i podwórka wziął niezwykle czynny udział w wyborach.

Najbardziej pasjonujące dla dzieci było oczywiście rozwieszanie plakatów. Chłopcy zaopatrzeni byli w klej i specjalne zezwolenie wydane przez biuro wyborcze „S”.

Zaczęli od ulicy Bernardyńskiej na Sadybie, znanej od najgorszej strony, gdyż mieszkał tu kapitan Piotrowski. Nie mieszkał bynajmniej w obcym żywiole. Nic dziwnego, że tam właśnie rozwieszanie plakatów wzbudziło wśród mieszkańców najwięcej emocji. Przydało się zaświadczenie z biura wyborczego, stempel czyni duże wrażenie na ludziach stemplu. W tym właśnie miejscu jakieś miłe panie rozkrzyczały się — „Cóż za obrzydliwość, oni nawet dzieci wykorzystują. Nie wiecie na czyich usługach jesteście, cała „Solidarność” to Żydzi”.

Nie inne były dopiski na bardzo wielu naszych plakatach. Wydaje się to być znakiem nie tylko jakiejś nowej brudnej fali, (ten osad, u starszego pokolenia, utrzymuje się na równym, zaskakująco wysokim poziomie) ale też zupełnej bezradności ludzi, którym wali się świat.

W tej właśnie dzielnicy spotkali małego harcerza, który rozwieszał plakaty Koalicji. Bardzo zazdrościł starszym kolegom,

że mogą reklamować „Solidarność”. Dostał więc cały pęczek i od razu zabrał się do roboty. Dzieci pracowały od rana do wieczora i w żaden sposób nie byłem w stanie przekonać syna, że już dosyć tego. Wracał do domu i od razu zasypiał. Rano trudno go było dobudzić, ale szedł do szkoły z przyjemnością, a góra jego tornistra, z każdym rokiem cięższa, zdawała się mieć skrzydła. W szkole na przerwach toczyły się dyskusje polityczne. Tworzono partie polityczne, wchodzono na krzesła i przemawiano. Wkrótce w ramach partii powstały frakcje... Na szczęście zanim spadły pierwsze głowy zaczęły się lekcje. A zaraz potem były wybory.

Dzieci założyły przed lokalem swój punkt informacyjny, który okazał się bez porównania bardziej efektywny od studenckiej konkurencji. Syn szedł do tej pracy dzielnie, ale z obawą jak na wojnę. W końcu w czasie plakatowania było chwilami nieprzyjemnie.

Chłopcy pracowali w pocie czoła, nie tylko rozdawali materiały, ale również udzielali fachowych porad. Nikt ich nie szkolił, nauczyli się sami. Ogromny entuzjazm ludzi, nawet wzruszenie, stały się wspaniałym zaskoczeniem. Ten entuzjazm nie był jeszcze głośny, ciche, ale ruchome święto — nareszcie powiemy co myślimy.

Takie informacje uzyskiwałem do południa, podczas krótkich jego wypadów do mieszkania po dodatkowe krzesło i stół. W końcu sam udałem się by wziąć udział w akcie wyborczym — przez tyle lat tak uparcie bojkotowałem wybory, że teraz czułem się jakoś niewyraźnie.

Przy biurze stał ubecki fiat, w którym spali funkcjonariusze. Na początku budzili pewną sensację, mieli okropne gęby i wykazywali ostrożną aktywność, która polegała na próbie przekonania dzieci, że nie mają prawa stać tak blisko lokalu. Było to uczynione niby prywatnie, bez zdradzania, że jest się na służbie. Dzieci oświadczyły, że mają prawo, co zostało niechętnie zaakceptowane. Wtedy poprosili o ulotki, prywatnie. Wzięli je do samochodu, i podczas lektury zasnęli. Ta drzemka, której już świadkowałem, pokazała, że głównym problemem funkcjonariuszy był kac, a nie wybory. Podczas tej drzemki sporo się wydarzyło. Pojawiły się dwie starszuszki, matka i córka, prowadził je mały chłopiec. Nie chciał od starszych kolegów żadnych informacji, był dobrze przygotowany. Szedł by pomóc babce i prababce we właściwym wyborze. Zdarzały się też dramaty. Trzeba było udzielić pomocy duchowej i medycznej osobie, która przez pomyłkę skreśliła naszego kandydata. Co jakiś czas, jak zabląkany i pijany dwumasztowy statek, pojawiało się dwóch splecionych ramionami obywateli, którzy zataczali się od ranka do zmierzchu, szukając nadaremno swojego biura wyborczego. Ci

przedstawiciele najbardziej solidarnej ze wszystkich solidarności, solidarności pijackiej, też chcieli nas poprzeć. Tylko raz doszło do konfliktu. Jakiś jegomość wpadł do biura krzycząc, że banda opozycyjna używa przemocy by zmuszać ludzi do pobierania ulotek. Członkowie komisji wybiegli na dwór i... ujrzeli dzieci.

Była już godzina 10 wieczorem i zaniepokojony nieobecnością syna udałem się pod lokal wyborczy. Wokół pusto, zniknął nawet samochód SB, sterczały tylko tyczki z transparentami na których Koalicja powypisywała swoje hasła. (Nie do wiary, ale nie potrafili zorganizować odpowiedniej liczby ludzi do agitacji przed punktami wyborczymi). Dzieci stały w zmęczonej gromadce wpatrzone w zegarek. O 22 lokal miał być zamknięty. Jako ostatnia wbiegła doń Helena Łuczywo, nasza sąsiadka z rozkosznych czasów różnych konspiracji, a dzisiaj kierująca *Gazetą Wyborczą*, towarzyszył jej Timothy Garton Ash. Nadjechała rozklekotana furgonetka i jacyś ludzie zaczęli doń wrzucać tyczki z koalicyjną agitacją. Kilku chłopców podeszło i zapytało czy mogą sobie wziąć te transparenty, bo kijki od nich przydadzą się do robienia bramek na podwórku.

— Kazali nam wszystkie przywieźć — zmartwił się pierwszy pracownik.

— Zdurniał, czy co — rzekł drugi — powiemy, że ktoś je zabrał i po kłopotcie.

W ten sposób udało się rozwiązać problem jutrzejszego meczu piłkarskiego. A ja na odchodnym pomyślałem, że oto PZPR została zupełnie rozebrana wieczorową porą, a z jej resztek będzie większy pożytek niż można by przypuszczać. Dzieci pokrzykując i stukając kijami zniknęły w mroku. W lokalu wyborczym palily się wszystkie światła. I w ciszy, która nagle zapadła nad miastem, wydawało mi się, że słyszę białe i czarne głosy spadające do urny, jak łzawe krople na grób marksizmu, na smutek dogorywającego imperium.

Wybory rozpały na chwilę ogień w naszej apatii. Było to ruchome święto, najweselszy pogrzeb jaki sobie można wyobrazić. Nie zgasiła tego płomienia (nawet) niespodziewana wypowiedź telewizyjna Wałęsy w przeddzień wyborów, że skreśli tylko jedną osobę z krajowej listy. Jakby ojciec dał w gębę swojemu dziecku, za to, że zbyt dobrze wykonało jego polecenie. Nie pomogło to jednak krajowej liście, z której ocalał tylko seksuolog Kozakiewicz i niejaki towarzysz Zieliński, któremu się upiekło, bo był na samiutkim końcu listy i zdarzało się, że X, którym wielu niecierpliwych wyborców ścinało za jednym zamachem całą listę, czasami nie obejmowało go nogami.

Jak mogliśmy być ludźmi tak małej wiary i wątpić w nasz wyborczy sukces. Przeceniliśmy apatię społeczeństwa, nie

doceniliśmy nienawiści do Partii. Po ogłoszeniu wyników nastąpiła zupełna konsternacja partyjnej propagandy, która po nieprzespanej nocy zaczęła się pocieszać, że niska frekwencja wyborcza jest wymierzona również w opozycję.

Przerażenie, w jakie wpadli po tym druzgoczącym zwycięstwie nasi przywódcy opozycyjni, było na miarę zaskoczenia nową sytuacją, ale czy na miarę polityków za których chcą uchodzić? Ja też wielu rzeczy się boję, także myśli, że na ulice znowu wyjeżdżają czołgi, a na skrzyżowaniach ulic żołnierze grać będą dłonie nad piecykami, gdzie płoną nasze nadzieje. Powinienem być wdzięczny ludziom, że mnie chronią przed niebezpieczeństwem — a jakoś nie jestem. Między innymi z powodu formy. Bo oto w telewizji obejrzałem jak nasi oddają lekką i drżącą ręką, co zostało skreślone ręką milionów. Rozumiem, że okrągły stół, wojsko, MSW... ale czemu ta drżąca ręka, i czemu się mówi o dramacie konstytucyjnym, kiedy był to tylko dramat przegranych.

Wyszedłem na ulicę czując, że niosę w sobie dynamit. Szukałem ofiary wybuchu. Spotykałem jednak tylko ludzi równie wzburzonych jak ja. Dopiero nazajutrz wpadł mi w ręce jeden z aktorów niefortunnego występu. Człowiek jest delikatnej kompleksji, a ja byłem już wykrwawiony w gniewie, więc delikatnie pytam czy wie, że wyborcy czują się zrobieni w konia, że „Solidarność” jest na dobrej drodze do utraty tego gigantycznego kapitału, który nagle spadł jej z nieba.

Nie patrząc mi w oczy przyznaje, że popełniono grubą niegrzeczność, tłumaczy zawile, a z tego kłębka wypada myśl, że jesteśmy mrówką, która nagle otrzymała polityczne ciało słonia, jak tu się dziwić, że nie potrafimy kierować trąbą. I nagle patrzy na mnie z lękiem, jak po operacji plastycznej piękna kobieta spogląda w lustro, i pyta — a ja... jak ja wypadłem w telewizji... chyba nieźle?

Wzruszające jak wiele sprzecznych funkcji w naszej propagandzie pełnił Wielki Brat. Czasami zmieniał płęć i stawał się siostrzyczką, kiedy indziej barankiem, a i wilkiem bywało. Teraz bez tej okrutnej i łagodnej bajki — którą, jeśli dzieci były niegrzeczne opowiadało się od pyska, jeśli grzeczne od ogonka — bezzębna babcia naszej propagandy jest bezradna.

Tuż przed wyborami pokazano tow. Kanię. Liczono, że wzruszy wyborców, jako I sekretarz, który władał za pierwszego wcielenia „Solidarność” i było za jego kadencji całkiem przyjemnie. Podobał się wtedy szczególnie starszym paniom, bo przypominał poczciwego plebana, co właśnie odszedł od suto zastawionego stołu. Po telewizyjnym występie telewidzowie uznali, że lepiej by nie wstawał od stołu i skreślono go na liście krajowej,

również ze starymi aparatczykami. Bo trudno było równie bajdurzyć na temat najciekawszego okresu w naszej powojennej historii. A najnudniejsze było to, co Kania miał do powiedzenia na temat najciekawszy w tym niezwykłym czasie. Mam na myśli słynną zabawę w „wejda — nie wejda”. „Były Pierwszy Sekretarz opowiadał jak to tłumaczył, prosił, przekonywał stolicę Mocarstwa i jakie to było ciężkie”. A szczegóły? Jeszcze nie czas, wdychał nasz poczciwy partyjny kapłan. Czyżbyśmy ciągle nie dorośli do brzydkich słów? Znając mafijne obyczaje w komunistycznych partiach, można się łatwo domyślić, co towarzyszył Leonid krzyczał w ucho telefonu i co było mu odjękiwane.

— Jaja wam urwę, skurwysyny.

— Dajcie nam jeszcze trochę czasu towarzysze, my to we własnym zakresie.

Najbardziej bulwersuje nie jakaś tajemnica w naszej współczesnej historii, ale jej brak. W miejscu gdzie się spodziewano sensacji, odkrywamy tylko małych ludzi i strach, większy od nich, ale już wyschnięty i nawet bez brzydkiego zapachu.

Na wsi gniazdo bocianie, kolorowe strzępki plakatów „Solidarności”, skrzypi drewniany wóz, a koń wyuczonym od tysiącleci ruchem kłania się piaskowej drodze. Na wozie jadą młodzi, ładne dziewczyny i chłopcy, ubrani w dzinsy i koszule kupione w Peweksie, nie inaczej wyglądają niż ich rówieśnicy w mieście. Jak to się więc dzieje, że kolejne pokolenia wiejskie, gdy się starzeją, wskakują bezwiednie w zaniedbanie poprzednich, a twarze upodabniają się do twarzy struganych z drewna świątków przydrożnych. Może ci właśnie młodzi są pierwszymi, którzy już się nie mieszczą w dawnej skorupie?

Starzy gospodarze sprzedają mi truskawki i jajka. Pytam o wybory. Wysłali syna, jak zwykle, by za nich głosował. Powiedzieli mu żeby rodzice przyjechali osobiście, bo inaczej nie wolno. „Co się dzieje” — nie mogą się nadziwić chłopci. „Od powojnia sąsiedzi za nas głosowali, potem syn jak dorósł, a teraz nagle nie wolno. Przecie my chcieli na „Solidarność” głosować. Znowu Partia oszukuje”.

Znajomi gospodarze ilekroć ich widywałem, okrutnie narzekali, mówili o władzy co zawsze gnębi chłopca, o mieście, które jak zawsze myśli o sobie. Wysłuchiwałem, czego nie ma, prawie niczego, a gdy coś jest, to takie drogie, że chłop nie kupi. Mówili, że kilogram gwoździ kosztuje 1500 zł, a kg żywca 850 zł, komu teraz opłaci się hodowla. I słyszałem w tym narzekaniu nutę, która jak czarna nić ginie gdzieś w mrokach chłopskiej niedoli. Teraz po raz pierwszy — milczeli. Jak milczą półki naszych sklepów. I po raz pierwszy naprawdę przestraszyłem się.

Bynajmniej nie pocieszyli mnie inni gospodarze, którzy nagle zapytali, czy bym nie kupił od nich cielaka.

— Kawaleczek cielaka? — pytam, żywo zainteresowany, bo mięsa w sklepie nie uświadczysz.

— Calego, sam pan oprawi i zabije. A do skupu nie oddamy. Podziękowałem grzecznie, „na razie jeszcze nie”. Strach tracić takie możliwości, bo a nuż wkrótce przyjdzie pójść z krową na sznurku do miasta, a o zabicie poproszę któregoś z generałów, chyba że już wszyscy będą zjedzeni.

Po wyborach w panikę wpadli nie tylko naczelni architekci zwycięstwa. Ostrej trzęsionki dostał aparat partyjny i nomenklatura.

Znana mi wdowa po pułkowniku UB, poczciwa staruszka co tyle sympatii okazywała mi w stanie wojennym, teraz barykaduje na noc drzwi — bo przyjdzie „Solidarność”, wywlecze z łóżka, pozbawi życia, lub co gorsze, pohańbi.

Partyjny intelektualista od wyborów budzi się z bolesnym skurczem serca. A przecież pamiętam, że w stanie wojennym chciał za mnie poręczyć gdy zostałem internowany.

Oni nas lubią, ale tylko gdy leżymy ze związanymi rękami. To ludzie nomenklatury, przez ponad 40 lat przysiani do wielkiej piersi władzy, dzisiaj wyschłej i jałowej. Ich strach, to nie jedynie obawa przed utratą przywilejów, a również nie w pełni uświadomiony, dlatego tak głęboki lęk przed karą za zrujnowanie kraju.

Ostatnio czas przyniósł Polsce nie tylko największą po wojnie swobodę, ale również sprowadził na nasze społeczeństwo nowe formy lęku i niepokoju. (Lęk niepojęty dla cywilizowanego świata, że się nie dostoi w kolejce do sera, czy toaletowego papieru — zaliczam do lęków z siwizną na skroniach).

Nowym polskim lękiem jest lęk przed wstępowaniem do odrodzonej „Solidarności”. Stąd tak wolno, chociaż nieuchronnie, rośnie liczba członków Związku. Ten lęk, czy raczej niepokój, jest skomplikowany i na ogół nie wydaje się podszyty tchórzem. W Polsce jak się wydaje, niemal wyczerpany został zapas nadziei. Powstanie „Solidarności” w roku 80 było zdarzeniem niezwykłym, niemal cud, ruchome święto. Cud z poderżniętym gardłem, to straszne. Dlatego nikt teraz nie jest równie ostrożny co Polacy w lokowaniu swoich kilku ostatnich kropel nadziei.

Pisząc właśnie te słowa słuchałem muzyki, przerywanej brutalnie przez radiowy dziennik, a zanim zdążyłem wyłączyć radio, usłyszałem, że w Moskwie, redaktor naczelny *Gazety Wyborczej* Adam Michnik, pod ramię z Andrzejem Werblanem, spotkali się z przedstawicielami ugrupowań niezależnych. (Poczułem jakby

ktoś mi robił z mózgu koktail... Werblan — Michnik — rok 68. Moskwa — dysydenci...).

Wczoraj, powiedzmy na schodach, a może w kuchni widziałem jak X prosił żeby Y zadzwonił do G, by ten ubłagał swoich, co najmniej 30 z drużyny Wałęsy, żeby dali gwarancję iż będą głosować na J. jako Prezydenta. Tylko wtedy wejdzie On ponownie na scenę naszego politycznego kabaretu, z której przecież ku uldze kilkunastu milionów Polaków dopiero co zszedł. W tym samym miejscu ktoś opowiada mi, że posłowie SD zapragnęli odejść od PZPR i przyłączyć się do klubu opozycyjnego, ale słynny do niedawna z radykalizmu działacz opozycji K. ubłagał ich by tego nie robili — „nie możemy dopuścić by Partia się rozpadła”.

Nasze salony są nie tylko na miarę naszych kompleksów, ale również marzeń o lepszym życiu, którego nie dano nam zaznać. Tworzyliśmy je nawet w piwnicach stanu wojennego. A potem zaczął się czas wizyt w zachodnich ambasadach, z okazji celebrowania różnych nie naszych rocznic. Zdarzyło się nawet, że władza ludowa, przerażona zasięgiem zjawiska, próbowała nas z tych ambasad wykurzyć. Sprawa „szpiega” Millera. Ale było to żalosne, na miarę małych aferzystów, którzy się za to wzięli. (I pomyśleć, że to wszystko działo się przedwcześnie!). Nikt się wtedy nie spłoszył, a ręce Zachodu co mąciły naszą czystą wodę, stały się rękami, które mają zdychającemu PRLowi dać papu i picie. Opozycja zadomowiła się na dobre w zachodnich ambasadach, a różni groźni ludzie podziemia, są tam oglądani przez oczy Zachodu, jak ciekawe przypadki wschodniej fauny i flory.

4 lipca wiadomo, że należy opóźnić wakacje, bo jest bal niepodległościowy u Amerykanów. Jak zwykle długa kolejka do obowiązkowego uściśnięcia dłoni państwa ambasadorostwa. Jeśli ktoś stojąc w tej miłej kolejce obejrzał się, zobaczył wąsy anten na pobliskiej willi generała Jaruzelskiego. Pani ambasadorowa ścisła mi dłoń i mówi, że bardzo się cieszy i wymawia moje imię — pamięta moje imię w tak dostojnym tłoku — lza wybrzusza mi powiekę, ale szybko schnie przy biegu do kolorowych straganów, gdzie jak egzotyczne rośliny krzewią się alkohole.

Tegoroczne przyjęcie zapowiadało się mizernie z powodu sesji Sejmu i Senatu, jednak pobieżna nawet lustracja mówi, że Sejm już zakończył obrady a po chwili widać, że przed chwilą sesja Senatu dobiegła końca, bo zjeżdżać zaczęli w wielkim pośpiechu Senatorowie. Cóż za niezwykłą siłą przyciągania mają te zachodnie krótko strzyżone wysepki, że cały Sejm i Senat zaraz tam wali, prosto z Wiejskiej. Czyżby ta Wiejska była doprawdy aż tak wiejska? I cóż tu przyciąga mimo zmęczenia tyłu naszych

mężów stanu? Przecież nie alkohole, nie błękitna woda basenu i, w końcu, nie możność spotkania się i pogadania, tego mamy po dziurki w nosie. Chyba więc jednak kompleks niższości wobec zachodniego świata, od którego nieubłaganie oddalamy się, i przyjemność, że na tak odległą wyspę wchodzi się tak łatwo suchą nogą. I może też poczucie, że należy się do elity, zapraszanej już co prawda z awansami. (To nie są prawdziwe pany, te w Senacie, to awanse — miał rzec prosty człowiek po obejrzeniu w telewizji debaty). Nowe czasy widać w ambasadach również po sposobie w jaki krążą goście. Niegdyś ci od władzy dbali, by ich orbity nie krzyżowały się z drogami opozycji, nie inna była dbałość drugiej strony. Teraz widać troskę przeciwną, wszędzie duże i małe spotkania wczoraj jeszcze śmiertelnych wrogów, i to wszystko z uśmiechem, jakby nawet ów słynny Duch Porozumienia Narodowego, który z takim upiornym wyrazem twarzy przechadza się po naszym parlamencie, a nocą straszy chłopów na polnych drogach, tu uczył się pogody ducha.

W tym roku jednak ambasadę amerykańską pobiła na głowę francuska, z powodu rocznicy Wielkiej Rewolucji. Przybył nawet sam generał, niosąc pod pachą aureolę przyszłej prezydentury. Opowiadała mi o tym przyjęciu znajoma, osoba niezwykle energetyczna. Spłoszyło ją najpierw dosyć powszechne nadszkakiwanie generałowi przez wielu opozycjonistów, potem nieudana próba, nie po raz pierwszy podjęta, porozmawiania z kilkoma działaczami „Solidarności” o Związku właśnie. Opędzali się od tego jak od natrętnej muchy, szczególnie oburzeni, że właśnie w miejscu tak przyjemnym zawraca im się głowę tak nieprzyjemną i kłopotliwą sprawą.

Już od jakiegoś czasu zdawało mi się, że nasza opozycja, ta która weszła w obszar promieniowania władzy, zaczyna cierpieć na typową dla napromieniowanych chorobę — arogancję.

Najsympatyczniejsi, najwięcej mają w sobie światła ci, co przegrywają, byle nie za bardzo i nie za długo. Władza i polityka demoralizują, to banał tak wielki, że ledwie spod niego wystaje ogon prawdy. Nasze pretensje zdają się więc naiwne, jakbyśmy byli dziećmi, które nie znają swojej własnej ułomnej natury. Problem w tym, że cały nasz ruch tak głęboko był zanurzony w płynie moralnym. Dlatego krople, które po wynurzeniu spadają, stają się chińską torturą. I jak tu zapomnieć to nieustanne wystawianie wszystkim wokół cenzurek moralnych. Do dziś tyle ofiar chodzi z nimi na plecach, zasłużenie lub niezupełnie. Moja krytyka zdaje się niestety należeć do tej samej szkoły, gdzie z braku miecza, uczono władać ostrymi jak brzytwa opiniami. Nowe czasy zdają się dopominać nowej broni.

Z każdej jednak pozycji widać że moralści, którzy stają się politykami w krajach gdzie stan rzeczy to nie linia prosta a

węzeł, nie tylko przestają być moralistami, przestają być moralni. Nie jestem politykiem, dlatego łatwo mi się przyznać, że w dzisiejszej gmatwaninie często nie wiem gdzie jest prawda i rozsądek. Stać mnie jednak na współczucie dla tych, którzy będą dzisiaj podejmować decyzje, na dodatek w przekonaniu, że robią to za nas i dla nas.

Mimo wewnętrznych sprzeciwów, rozumiem, że nasza opozycja jest skazana na grę z dogorywającym komunizmem. Tylko jak obcując z tak ciężko chorym, dociskając go do ściany (po próbie tańca, przyjdzie dociskanie — tego jestem pewien), jak przy okazji nie zarazić się paskudztwem?

Odrodziły się i dostały błogosławieństwo tego samego prawa, które je zdruzgotało, stowarzyszenia twórcze. Związek Plastyków odradzał się w bólach swarów. Bardziej płynnie i na moich oczach Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich (zmiana nazwy, z powodu kradzieży przez nowotwór partyjny, starej — może i dobrze, bo to przecina symboliczną pępowinę ze stalinizmem, który ZLP niegdyś tak hojnie karmił zatrutym słowem). Na obu szumnych zjazdach na szczęście tylko lekko zapachniało martyrologią. Była za to ogromna liczba przemówień, z których niewiele wynikało, bo cóż mogło wyniknąć, w których niewiele nowego powiedziano, bo przecież już wszystko zostało wcześniej wygadane. Najzaciejsi w tej sytuacji wydawali się ci, którzy milczeli, ale jako, że zjazd milczący byłby nie do zniesienia, należy podziękować tym, którzy przemawiali. Nie było triumfu, też godne pochwały, tylko delikatne zadowolenie, zasnuwane mgłą zmarnowanych lat i gęstniejącym kurzem z katastrofy w jakiej znalazła się książka i piśmiennictwo nasze. Póki co nowe Stowarzyszenia nie posiadają nic — co ma jedną wielką zaletę — nic stracić nie mogą.

Zdarzeniem, które narobiło sporo hałasu, była próba zabicia przez „Solidarność” swojego dziecka w postaci Komitetów Obywatelskich, czyli ciał powołanych dla obsługi wyborów. Tych Komitetów powstało około 600. Rozwiązane miały być tylko Komitety Wojewódzkie, ale było to uderzenie w samą instytucję. Dlaczego? Aż strach powiedzieć — z lęku przed konkurencją. Komitety krzyknęły, że chcą żyć, a wśród działaczy doszło na tle tej decyzji do ostrych sporów. „Solidarność próbuje być opozycyjnym monopolistą” — ostrzegano.

Byłem na kilku spotkaniach Komitetu Warszawskiego, za męt panował tam niesłychany, wkrótce też nie wiedziałem o co komu chodzi, a najgorsze, że każdy kto przemawiał zdawał się mieć świętą rację, chociaż nie ulegało też wątpliwości, że każdy następny głos kłócił się z poprzednim. Tak zapewne wyglądały

owe słynne sejmiki szlacheckie. Nie wiedziałem, że dożyję tak odległej przeszłości.

Osobliwa sytuacja, oto komuniści, którzy nigdy jeszcze, nikomu, nigdzie, nie oddali władzy, ani się nią nie dzielili, u nas bardzo chcą się podzielić. Ta chęć okazała się jednak tylko powierzchowna co pozorną. Generał ustąpił Wałęsie tylko kawałek rządu, najmniej apetyczny. I nadal wszędzie, na każdym kroku, przy każdej decyzji, władza dba żeby zachować korzenie i pień, a udostępniać tylko kilka gałęzi. Jako, że dzisiaj całe drzewo usycha, opozycja wcale nie ma łatwej odpowiedzi, nawet gdy się jej proponuje te nieszczęsne gałęzie. Były na ten temat spory i trwać one będą — co brać, a czego nie. Przeważało jednak zdanie, że wchodzić do rządu to brać odpowiedzialność za stan rzeczy, z niewielkim tylko nań wpływem.

Próba stwierdzenia co jest mniejszym złem, tak piekielnie trudna, gdyż dzisiaj mniejsze zło waży o wiele więcej niż jestesmy w stanie udźwignąć.

Podziwiam żywą inteligencję u wielu osób z naszej parlamentarnej opozycji, sztukę oratorską u kilku, ale nie jestem pewien czy całe to godne szacunku towarzystwo posiada kulturalne chamstwo, które jest niezbędne w polityce. Pewien typ politycznego sprytu posiada bez wątpienia Wałęsa, nie posiada za to innych cech, które politykowi się przydają. Bardzo bym chciał uwierzyć w mądrość oraz intuicję naszych opozycyjnych rabinów — kładłbym się spokojnie do łóżka, a czynię to nie-spokojnie, właśnie z powodów łózkowych. Bo przecież 13 grudnia pamiętnego roku, właśnie ci ludzie, wszyscy co do jednego, układali się spokojnie do snu, chociaż już od miesięcy nawet ptaki były ubrane w wojskowe mundury. Uczymy się jednak na błędach. Oto nasi opozycyjni przywódcy już wiedzą, że w PRL-u istnieje armia i MSW, które wykonają każdy rozkaz, oprócz strzelenia sobie w łeb. Szkoda, że prawdy spóźnione a istotne, mają zwyczaj nieproporcjonalnie rosnąć i zasłaniać cały polityczny horyzont.

Jedyny sprawny mechanizm w PRL, czyli mechanizm selekcji negatywnej, doprowadził do sytuacji, że w roku 1989, gdy zaświtała jutrzienka swobody, jedynymi kandydatami na prezydencki fotel okazał się zwierzchnik armii i zwierzchnik policji.

Mniej więcej w tym samym czasie, najślynniejszy Polak przyjmował w swojej gdańskiej willi prezydenta Busha, a podczas tego śniadania wydawał się nie mniej spłoszony, co w średniowieczu chłop, pod którego strzechę wszedł na chwilę król, gdy zagalopował się podczas polowania. (To nie jedyny powód dla którego Wałęsa jako Prezydent, to prawie tak niezręczne, jak Jaruzelski).

Prezydenckie wybory przeżyłem na prowincji, gdzie właściwie nie byłem w stanie ustalić czy kogokolwiek to zdarzenie interesuje. Skorzystałem z chłopskiego telewizora i byłem pod wrażeniem proceduralnej gmatwaniny, która trwała tak długo, jakby wszyscy chcieli odwlec jakieś paskudztwo. Gdy generał przesłiznął się na prezydencki fotel jednym tylko głosem, wraz z milionami ludzi odczułem powagę komizmu tej sytuacji. Oto kilkunastu naszych celowo oddało głosy nieważne, zaś kilku kazało odczytać oświadczenia, że w farsie udziału nie wezmą. Gdyby udział wzięli, farsa uzyskałaby drugie dno, a może nawet stała się dramatem.

Nie posiadam prawie żadnych emocji wobec generała, co jest o tyle dziwne, że dobrze pamiętam jego dawne i nowe grzechy — każdy z nich z osobna, w normalnym państwie wyklucza polityka, z pełnienia jakichkolwiek politycznych funkcji — ale kto powiedział, że żyjemy w normalnym państwie?

Nazajutrz Prezydent udzielił prasie wywiadu, z którego dowiedzieliśmy się, że „najważniejsze jest, że minione 45-lecie stworzyło mocny społeczny i materialny fundament”. Były nawet zwierzenia osobiste — Prezydent przyznał, że wraz z rodziną był zesłany na Syberię, i chociaż stracił tam ojca uważa za „rzecz niegodną, aby najcięższe nawet doświadczenia osobiste rozmieniać na drobną monetę”. Co myśli o stanie wojennym? „Gwałtownie pociągnęliśmy za hamulec, posypało się szkło, ale pociąg nie wykoleił się”. Brawo, mam już dosyć Polski jako tonącego statku (stąd niedawno moja metafora z drzewem), ta zaś kolejowa metafora, niezwykle wzbogaca i tak już bogate poetyckie środki jakimi próbuje się opisać nasz żalony stan. Te poetyckie ambicje nie zmieniają faktu, że nasz Prezydent jest najbardziej pozbawionym wdzięku człowiekiem jakiego zdarza się publicznie widywać. Ale to pół biedy, cała bieda w tym, że Prezydent jest tym samym człowiekiem, który wprowadził nasze wojsko do Czechosłowacji, jest odpowiedzialny za czystkę rasową w roku 68 w armii (śmiały niż ustawy norymberskie), strzelanie do stoczniovców w roku 70, no i to pociągnięcie za hamulec! Cieszy mnie, że nasz Prezydent, jak na męża stanu przystało, nie zmienia poglądów, tylko je różnie cieniuje. Ma zasady, to ważne, garnizonowe, ale zasady.

Mój znajomy, kiedyś zawodowy wojskowy, wspomina jak niegdyś podczas służby otrzymał informację, że do jednostki zmierza Minister Obrony Narodowej. Postawił na nogi wartę, a gdy generał przybył, zameldował się. Podczas tego meldowania, generał lustrował go uważnie, najpierw buty, potem spodnie, guziki, policzki... wszystko zgadzało się szczęśliwie z regulaminem. — Byłem trochę przerażony — wspomina znajomy — że Minister Obrony zajmuje się takimi głupstwami.

Ja jestem nie mniej przerażony, że teraz zajmuje się czym innym.

Wakacje. Samochodem w kierunku suwalskich jezior. Brak paliwa na benzynowych stacjach. I wszędzie po drodze to przynębiające zaniedbanie, wśród którego rosną prywatne szpetne wille, tak obszerne, jakby żywiły się okolicznym niechlujstwem. Wznoszone wbrew przepisom, podatkom, brakom materiałów, przez całe życie krwią, łapówką, kradzieżą i harówką.

Zajeżdżam do kilkutyśięcznej miejsciny, krzywej i brudnej. Mieszka tam mój znajomy. Prowadzi mnie do działacza „Solidarności Wiejskiej”, który posiada gospodarstwo, a zarazem jest w miasteczku ślusarzem. Otwiera drzwi człowiek odziany jedynie w krótkie gatki, ale umiejący zachować w tej sytuacji godność osobistą. Nareszcie spotykam kogoś, kto nie jest złej myśli, chociaż trudno powiedzieć aby był myśli dobrej. Nazajutrz naradza się z pięcioma działaczami z Gminy i będą rozstrzygać sieć rolniczej „Solidarności”. Związek ten powstaje niezwykle szybko, nie ma w ogóle co porównywać z „Solidarnością” miejską, mówi się, że nawet szybciej niż w roku 80. Rolnicy czują, że miasto ich sprzedało i własna organizacja wydaje się ostatnią deską ratunku. (Obawiam się, że nabiją na nią gwoździe, by uderzenie było bardziej bolesne). Do mieszkania wchodzi 13-letnia córka działacza, wraca z lekcji angielskiego. Angielski tutaj? — dziwię się mało grzecznie. Pokazuje przez okno na stojący opodal dom kultury, na parterze remiza strażacka, a na dachu łśni talerz satelitarnej anteny. No, no, kręcę głowę z podziwem. Jeszcze jeden znak, że za wszelką cenę chcemy wskoczyć w XXI wiek, chociaż bez butów i w samych tylko reformach. Dziewczynka wyjaśnia, że jedynie tę antenę mogą wszyscy oglądać, bo odbiornik stoi w gabinecie dyrektora, który na światowe biesiady wpuszcza tylko miasteczkowych dygnitarzy. Wyglądając przez okno, widzę jak z pobliskiego baru wynoszą się obywatele, którzy zdają się przemieszczać jak maślane muchy.

— Były tu takie trzy źródelka — wyjaśnia działacz — plus kilka melin. Ksiądz walczył przez trzy lata, bo jest podobno ustawa, że sprzedaż alkoholu ma być w odległości większej niż 300 metrów od kościoła. Dwa zamknęli, ten się ostał, bo zabrakło kilku metrów. A pijaków jest ilu było.

— Wielu pije? — pytam.

— Nałogowo więcej niż połowa mieszkańców.

On też pije, ale tylko raz w tygodniu, kulturalnie, bo w domu. Bardziej niż alkohol, martwi go straszliwa demoralizacja, łapówki, układy. Bo tu wszystko ze sobą splecione, nawet ksiądz z milicjantem. On też w układach, inaczej nie da się żyć.

Najgorsze, że tak wielu żyje się z tym wygodnie, inni nie potrafią już inaczej.

— Nowa sytuacja nie rozbije układów?

— Coś jakby się teraz rozwarło, uchyliło, tylko strach, czy nie po to, by nas wessać.

Wracam ze znajomym na obiad, a po drodze pytam czy świadczy tu jeszcze usługi mechanik, który mi kiedyś tak sprawnie nareperował samochód. Okazuje się, że już go nie ma, nie ma go szczególnie, bo zarazem jest. Pije, z domu rzadko wychodzi. Ludzie mówią, że pije w łóżku. Był niedawno po raz pierwszy na Zachodzie, pracował tam dwa miesiące i ma teraz na rok leżenia. Oświadczył, że już więcej za złotówki pracować nie będzie.

Zwabiony zapachem wchodzę do prywatnej piekarni. Syn właściciela, młody chłopak, mówi, że rzucił studia, studia już się nie opłacają, woli pomagać ojcu. Interes idzie średnio, wszystkiego brakuje, dręczą idiotyczne przepisy i podatki, ale najgorsze, że nikt już nie chce pracować. Pytam jaka pensja piekarza? Dwukrotnie wyższa niż profesora uniwersytetu. Zachodzę do sklepu z obuwem, a nuż coś będzie. Buty tak długo broniły się przed kryzysem, aż dziw, ale jak się poddały to na całego. Sklep oczywiście wygląda jak szatnia w lecie, jest tylko ekspedientka i jakaś kobieta, przyjezdna, która mówi.

— Słyszała pani, Gorbaczow był w Niemczech, znowu się Ruskie z Niemcami dogadują.

— To mówi pani, że będą rozbiory — przestraszyła się ekspedientka.

— Bez wątpienia, prędzej czy później. Tak ludzie u nas mówią.

— To znowu trza się będzie gdzieś przenieść?

— Ja z Wrocławia to nie muszę. A mówię pani, że już lepiej pod Niemcem niż pod Ruskim.

Znajomy uruchamia żonę do obiadu. Jest kotlet schabowy. Widząc moje wzruszenie, którego nie potrafię ukryć, mówi.

— Na prowincji, jak podczas okupacji, żyć jednak łatwiej. Po obiedzie pokazuje zdjęcia ślubne córki. — Wyszła za Niemca... zachodniego — dodaje z satysfakcją.

Okazuje się, że pewna dziewczyna z miasteczka pojechała do RFNu, i za nią jak po sznurku inne, również córka znajomych. Na zdjęciach ładna, szczupła dziewczyna, a obok pan młody, o prowincjonalnej grubej twarzy, jakby przed chwilą połknął piwo razem z kuflem.

— I pomyśleć, że oboje z mężem straciliśmy ojców, bo ich hitlerowcy zabili — lamentuje żona znajomego, potem opowiada, że na przyjęciu ślubnym był stary SSman, uśmiechał się i mówił, że był kiedyś w Polsce.

— Żadne upokorzenie nie jest nam oszczędzone — wzdycha znajomy.

Jadę w kierunku upragnionych jezior suwalskich, mijam niewielkie miasteczka, wszędzie powiewają narodowe i zielone flagi. To strajkuje Samopomoc Chłopska, Kółka Rolnicze i podobne im twory władzy ludowej, które miały zaprowadzić socjalizm na wsi, a przyczyniły się do jej całkowitej ruiny, teraz otwierają dzioby — pieniędzy. Widzę też wiejskie sklepy, jakieś dziwne, bo w środku bieleją ekspedientki, ale nie ma kolejek. Staję więc przed jednym w celu poznawczym. Zamknięty. Pukam w szybę. Podchodzi kobieta i wyjaśnia, że trwa strajk — napięcie jest straszne — mówi, jakby reklamowała jakiś niebywały towar.

W końcu wjeżdżam na główną ulicę Suwałk. Zaniedbanie nie inne niż wszędzie, domy oblażą ze skóry, tylko nieco z boku okazały i czysty Dom Partii, którego nie zdążono wymusić na szpital w czasach anarchii. Bardziej z nawyku, niż w nadziei, wchodzę do towarowego domu. Niedawno oddany do użytku wielki hangar ziele towarową pustką, hulają za to przeciągi i tłoczy się spocony, prowincjonalny tłum jak w wiejskim PKSie. W dziale sportowym ze zdumieniem widzę wiązania narciarskie, Markery, na czeskiej licencji, kupuję, szybko, w lęku, że ktoś mnie uprzedzi. Potem ogarnia mnie zwątpienie czy dobrze zrobiłem, przecież mam narty w niezłym stanie. W pobliżu sklep spożywczy, rozgorączkowany tłum i dwie milicyjne suki. „Co się dzieje” — pytam. — „Cukier, cukier, panie, przywieźli! — obwieszcza uroczyście jakaś poczciwa niewiasta. Dwie inne panie drą właśnie włosy u wejścia do sklepu, a milicjanci próbują je rozdzielić. W samym centrum odnajduję siedzibę Regionu. Wisi tablica „Solidarności Wiejskiej”, niżej, „Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”, pod nią „Solidarność — Region Pojezierze”, nieco z boku reklamuje się „Unasiennianie Zwierząt”, zaś najniżej, na chodniku, leży pijak, z koszulą jeszcze bardziej rozdartą niż to się zdarzyło Reytanowi, i z nie mniej dramatycznym wyrazem twarzy. — Nie idę, jestem na wakacjach — postanawiam, ale uspołecznione nogi same mnie niosą.

W środku całkiem schludnego pomieszczenia, jedyną żywą istotą zdaje się dalekopis. Wychodzę i już w pobliżu samochodu zaczepia mnie człowiek, w którego twarzy okolonej jasną bródką uderzył mnie wyraz stanowczej łagodności. Nie wiem co zobaczył w moim obliczu, w każdym razie odgadł skąd z niczym wracam. Wita się — Tucholski, przewodniczący Regionu. On też na wakacjach, wpada tu czasami na chwilę. Wybrano go niedawno, po wielkich perturbacjach gdyż w tym Regionie powstały trzy skłócone ze sobą zarządy. Uzgadniamy, że damy

temu tematowi spokój. Pytam go jak buduje się Związek. Niezwykle opornie. Niewielu ludzi wstępuje. Przed wakacjami sporo osób przychodziło pracować społecznie, teraz nie można nikogo znaleźć na etatową robotę w biurze.

Opowiada o sobie, pracował niegdyś na kolei, w stanie wojennym na krótko internowany, zatrudnia się jako hydraulik, by w końcu zostać nauczycielem historii. „Jak pan zauważył stan wojenny nauczył mnie historii, niejako podwójnie”. Pytam go jak widzi przyszłość. Jest umiarkowanym pesymistą. Przy tym odnajduję w nim spokój, odległy rezygnacji, i upór, może bez skrzydeł, ale i bez kopyt osła. Mam wrażenie, że to jest właśnie typ działacza z roku 89. I chyba nie jest to zła formacja. Rozkrzyżczani optymiści roku 80 wywieźli swój optymizm na Zachód. Z tego Regionu wyjechało niemal 70% działaczy wyższego szczebla. Mówi o gwałtownie pogarszającej się sytuacji ekonomicznej i przede wszystkim o powszechnej niewierze ludzi, że coś się da zmienić na lepsze.

Opuszczam Suwałki, cięższy o wiązania narciarskie, próbując wymazać z pamięci wczepione w siebie baby od cukru. Jadę ostrożnie bo w pobliżu sowiecka granica, i oto na poboczu stoi sowiecki samochód dostawczy, kierowca siedzi na masce i zdało mi się, że wstydliwie zasłania twarz polciem słoniny. Potem miejscowi wyjaśnili mi, że oni jak przekraczają granicę, to od razu do naszych mięsnych sklepów. Tam ocalała tylko słonina, ale dla nich to rarytas i mało który się oprze, by od razu nie brać się do konsumpcji... Próbując znaleźć drogę do domku nad jeziorem, staram się równocześnie odnaleźć drogę do źródła naszego przygnębienia, do chłodu naszych uczuć, do naszego oddalania się od mitu Polski, za który jeszcze niedawno byliśmy gotowi oddać życie, bo ten romantyczny patriotyzm był żywy, i teraz właśnie zdaje się umierać na naszych rękach. A przecież jak w niezwykłym śnie widzimy na jawie nasze największe marzenie — dogorywa bolszewizm. Jeszcze nie tak niedawno nie wierzyliśmy w jego koniec za naszego życia. Rozpada się Imperium. Któż się tego spodziewał.

I oto z kim nie rozmawiam, wszyscy mówią za późno, wszystko za późno. Zniszczenia zbyt straszne, by za naszego życia dało się odbudować. I w końcu, co może najważniejsze, a czego prawie nikt nie widzi, bo u siebie widzi się dobrze tylko nogi i dłonie — obrzydliwy komuch, ten przeklęty gnom, zagnieździł się w każdym z nas.

Oganiając się od złych myśli i od komarów, zmierzam nad jeziore. O dziwo są kajaki, jeszcze bardziej poruszające — można je wypożyczać. Dostaję wiosła i kapoki, chcę usiąść, ale w kajaku stoi woda. Proszę pracownika, który się zajmuje sprzętem, by coś z tym zrobił i dziwię się, że gdy padał deszcz nie

zabezpieczył łodzi. Patrzy na mnie jak na straceńca. — Co, pan z Ameryki przyjechał? Brakuje wszystkiego, a czy ja to urodzę?”. Apeluję do jego uczuć wyższych, i mówię, że nawet jakoś go rozumiem, to on powinien być właścicielem wypożyczalni, ale póki co musimy dbać żeby nie utonąć we własnym gnoju. — „Co tam pan będziesz o gnoju opowiadał” — rozgniewał się — „to wszystko wina komunistów i rządu”... (Oto odpowiedź czy wchodzić do rządu). Sam wylałem wodę z kajaka i szybko jak najszybciej na środek jeziora, jak najdalej od PRLu. Podpływają łabędzie, które przy bliższym poznaniu, nie są tak piękne, bo złośliwie podszczypują się w białe kupry. A pokolenia drzew na brzegu zdają się kpić z naszych pozornie nierozwiązywalnych problemów, które rozwiązują się same, lekko jak sznurowadło kosmicznego buta.

I kiedy wydawało się, że już odzyskałem całkowicie równowagę ducha, dzięki metafizyce, powadze drzew i szaleńczej pracy wiosłem, a chłód wody wypryskującej spod drewnianych łopatek koił ból mięśni, ujrzałem nagle, że to piękne jezioro umiera, a wiosła grzęzną w mulistej, żółtej substancji.

Zatrute jezioro, które nie tylko było poetycką metaforą, ale faktem o imieniu Wigry, jak zwykle zbyt smętnie zakończyło mój dziennik. Naprawdę zawsze szukam jakiejś wesołej pointy, ale wesołe pointy najwyraźniej jednak wymarły w Polsce wraz z politycznymi dowcipami. Jezioru jednak nie było dane stać się brzegiem *tekstu*, bo w końcu dopłynąłem do Warszawy, a tam po pełnym udręki czyszcću, który wiedzie przez ambasady do zachodniego raju, uzyskałem wizę francuską. Ach Zachodzie Ty... po co było tyle krzyku, że trzeba obalić żelazną kurtynę. Oto gdy dzisiaj ona cała w dziurach, teraz Wy budujecie mur, by zatrzymać nadlatującą ze wschodu szarańczę.

Ale udało się i jestem właśnie w Paryżu, gdzie przez czas jakiś unikałem tak starannie Polski, że nawet nie od razu zadzwoniłem do Maisons-Laffitte, a gdy to uczyniłem dowiedziałem się, że dogoniłem tu swój *tekst*, zbyt wolno idący pocztą, a on nie dogonił numeru *Kultury*, już męczonę na maszynach. Rozpacz, że wszystko się dezaktualizuje. I oto sam na siebie wydaję wyrok dopisania czegoś. Oślepiiony reflektorem tego miastka, jak mam tu pisać? I leży w żalonych strzępach moje postanowienie, że odpoczywam od Polski.

Mam dosyć. Polska wylewa mi się wszystkimi cielesno- duchowymi szczelinami, muszę odpłynąć. Powtarzałem sobie te słowa jak modlitwę, gdy z braku biletów lotniczych, skazany na małego fiata, posuwałem się tym niepoważnym pojazdem w kierunku bardzo poważnej NRD-owskiej granicy. I nie tylko samochód ten ze swej natury porusza się niespiesznie, ale na dodatek

czułem, że powstrzymują mnie lepkie i ciągnące macki, jakbym wyskoczył z roztopionej gumy. Ta ciągnąca się substancja to nieznosna PRL-owska codzienność, która właśnie tuż przed wyjazdem przybrała postać upiorną. Rozpaczliwe sklepy, gdzie po próbie tak zwanego urynkowienia usadowiła się linia frontu. Zziębnięty tłum z wywieszonym suchym językiem i walka o pięć produktów na krzyż. Nie ma cukru, soli, makaronu, mąki. Gaz podpalam zapalniczką, bo wymiotło zapałki. Daremne tuż przed wyjazdem poszukiwania żarówki, która przepaliła mi się w samochodzie, potem walka o olej silnikowy zakończona dramatycznym pościgiem za samochodem dostawczym, który rzucał na kolejnych stacjach benzynowych po 30 butelek cennego płynu. Zabrakło wódki, co w Polsce kojarzy się z końcem świata. Milion nieuleczalnych alkoholików i pięć milionów nadużywających wyszło na ulice, na razie by ustawić się w gigantycznych kolejkach.

Ktoś nieświadom, że poczta zdycha przesłał mi pieniądze, Pobliska poczta działała już tylko pół dnia, a czasami w ogóle zamknięta. Biorę ze sobą syna i stoimy na zmianę przez kilka godzin. W telewizji, by było weselej, można oglądać beczynne gilotyny i noże rzeźnicze, które mimo tzw. urynkowienia naderemno czekają na prosiących i cieliących skazańców. Nigdy jeszcze nie czułem, że nasze pocziwe mięso ma tak wiele wspólnego z aktem egzekucji. A w tle coraz głośniejsze wyśpiewują swe arie posłowie i senatorowie. Pomyśleć, że jeszcze niedawno słowa ich pieśni kazałyby nam lewitować ze wzruszenia. Oto przyciskane jest do muru MSW i Ludowe Wojsko. Generał Siwicki, co tak dzielnie prowadził naszych ułanów na Pragę w roku 68, teraz się równie dzielnie tłumaczy, ale worek jego twarzy opuszcza się coraz niżej.

Za to coraz wyżej toczy się gra polityczna, której reguły zdają się niewyraźne dla obu stron, a dla zagonionego społeczeństwa rzecz wydaje się dziać w kanałach Marsa. W kolejkach słychać: „Urwać głowę rządowi. Co robi Solidarność?”. A i zdarzało mi się usłyszeć: — „To wszystko przez Żydów”. — Naprawdę pan tak sądzi? — zapytałem kolejkowicza. — „Bo tak jest — odparł — ale chyba nie myśli pan, że jestem antysemitą”. I zobaczyłem, że dałby się wziąć na męki, że nie jest. Jakże typowa u nas pokraczna figura ksenofobiczna.

Wracając do kolejkowego pytania, gdzie jest „Solidarność”? Oto nagle sam uprzytomniłem sobie, że ja nie wiem gdzie w Warszawie mieści się region Mazowsze. Zawstydzony swą niewiedzą, zapytałem kilku znajomych. Nikt nie wiedział. Za to dzięki radiowemu dziennikom wszyscy wiemy w jakich krajach właśnie przebywa z dyplomatycznymi misjami przewodniczący tego regionu.

W przeddzień mojego wyjazdu-ucieczki łapią mnie do radia, bo jest audycja o paryskiej *Kulturze*. Będzie oficjalnie i entuzjastycznie wystana w eter. Przyjemne, ale to też jakby już nie wzrusza. Wstyd.

Próbuję w końcu zostawić i wstyd, i gniew, i zmęczenie, i cisnę leniwy pedał gazu zmierzając do granicy. Tuż przy niej stacja benzynowa. Ustawiam się w kolejce i gdy jestem tuż obok mokrego pyszczka węża, zapyziały pracownik wiesza obszarpaną tekturę z bazgrołem „brak”. Od razu krzyk i tumult — chowają dla zagranicznych. Uciekam od twardniejszego załóżka buntu, jakże dumny ze swej zapobiegliwości, gdyż mam benzynę w kanistrze, zgodnie z moją polską dewizą — „spodziewaj się zawsze najgorszego, a być może czasami spotka cię miła niespodzianka”. Spotkała mnie wkrótce na samej granicy. Ogon samochodowy nie jest wcale tak długi, jak podobno bywa i zupełnie szybko wysysany przez organ celny obu państw, których „przyjaźń” jest już oficjalnie pusta. Sporo więc niepokoju w ogniu, jak to będzie z NRD-owskimi celnikami. Szepty kto co przewozi, jak dobrze chować, kto wyjeżdża na stałe, kto na chwilę. Dużo gadania, a to wszystko by pokryć lęk graniczny, bo trzeba przypomnieć, że mimo wszelkich zmian politycznych, każdy poddany PRL-u ma nadal podczas przekraczania granicy głębokie poczucie winy. Winą jest sam fakt istnienia i że owo istnienie ośmiela się przekroczyć granicę.

Potem tarka zaniedbanej NRD-owskiej autostrady, a wokół, w kontraście z PRL-em pewien porządek, który jednak ogromnie przypomina ład wojskowych koszar, u źródeł którego jest rozkaz, a nie wolna przedsiębiorczość.

I oto zupełnie zlekceważony przez NRD-owskich celników, co mnie nawet trochę zaniepokoiło, stoję u wrót Zachodniego Berlina i już czuję zapach dobrego mydła i widzę blask neonów, gdy nagle zachodniobерliński celnik kategorycznym ruchem ręki każe mi wynieść z pojazdu wszystkie bagaże. Zagłębia się w nich pracowicie dłoń i widzę na jego urzędowo chłodnym obliczu słoneczny promień. Wyjmuje książki i układa je starannie. A wiozę kilka egzemplarzy mojego tomu, który niedawno ukazał się w „Znaku”, kilka sztuk *Res Publici* oraz pisma drugiego obiegu, które nadal redaguję, już doprawdy na ostatnim oddechu. I z tego całego książkowego dobytku układa niezwykle kształtną górkę, na szczycie której kładzie zeszyt mojego syńa, towarzyszącego mi w podróży, oraz jego mały słownik polsko-angielski. Znowu uruchamia stanowczą dłoń i wskazując nią na wschodnio-niemieckie posterunki wyrzuca z siebie ostre słowa, które wielokrotnie obijały mi się o uszy na naszych filmach o okupacji. Rozumiem tyle, że mam się tam wynieść i zostawić książki i pisma. Ogarnął mnie płomień wściekłości. Mój własny

tomik, a co więcej pisma podziemne w łapy NRD-owskich oprawców! Nie ruszę się! Domagam się kogoś, kto mówi po angielsku. Przybył grubasek celnik — tłumaczę mu, że na książce i w stopce redakcji pism jest moje nazwisko, a książki to nie jaja, które polskie baby przywożą tu na handel. Waha się, coś mruczy i jak Piłat umywa ręce, ale we własnych kieszeniach. Trwało to wszystko długo i zbyt było przykre, by się dalej nad tym rozwoździć. W każdym razie byłem już bliski, żeby ten stosik książek podpalić, by przypomnieć młodzieży dobre czasy ich ojców i dziadów. Po kilku telefonach zostałem jednak łaskawie puszczoney, a młody miły chłopak, który przybył na koniec awantury rzekł mi — „Niech pan nas zrozumie, mamy ostatnio tyle kłopotów z Polakami”. Rozumiem, właściwie aż za dobrze rozumiem.

Potem przejazd przez Zachodnie Niemcy aż kapiące od dobrobytu. I jak zwykle tam, dojmujące poczucie, że przegraliśmy ostatnią wojnę doprawdy na wszystkich frontach.

W Paryżu zgodnie z twardym postanowieniem, do nikogo nie dzwonię, unikam telewizji, gazet. A Paryż? Tak wiele o nim pisano, że urósł mu gigantyczny banalny brzuch i trzeba nie byle kogo, żeby nań wciągnąć nowe spodnie. Nie dla mnie to więc praca. W niezłej kondycji przebiegłem wielkie trupiarnie muzeów, w Luwrze zapamiętałem najlepiej ładną twarz dziewczyny pilnującej obrazów i miałem wielką ochotę by kopnąć w zadek wielki tłum, który pochylał się nad oszkloną Mona Lisą. Aż pewnego dnia, jadąc metrem, poczułem niepokój, jakby wiele spojrzeń skupiało się właśnie na mojej twarzy. I zobaczyłem, że oto ze wszystkich gazet trzymany w dłoniach przez sunący podziemiem Paryż, spogląda na mnie oblicze dobrze mi znane. I nawet poczułem miękką uścisk dłoni, który właśnie do tej twarzy należy. Tak objawił mi się nowy premier PRL, a może raczej Polski? Zamykam oczy, ale już wiem, że nie utrzymam w dolnej pozycji powiek. Polska znowu mnie wessała, jakbym nie wiedział, że to dożywocie, a wyjście na przepustkę kończy się zawsze bolesnym powrotem. Więc już tylko myślę o nowym Premierze, którego przypadkiem spotkałem przed wyjazdem i który mi tak miękką podał dłoń. Pal to licho, może Napoleon robił to tak samo. Rzecz w tym, że pamiętam pana Tadeusza z czasów pierwszego wcielenia „Solidarności”, jak się trząsł ze strachu z kilkoma innymi doradcami. Powód do lęku był, to prawda, ale... Ale teraz potrzebny jest człowiek skała, jeśli w ogóle się pchać do tej szaleńczej gry. I już słyszę szepty z Warszawy, że to kandydat mianowany przez Wałęsę, że Geremek dowiedział się po fakcie. Już wcześniej mówiono, że Wałęsa zaczyna się bać warszawskiego zespołu mózgow, chociaż jest mu ta grupa potrzebna i sobie ją ceni. Mazowiecki, chociaż też z

Warszawy, był niejako z innego worka, więc wydawał się niegroźnym dla Lecha kandydatem, bo takim na którego można mieć wpływ. Powtarzam tylko warszawskie szeptki, które na tyle donośne, że jak się tylko przytknie ucho do odpowiedniej ściany — od razu słychać. A czy to prawda? W tym kierunku szły zdarzenia, gdy wyjeżdżałem. A czy to straszne? Nie sędzę. Bagienko jest wszędzie, gdzie się toczy gra polityczna, rzecz tylko w tym, aby nie utonąć.

I jak odgłosy z końskiego targu w małym mazowieckim miasteczku, słychać tu strzępki kłótni o ministerstwa w Polsce. I mam wrażenie, że widzę połamane lakierowane paznokcie władzy, która nie chce się puścić gałęzi.

Dzwoni do mnie znajomy, który podobnie jak ja na chwilę tu, i obaj z przejęciem, jak chłopcy orientalnymi znaczkami, wymieniamy się zdziwieniem, że te wszystkie niezwykle rzeczy w kraju, których odgłosy odbite o paryski bruk wpadają nam do uszu, tak mało nas ekscytują.

Tu, w Paryżu, podobnie jak w całej Europie i w USA, mam dojmujące poczucie, że Polska rozbiła się jak statek (świadomie wracam do banalnej metafory — widocznie ona prawdziwa) i wszędzie, na każdej fali spotykam rozbitków, ludzi ze wszystkich warstw geologicznych mojego życia. Niektórzy już nieźle urządzili w swoich szalupach. Płynę do nich kanałami metra, a potem długie nocne Polaków rozmowy. I jako że mnie nie dotyczą ponad stuletnie potępięcze swary emigracji, bo jestem przybyszem z realnej utopii, w czasie tych długich rozmów rysuje się płynną linią głębokie wzajemne zrozumienie, w którym jest niemal dreszcz miłosnego zbliżenia i wspólny słodki pot przeszłości. Zapalamy razem kaganek, który potem osłaniam dłonią i tak, ostrożnie, wracam do kraju.

Witold CHARŁAMP

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Archiwum polityczne

Niepełny dialog

8 sierpnia równocześnie w Bonn i Warszawie wydane zostało oświadczenie niemieckich i polskich katolików w pięćdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny: „O wolność, sprawiedliwość i pokój w Europie”. Sygnowane przez wiele znaczących postaci — chociaż do pełnego wachlarza przywódców społeczności chrześcijańskiej obu stron daleko, ubogo wygląda to przede wszystkim w niemieckiej części — zawiera duży ładunek dobrej woli i szlachetności. Gorzej z konkretnymi, które nie bardzo są jasne w ogólnikowej tonacji dokumentu polsko-niemieckiego. Zapewne jednak inne, mniej deklaratywne oświadczenie nie byłoby dzisiaj do przyjęcia, co można pokwitować z żalem, gdyż w związku ze zmianami w Polsce należałoby się przymierzyć do mniej kompromisowego i dyplomatycznego dialogu i nie pomijać drażliwych, dzielących Polaków oraz Niemców spraw, odmiennego spojrzenia na historię wzajemnych stosunków, ich konsekwencje, jak i na teraźniejszość — nie wolną od błędów u obydwu sąsiadów. Rocznica wojny jest tak samo dobrą datą jak każda inna, a na pewno umożliwia spojrzanie *sub specie historiae* na siebie wzajemnie. Czas najwyraźniej do tego dojrzał, gdyż narastają nowe żale zarówno u Niemców jak u Polaków i z nowymi trudnościami przyszło się mierzyć społecznościom mieszkającym na zachód od Łaby i na wschód od Odry. W przeciwnym przypadku wciąż jedynym ważnym głosem pozostanie list sprzed 24 lat polskich biskupów do biskupów niemieckich. Co chyba za mało jak na potrzebę ożywienia wzajemnych kontaktów i nadania im nowego wymiaru, nowych uzasadnień.

W tej sytuacji oświadczenie katolików polskich i niemieckich, cenne moralnie, nie jest jednak zadowalające ani dla jednych, ani dla drugich. Tym bardziej, gdy wziąć pod uwagę, że kilkoro z sygnatariuszy odgrywało bądź zaczyna odgrywać ważną rolę polityczną w swoich krajach (*exemplum* prof. Hans Maier i red. Tadeusz Mazowiecki).

Najistotniejsze w deklaracji jest przywołanie wspólnoty historycznej, duchowej i kulturalnych związków, „które przez stulecia formowały klimat intelektualny i kształt Europy środkowo-wschodniej oraz wzajemne stosunki obu naszych narodów”, a także zdecydowane opowiedzenie się za pełnym i ostatecznym uznaniem zachodniej granicy Polski, praw mniejszości niemieckiej w Polsce oraz prawa rozdzielonego narodu niemieckiego do samostanowienia. W tym kontekście specjalnego znaczenia nabiera budowa wspólnej Europy i tendencje zjednoczeniowe, które mogą pomóc w uzdrowieniu płynących z przeszłości problemów moralnych i politycznych trapiących obydwa narody.

Jednym z nich są odczuwane do dzisiaj konsekwencje wypędzenia Niemców z ich ojczyzny, jak i opuszczenie przez Polaków swoich stron rodzinnych. Cierpienia duchowe i fizyczne, które temu towarzyszyły, zostały pomnożone atmosferą nienawiści, jaka na długie lata zatrąła stosunki polsko-niemieckie, uniemożliwiła porozumienie i zepchnęła w niepamięć historyczne związki łączące obydwa narody. Przełamał ją dopiero w znacznej mierze list polskich biskupów, a potem niezwykła ofiarność społeczeństwa niemieckiego w okresie stanu wojennego, po 13 grudnia 1981, kiedy Niemcy pospieszyli „z konkretną pomocą, niosąc ją niezliczonej rzeszy ludzi”.

Na tej podstawie daje się tworzyć przyszłość wolną od rachunków krzywd i wzajemnych pretensji, w której „chodzi o wspólne szukanie prawdy o tym, co się stało i jak się stało”. Dlatego szczególnie należy otoczyć „dzisiaj opieką pozostałości kultury i historii niemieckiej”. To przerwie nacjonalistyczną tradycję nienawiści i resentymentów, pomoże zbudować mosty między naszymi narodami i zrozumieć się nawzajem. Mosty te — jak piszą autorzy — prowadzą w przyszłość, co nie pozwala zepchnąć się z drogi wyznaczonych traktatami międzynarodowymi, w tym podpisanym 15 stycznia Dokumentem Końcowym wiedeńskiego spotkania sygnatariuszy KBWE. Sygnałem nowych możliwości dialogu jest relegalizacja „Solidarności”, która — jak słusznie przypomina oświadczenie — wzbudziła w latach 1980-81 duże zainteresowanie katolików niemieckich, jak i postępy demokratyzacji w Polsce. Oczywiście jest dla sygnatariuszy deklaracji potrzeba udzielenia im wsparcia, które przyczyni się do „przeprowadzenia niezbędnych reform gospodarczych i społecznych”.

Bez tych zmian szlachetne postanie katolików polskich i niemieckich zawiśnie w powietrzu, gdyż jedna strona (polska) może się okazać nieproporcjonalnie słaba i cywilizacyjnie opóźniona względem drugiej. Autorzy oświadczenia (obok wspomnianych warto wymienić: dr Paula Bechera, Elisabeth Erb, dr Bernharda Vogla oraz Władysława Bartoszewskiego, Jana Józefa Szczepańskiego, Andrzeja Szczypiorskiego, Jerzego Turowicza) kurtuazyjnie nie wspominają o tym, ale w podtekście dokumentu widać dążenie do zmniejszenia rozdziału między Niemcami a Polską. Rozdział ten

wynika głównie z materialnych i technicznych różnic, które w najbliższej przyszłości mogą silniej ważyć na stosunkach dwóch narodów aniżeli przeszłość, obciążenia historyczne, nieuregulowane granice. Biorąc pod uwagę, że wojna wybuchła pięćdziesiąt lat temu, trudno uważać ją wciąż za podstawowy czynnik stosunków między państwami.

M.Z.

Czy potrzebna jest „żelazna ręka”?

W 33 nrze *Literaturnej Gazety* z 16 sierpnia pod takim właśnie tytułem zamieszczono rozmowę z dwoma pracownikami Instytutu Ekonomii Światowego Socjalizmu Akademii Nauk ZSSR, docentem Igiem Klamkinem i doktorem Andranikiem Migranjanem, o sytuacji w Związku Sowieckim i możliwościach demokracji. Z ramienia redakcji komentował ją i prowadził Georgij Celms w ramach rubryki „Polityczna trybuna”.

Dla obydwu dyskutantów nie ulega wątpliwości, że demokrację w Związku można osiągnąć jedynie poprzez wzmocnienie dyktatora, zwiększenie osobistej władzy jednostki, w tym przypadku — rzecz jasna — Gorbaczowa. Inaczej *periestrojka* nie ma szans. W inny sposób nie da się wydobyć Rosji z systemu totalitarnego.

Masy bowiem są wciąż dalekie od zrozumienia zasad demokratycznej alternatywy. Nie chcą się zgodzić na obecną rzeczywistość, ale zarazem nie są też zdolne do przyjęcia demokracji ze wszystkimi jej konsekwencjami. Potrafią jedynie wzdychać: „Na Zachodzie jest dobrze, my też chcielibyśmy żyć tak samo”. Tak one, jak wyrażający interesy licznych grup społecznych deputowani ludowi uznają demokrację za swoistą projekcję negatywną totalitaryzmu, którą można stworzyć błyskawicznie, na drodze żywiołowych ruchów bądź rewolucyjnego wybuchu. W uświadamieniu sobie tych trudności niewiele pomaga nawet autorytet Sacharowa, ograniczony do roli ideału moralnego. Jednak drogi do demokracji — jak stwierdza dobitnie Klamkin — nie może wskazać ani Sacharow, ani nikt inny.

Niewielkie znaczenie ma również Rada Najwyższa, formalnie najwyższa władza sowiecka. „Cała władza w ręce rad” jest dzisiaj tylko pustym hasłem, gdyż w rzeczywistości rady delegatów nie

mogą dziś rządzić. Chociażby dlatego, że w Związku Sowieckim nie powstało dotąd ani społeczeństwo obywatelskie, różniące się interesami od państwa, ani nowoczesne państwo. Inaczej mówiąc, brakuje rozwarstwionych grup społecznych, które w instytucjonalnych formach mogłyby dać wyraz różnym interesom. A dopiero na tej podstawie istnieje nowoczesne państwo. Rezultatem tego wszystkiego jest wyraźna sprzeczność pomiędzy demokracją a tzw. *pieriestrojka*.

Dlatego w rzeczywistości sowieckiej skuteczne są tylko reformy odgórne, których wzorem była próba unowocześnienia państwa rosyjskiego podjęta przez cara Aleksandra II. Zamach na niego uniemożliwił wtedy przebrnięcie przez poszczególne etapy modernizacji i stał się przyczyną konfliktów społecznych, a następnie rewolucji. Również dzisiaj droga ZSSR do gospodarki towarowej i rynku jest rozbieżna z demokratyzacją. Dla jej urzeczywistnienia potrzeba żelaznej ręki i autorytarnego systemu choćby typu bonapartystowskiego.

Tym bardziej, że państwo autorytarne jest w warunkach sowieckich znacznym postępowaniem wobec dotychczasowego reżymu totalitarnego. W jego ramach społeczeństwo będzie mogło wyrażać swoje interesy i na ich podstawie dzielić się na różnorakie warstwy i grupy społeczne. A najważniejsze, że w razie czego, gdyby równocześnie zaistniała groźba dla spokoju i harmonii społecznej, przeciwnicy zostaną uspokojeni „żelazną ręką” dyktatora. Potem można będzie zacząć demokratyczne reformy. Inaczej nic się nie uda, a zapominanie o tym jest wyrazem pretendowania do szczególnej roli w historii. Do wyjątkowości. To właśnie zawiodło dawną Rosję do stanu obecnego, nie ma więc sensu powtarzać tego błędu.

W kraju, w którym całkowicie upaństwowiono gospodarkę i zniszczono rynek, wszelkie usiłowania odbudowania demokracji, rekonstrukcji rynku za pomocą państwa jest fikcją. Przede wszystkim nie jest do tego zdolna partia, ale świadomość społeczeństwa — wychowanego w kulcie wyższości socjalistycznej własności nad prywatną (od trzech pokoleń) — nie pozwala na łagodne przejście do demokracji. Rosjanie zaczynają od zera, bo nie mają się na czym oprzeć.

Niedawny zjazd deputowanych ludowych dał tylko złudzenie demokracji, nie posunął jednak realnie do przodu sprawy zmiany dotychczasowego systemu. Wyrosłe na glebie zjazdowych dyskusji złudzenia są tym niebezpieczniejsze, że — w miarę upływu czasu bez sukcesów — wzbudzają rozczarowanie i prowadzą do destabilizacji społecznej. Zjazd mógłby mieć sens tylko wówczas, gdyby otwarcie ujawniono na nim sytuację kraju — stan kryzysu, gospodarkę w rozkładzie, katastrofę społeczną i groźące wybuchem napięcia pomiędzy poszczególnymi narodami Związku Sowieckiego. Jediną szansą byłoby udzielenie przez zjazd nadzwyczajnych pełnomocnictw swojemu przewodniczącemu i utworzenie komitetu ocalenia narodowego. Tym samym zjazd winien był zawiesić funkcjonowanie wszystkich pozostałych agend i instytucji władzy. Lepsza jest

bowiem dyktatura personalna niż tzw. „kolektywne kierownictwo”. Konieczne jest wtedy tylko przekazanie głowie komitetu ocalenia programu ratunku i ograniczenie czasu trwania nadzwyczajnych pełnomocnictw.

Co prawda nie zgodzą się na to ani aparatczycy (gdyż dyktatura byłaby końcem ich władzy) ani demokraci (gdyż popieranie dyktatora prowadzi do zdrady zasad i odtrąca od nich wyborców). Pozostaje jeszcze jeden problem. Dyktator łatwo może zapomnieć o nałożonym nań programie i ograniczeniach czasowych, od czego już łatwy powrót do stanu sprzed lat, do epoki stalinowskiej.

W jakimś sensie wyjściem z tych sprzeczności byłoby oparcie dyktatury na aparacie. Dyktator otrzymałby władzę od aparatu, który w związku z głębokim kryzysem społecznym uformowałby w swoim łonie grupę dostatecznie reformatorską, by mogła poprowadzić społeczeństwo ku modernizacji. To zależy jednak od tego, w jakiej mierze przywódcze kręgi są świadome sytuacji, w której znalazł się kraj. Zasadniczy impuls do zmian wyrasta przecież zawsze z instynktu samozachowawczego, ze zrozumienia konieczności zmian i wyłonienia silnego przywódcy aparatu. Jak dotąd tak się nie stało, dlatego trwa zsuwanie się po drodze destabilizacji. Rozpadają się wszystkie struktury wyższe i niższe, co budzi strach przed przyszłością. Masy rwą się do polityki, jednak nie powstał dotąd mechanizm, który przekształciłby ich sprzeczne interesy w harmonijną całość.

Kto wie, czy zastosowanie *pieriestrojki* przez konserwatystów i sprowadzenie kraju w dawne łożysko stagnacji, chociaż mało realne, nie byłoby mniej groźne od ślepego wybuchu namietności społecznych. W każdym razie jedyną szansą ratunku przed jednym bądź drugim jest demokratyczna dyktatura. Taką, na którą zgodzą się masy. Z tego punktu widzenia naiwnością było wzywianie niektórych deputowanych, aby Gorbaczow zrezygnował ze stanowiska w partii. W gruncie rzeczy oznaczałoby to bowiem klęskę jego samego i *pieriestrojki*.

Powiększenie władzy Gorbaczowa na drodze wsparcia o aparat budzi spór pomiędzy dyskutantami. Zdaniem Klamkina jedyną możliwością jest otrzymanie władzy od ludu, bezpośrednio oparcie się na narodzie. W tym ostatnim zjazd deputowanych był dla Gorbaczowa pomocą, bo pozwolił mu przeciwstawić się strukturalom aparatu partyjnego.

Inaczej widzi jednak rolę zjazdu Migranian. W jego oczach destabilizacja po zjeździe zwiększyła się, a władza reformatorów jest wciąż słaba. Problem bowiem sprowadza się do zerwania z ciężarem przeszłości, tj. z ciężarem nieudanych reform, których autorzy (Chruszczow, Kosygin) chcieli naprawić system gospodarczy bez jakichkolwiek zmian politycznych. Nie udało się to z powodu ich słabej władzy i braku sprecyzowanych celów, a również ich niechęci do zerwania z dotychczasową formą własności. Obecnie szanse są o tyle większe, o ile uda się wzmocnić władzę wodza — reformatora.

Właśnie z uwagi na tę konieczność demokratyzacja jest nieprzydająca do reform. Gospodarkę rynkową można wprowadzić tylko siłą. Inaczej masy — 80% społeczeństwa — jej nie przyjmą jako niezgodnej z ich własną mentalnością oraz jako przyczynę postępującego rozwarstwienia i zróżnicowania dochodów. Rynek jako miejsce walki, ryzyka, ale również bankructwa, gdzie trzeba dużo pracować, żeby lepiej żyć, nie budzi entuzjazmu w społeczeństwie. Dlatego w programach przywódców szukających oparcia u mas, jak Jelcyń, niewiele się mówi o gospodarce rynkowej. Ich interesuje jedynie podział dóbr według zasad sprawiedliwości.

W tym cała trudność sowieckich prób. Reformator winien się oprzeć na masach, żeby uzyskać potrzebną siłę, ale jednocześnie większość społeczeństwa woli populistów i ich hasła od idei na serio. Prawdziwi reformatorzy nie powinni liczyć na sukces u mas. Muszą władzę zdobywać wbrew nim.

Dzisiaj dyktatury bać się nie trzeba, gdyż gwarancją przeciw nadużyciom nadmiernej władzy są — zdaniem dyskutantów — prawa współczesnej produkcji. Strachem nikogo nie da się przecieżyć zmusić do pracy. Stopień technicznego rozwoju wymaga od pracujących motywacji wewnętrznych. Zewnętrzna kontrola niewiele daje i jest nieefektywna. Swoistą formą gwarancji przeciw wynaturzeniom dyktatury jest również sieć powiązań międzynarodowych w ramach światowej społeczności, a także geopolityczne interesy państwa. Polityk winien się z tym liczyć. Nawet, gdy stoi na czele totalitarnego kraju, nie może tego dzisiaj pomijać. Musi przecieżyć troszczyć się o zachowanie jego statusu. A gdy nie starcza mu dla osiągnięcia tego celu rezerw, winien pomyśleć o zmianach. Wyrazem tego jest „nowe myślenie”. Co prawda w systemach totalitarnych częste bywa rozdarcie między szerokim widzeniem świata u przywódców całego kraju a ograniczonym spojrzeniem lokalnych dygnitarzy, którzy nie są zdolni podjąć wezwania rzeczywistości. To powoduje konflikt góry z dołem. Nie jest więc przypadkiem, że reforma w ZSSR idzie z góry na dół.

W historii Rosji było tak zawsze. Klęska wojenna, zagrożenie utraty dotychczasowego statusu sprzyjały modernizacji i za Aleksandra I (gdy zwyciężał Napoleon) i podczas wojny krymskiej. Wystarczyło jednak chwilowe zwycięstwo, a rezygnowano z reform. Toteż w ostatecznym sensie wiara dyskutantów w możliwość odgórną reformy jest nader wątpliwa.

Dyskusję w *Literaturnej Gazecie* kończy swoiste zastrzeżenie zgłoszone przez obydwu rozmówców. I Klamkin i Migrantin nie są pomimo wszystko skorzy do rezygnacji ze swoich demokratycznych przekonań. Nawet w autokracji chcieliby zachować prawo do krytyki dyktatora. Według nich zasadniczym błędem Zjazdu Deputowanych Ludowych był fakt, że „demokratyczna mniejszość” nie zdystansowała się od Gorbaczowa, co zresztą pomogłoby mu w zachowaniu większej niezależności.

Ostatnie pytanie Georgija Celmsa z *LG* jest w związku z tym pełne sceptycyzmu. Wątpi on, czy w warunkach autorytarnego reżymu uczeni z Akademii Nauk ZSSR obronią prawo do swoich „demokratycznych przekonań”.

Powyższa dyskusja jest aktualna nie tylko dla Związku Sowieckiego, ale również dla Polski. Otwieramy dyskusję na ten temat.

REDAKCJA

Krajowe wydanie «Kultury»

Od lipca 1987 r. niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje się z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Krajowe wydanie «Zeszytów Historycznych»

Niezależne wydawnictwo PoMost w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazały się już roczniki 1985, 1986, 1987, 1988. W roku 1989 poszczególne numery *ZESZYTÓW* wydawane są w miarę ukazywania się edycji oryginalnej. Cena nr 88 — 2.150 zł; nr 89 — 3.000 zł + ewentualne koszty przesyłki — 250 zł.

KULTURA i *ZESZYTY HISTORYCZNE* są do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych. Ponadto zamówienia można składać w wydawnictwie TEST: 20-147 Lublin, Aleja Spółdzielców 13.

Konto: II Oddz. PKO Lublin, Rachunek Nr 43-528-96902-136.

Kraj

Dylematy okresu przejściowego

Polska droga do demokracji parlamentarnej nie będzie łatwa, ponieważ obie główne siły polityczne — komuniści i solidarnościowa opozycja — mają poważne kłopoty z demokracją i pluralizmem we własnych szeregach. Jakże demokracja w państwie miałaby być odbudowana przez dwie sztucznie jednoczone i dość oligarchicznie kierowane konstelacje sił politycznych?

Opinia wyrażona powyżej może być zaskakująca dla wielu obserwatorów polskich zmagania o wolność i demokrację. Czy rzeczywiście najbardziej bojowa i wytrwała, najlepiej zorganizowana i zwycięska w wyborach polska opozycja mogłaby mieć trudności z demokratycznym ładem we własnym wnętrzu — pytanie to może wydawać się prowokacyjne, nawet bluźniercze. Jednak trzeba je postawić i lepiej się stanie, jeśli uczynią to sami zainteresowani, zanim zajmą się nim zewnętrzni obserwatorzy.

Opozycja polska jest niewątpliwie najsilniejszą, a obecnie także legalnie uznaną opozycją w całym układzie państw w strefie wpływów ZSSR. Źródłem jej siły był jednak bardziej wytrwały upór w zwalczaniu totalitaryzmu i autorytaryzmu komunistów, niż pielęgnowanie demokratycznych obyczajów we własnym gronie. Było to łatwo wytłumaczalne w latach 70-tych, gdy opozycja była nieliczna, prawdziwie elitarna i musiała przez konspiracyjną poufność chronić swe prawo do istnienia i zmniejszać ryzyko jej uczestników. Nawet okres rewolucji obywatelskiej, rozpoczęty w Sierpniu 1980 r. i zamrożony stanem wojennym po 13 grudnia 1981 r., jest z tego punktu widzenia czasem wybitnie trudnym dla wewnętrznej demokracji. Potrzeba

konfrontacji z jeszcze silną i represywną strukturą władzy była tak dominująca, że wewnętrzne reguły Solidarności musiały zapewne być mieszaniną oligarchicznych manipulacji i ciągłych protestów szeregowych działaczy przeciwko manipulacji.

Nawyki tajnego działania utrwalił stan wojenny i brutalne metody zwalczania opozycji. Gdy jednak rozpoczęły się rozmowy opozycji ze słabnącym *establishment*em autorytarnej państwa, stara elita dążyła do tego, aby podtrzymać etos konspiracyjny, dość rozpowszechniony wśród elit opozycyjnych. Większość przygotowań do rozmów okrągłego stołu od września 1988 r. do marca 1989 r. miała poufny charakter. Przebieg rozmów przy stole wiosną 1989 r. był już bardziej jawny, ale i wówczas najważniejsze sprawy rozstrzygano nie przy stole jawnych negocjacji w gmachu rządowym. Z inicjatywy władzy rozpoczęły się bowiem równoległe tajne rozmowy w Magdalence pod Warszawą. Tam nie było prasy, radia ani telewizji. Komunikaty były mgliste i wysoce dyplomatyczne, jak przy rozmowach ambasadorów dwóch państw prowadzących do niedawna wyniszczającą wojnę. Także liczba uczestników tych rozmów w Magdalence była nieporównanie mniejsza, niż w rozmaitych zespołach okrągłego stołu. Na czele obu delegacji stali szefowie — gen. Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych oraz Lech Wałęsa, przywódca Solidarności. Jest ważne, że na co dzień nie brali oni udziału w negocjacjach jawnych przy okrągłym stole, lecz jedynie *ad hoc*, gdy powstawały trudności, pojawiali się obaj ze swymi najbliższymi współpracownikami. Wtedy jechali do Magdalenki, aby tam tajnie rozmawiać, niekiedy aż do świtu.

Podpisanie porozumień i wybory parlamentarne były oczywiście jawne. Jednakże porozumienia zawierały w sobie instytucjonalne utrwalenie obyczaju z Magdalenki — powoływały dwustronną Komisję Porozumiewawczą w składzie takim samym, jaki wielokrotnie prowadził tajne rozmowy równoległe do jawnych debat okrągłego stołu. Komisja ma służyć obu stronom do dyskretnego rozwiązywania konfliktów i zawierania mało popularnych kompromisów. W ten sposób w samą metodę tworzenia pluralistycznej demokracji wbudowano korporacyjną zasadę dwustronnych tajnych przetargów.

Demokracja parlamentarna oparta jest na zasadzie większości, a korporacyjne negocjacje stron na zasadzie *consensusu* i umów. Demokracja parlamentarna zakłada więc dwa niezależne do siebie ośrodki inicjatywy i decyzji, a korporacyjny przetarg wymaga redukcji pluralizmu do dwóch stron. Tak więc pluralizm ma być dziełem umów powstających w dualistycznym, bipolarnym układzie. Ponadto obie te metody podejmowania decyzji różnią się sposobem dyskusji. Parlamentaryzm to kultura

jawnych dyskusji, jawnego formułowania propozycji rozstrzygnięć i tajnego głosowania, w którym wygrywa propozycja popierana przez większość. Natomiast korporacjonizm w polityce rządzi się dokładnie odwrotną zasadą — zamiast jawnych debat prowadzi się tajne negocjacje, zamiast formalnych głosowań „uciera się” nieformalne umowy, zamiast większości rozstrzygają dwie mniejszościowe elity.

Połączenie metody korporacyjnej i parlamentarnej nie jest groźne dla demokracji tak długo, jak długo negocjujące elity są reprezentatywne dla sposobu myślenia swoich zwolenników i są rzeczywiście odpowiedzialne przed tymi, którzy ich upoważnili do prowadzenia dwustronnych negocjacji. Wówczas tajność negocjacji jest kompensowana jawnie egzekwowaną odpowiedzialnością negocjatorów.

Jednak na początku drogi do demokracji parlamentarnej połączenie dwóch metod decydowania może być niebezpieczne. Gdy reguły parlamentarne jeszcze się nie zakorzeniły, a zasada rządów prawa nie jest odpowiednio chroniona, to korporacjonizm może zagłuszać i tłumić młode pędy kultury demokratycznej. Tajnie negocjujący politycy dwóch stron mogą ulegać pokusie instrumentalnego traktowania prawa. Utrwała to autorytarny model, w którym prawo nie jest granicą władzy, lecz jedynie narzędziem doraźnych manipulacji politycznych. Właśnie w taki sposób elita władzy i elita opozycji zgodziły się 8 czerwca, że dekretem zmienią reguły prawa wyborczego po pierwszej turze wyborów. W ten sposób 33 mandaty dla koalicji PZPR, ZSL i SD, przegrane 4 czerwca na tzw. liście krajowej, można było już 18 czerwca, w drugiej turze wyborów, „odzyskać” i to za przyzwoleniem przywódców opozycji. Zgodnie z ordynacją wyborczą (art. 94), gdy mandaty są nieobsadzone w wyborach właściwych — czyli w obu turach głosowania — może sam parlament zarządzić wybory uzupełniające. Powinno to się odbyć więc później niż 18 czerwca i na mocy decyzji parlamentu, choćby bez owych 33 osób z listy krajowej, a nie poprzez dekret Rady Państwa.

Zgoda przywódców opozycji na takie pospieszne i manipulatorskie rozwiązanie wywołała słuszne oburzenie wielu wyborców popierających opozycję. Dylemat jawności i tajności, demokratycznej debaty i korporacyjnych negocjacji, jest po wyborach czerwcowych szczególnie ważny. Negocjujące elity obu bloków mogą bowiem bardziej rozumieć siebie wzajemnie, niż głosy oburzenia swoich własnych zwolenników. Wówczas może być tak, iż dualizm negocjacji izoluje obie elity od ich własnego zaplecza społecznego, od źródeł ich rzeczywistej siły społecznej.

Po tajnym kompromisie w sprawie 33 mandatów wielu aktywistów opozycyjnych, w tym cały zespół promocji kandydatów

Komitetu Wyborczego „Solidarność”, podało się do dymisji. Ci, którzy byli współautorami sukcesu w pierwszej turze wyborów, jeszcze przed drugą turą odeszli z poczuciem rozgoryczenia. Oto wysoka cena korporacjonizmu.

Jeszcze gorsze jest to, że taki styl decydowania podważa zaufanie wyborców, którzy mieli prawo wierzyć, iż politycy opozycyjni, uzyskując wpływ na państwo, będą umieli działać w innym stylu niż stara elita władzy. Wyborcy, którzy głosowali na opozycję (średnio około 38%-40% uprawnionych do głosowania poparło opozycję; 38% nie głosowało w pierwszej turze, a blisko 75% — nie głosowało w drugiej turze) oczekują, że jej elita połączy etykę i politykę, demokratyczne metody i skuteczność. Przecież właśnie po to wybierali nowych ludzi, aby to oni zmienili reguły działania starego reżimu, a nie po to, aby stara i słabnąca elita władzy zdeprawowała nowe elity opozycji.

Zawiedziony wyborca i sfrustrowany konsument, który musi żyć z inflacją do 200% rocznie i stałym brakiem coraz droższych dóbr podstawowych, to podłoże gniewnej rebelii. Te elity, które o tym zapomną, przegrają szansę na ewolucyjne dojście do parlamentarnej demokracji.

Już był taki moment po 18 czerwca, gdy wydawało się, że obie elity przywódców obawiają się swoich bezpośrednich i bliskich funkcjonalnie współpracowników. Biuro Polityczne obawiało się zwołać Plenum KC PZPR, a nieformalne grono kierownicze (bo nie ma jeszcze wybranego kierownictwa Komitetu Obywatelskiego) opozycji bało się krytycznej reakcji członków Komitetu Obywatelskiego. Oba ciała plenarne co innego chciały krytykować w działaniach swych własnych przywódców. Jednakże niechęć do korporacjonistycznego stylu tajnych rozmów była wspólna w obu tak różnych ideowo grupach, jak Komitet Centralny partii rządzącej i Komitet Obywatelski ruchu, który wygrał w wyborach wszystko, co mu wolno było wygrać.

Ta mieszanka korporacyjnych negocjacji i parlamentarnej reguły większości jest sama czymś wysoce niepewnym i niestabilnym. Może więc mimowolnie przyczynić się do wzrostu ogólnej niepewności i do nieprzewidywalnych zwrotów w sytuacji politycznej, co utrudni pokojową ewolucję do demokracji i sprawnej gospodarki rynkowej.

Nawet wybór prezydenta — urzędu pomyślanego jako czynnik stabilizujący struktury okresu przejściowego — był ryzykowny dla obu głównych sił. Elita PZPR obawiała się porażki prestiżowej, gdyby wysunięty przez nią jedyny kandydat przegrał głosowanie w Zgromadzeniu Narodowym. Opozycja obawiała się go jawnie wspierać, aby nie stracić zaufania wyborców, dochować wierności swym zobowiązaniom ideowym i nie utracić swojej politycznej niezależności. Ostatecznie generał

Jaruzelski został wybrany najmniejszą z możliwych większością tylko jednego głosu i to tylko dzięki temu, że poprzedziły to głosowanie dwie sztuczki proceduralne. Po pierwsze Jaruzelski najpierw zrezygnował oficjalnie z kandydowania, aby przez tę psychologiczną presję udowodnić swoim oponentom w PZPR, SL i SD, że nie mają lepszej kandydatury. Opozycja solidarnościowa zdawała się tego nie dostrzegać, a głosy protestu przeciwko tej kandydaturze wyrażane w ulicznych demonstracjach zostały potraktowane przez obie umawiające się strony jako zjawisko marginalne.

Druga sztuczka proceduralna była świadomym dziełem przywódców Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Zwycięstwo Jaruzelskiego uzyskano sztucznie przez unik części OKP, która albo była nieobecna, albo świadomie oddała głosy nieważne. W ten sposób ilość ważnych głosów przeciwnych Jaruzelskiemu zmalała o kilkanaście, dzięki czemu zdobył przewagę jednego głosu.

Ten przykład pokazuje, że zakulisowe negocjacje typu korporacyjnego są dogodniejsze i bardziej korzystne dla starej elity politycznej. Komuniści ze swą konspiracyjną przeszłością i totalitarnym doświadczeniem są bez wątpienia lepiej przygotowani do gabinetowych przetargów ponad głowami wyborców i członków dużych ciał politycznych (jak Sejm czy ich własny Komitet Centralny) niż do jawnej debaty parlamentarnej, w której wygrywać powinna jakość argumentów i swobodnie wyrażone poparcie większości.

Niepokojące jest jednak to, że wielu działaczy opozycji, być może też pod wpływem swych konspiracyjnych przyzwyczajeń, chętnie ulega urokowi tajnych rozmów i umów w kręgu kilku osób. Obawiam się także, że wielowiekowa sprawność hierarchii Kościoła właśnie w takim stylu polityki może dodatkowo utrwać unikanie jawnej konfrontacji argumentów.

Liberalno-demokratyczny styl przywództwa był zawsze słabo zakorzeniony w polskiej kulturze politycznej. Zawsze było łatwiej wytwarzać mit nieomyślności oparty na populistycznych gestach i na rzeczywistej czy pozornej charyzmie osób namaszczonych tchnieniem ducha czasów.

Niestety nadal tak jest, że charyzmatyczne wodzostwo i centralistyczne manipulacje są i dziś obecne w działaniach szeroko pojętej opozycji solidarnościowej. Lech Wałęsa mówi zbyt często i zbyt serio o samym sobie w trzeciej osobie. Ten ton wodza narodu niebezpiecznie brzmi w takich zwrotach kierowanych przez przewodniczącego do wielkich audytoriów, jak: „Lech Wałęsa was prowadzi w dobrą stronę i was doprowadzi”, „Lech Wałęsa nie lubi przegrywać”, „...jak słusznie i demokratycznie postanowił Lech Wałęsa”. Gdyby to była tylko kwestia

słów, a nie stylu działania, można byłoby na ten temat zachować milczenie. Jednakże arbitralne zwroty taktyczne w sprawie składu nowego rządu i osoby premiera, to już coś więcej niż słowa. Meandry linii postępowania szefa „Solidarności” nie były efektem tylko jego pomysłów i woli politycznej. To raczej rezultat osobiście nieokreślonej formy instytucjonalnej, w której obecnie istnieje polska opozycja. Energia opozycyjna wobec struktur autorytarnych, a zarazem nadzieja na ich pokojową zmianę są dziś bardzo rozproszone. Istnieją dwa związki zawodowe o nazwie „Solidarność”, obywatelski klub parlamentarny skupiający posłów i senatorów opozycyjnych, Ogólnopolski Komitet Obywatelski i cała sieć komitetów wojewódzkich, miejskich, gminnych itd., opozycyjne ruchy młodzieżowe dość słabo reprezentowane w komitetach obywatelskich oraz liczne partie, ugrupowania i kluby polityczne, które można łącznie określić jako opozycję pozaparlamentarną. Jest to mozaika form instytucjonalnych, a w każdej z nich występuje ponadto pluralizm postaw ideowych, orientacji politycznych i stylów myślenia.

Niejasny podział ról i obowiązków w tej mozaikowej, migotliwej strukturze często powoduje, że wszyscy robią wszystko co potrafią i na co mają ochotę, ale nikt za nic nie jest rzeczywiście odpowiedzialny. Cóż można odpowiedzieć komuś, kto zapyta przed kim odpowiedzialna jest Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność”, skoro nie wybiera się statutowych władz związku? A jeśli już tak jest, że pochodząca z nominacji egzekutywa związku jest konieczna do czasu przeprowadzenia nowych wyborów związkowych do II Krajowego Zjazdu, to przecież KKW ma wątpliwe prawo, aby swymi uchwałami zalecać (czego Biuro Polityczne PZPR już nie ośmiela się robić) posłom z OKP określone sposoby głosowania w Sejmie. Tak właśnie stało się w związku z ustawami o indeksacji i o urynkowaniu obrotu żywnością. Aby spełnić to osobliwe zalecenie KKW, posłowie z OKP musieli poprzeć poprzednio odrzucony przez nich samych wariant indeksacji płac. Czyżby była to próba powrotu do „kierowniczej roli” — tym razem już nie PZPR, ale tymczasowej egzekutywy związku zawodowego wobec legalnie i demokratycznie wybranego grona posłów? Wśród członków OKP wywołało to słuszne oburzenie, bowiem mają oni moralne prawo do autonomii wobec władz związkowych, a przynajmniej prawo do wolności od doraźnych ingerencji w ich działaniu na arenie parlamentarnej.

Nie tylko posłowie z OKP, ale także ośrodki kierownicze związku rolników „Solidarność” nie lubią być zaskakiwane posunięciami kwatery głównej w Gdańsku. Takim zaskoczeniem była propozycja Wałęsy powołania rządu z nim samym w roli premiera, bez udziału kogokolwiek z PZPR, a tylko z ZSL i SD.

Jak przyznał pełnomocnik Wałęsy do rozmów z szefami ZSL i SD, pomysł ten nie był uzgodniony ani z KKW „Solidarność”, ani z władzami „Solidarności” Rolników Indywidualnych, ani z klubem poselsko-senatorskim. Ostateczne efekty tego manewru są jeszcze nieznane i mogą okazać się równie zaskakujące. Jest jednak pewne, że zgłoszenie tego pomysłu już po wcale niełatwym wyborze gen. Kiszczaka i po jego pierwszych rozmowach w sprawie składu gabinetu wywołało pewien szok. Nawet przywódcy ZSL i SD — dodajmy, że dość mało wiarygodni dla swych własnych partii — musieli być mile zdziwieni tym nagłym zaszczytem, jakim były dla nich rozmowy z szefem Solidarności. Jakkolwiek oceniamy tę inicjatywę — jako psychologiczny przełom czy jako taktyczny manewr przez zaskoczenie — jest jasne, że to co jest realizowane ma niewiele wspólnego z pierwotnymi czterema projektami w sprawie struktury rządu, z którymi występowała opozycja. Pierwsze stanowisko, niemal powszechnie aprobowane przez większość nurtów opozycji, było proste i jasne: nie wchodzimy do żadnej wielkiej lub małej koalicji rządowej i pozostajemy w opozycji, aktywnie proponując radykalne reformy. Drugie stanowisko przewidywało zamiast wielkiej koalicji lub małej koalicji rząd ponadpartyjny, złożony głównie z fachowców o słabo zarysowanej tożsamości politycznej. Trzeci pogląd został wyrażony najpierw tylko przez Adama Michnika, a potem w oświadczeniu złożonym przez Lecha Wałęsę na ręce gen. Jaruzelskiego; to było prawdziwe zaskoczenie dla mało wprawnych obserwatorów. Odrzucając udział w koalicji z PZPR, ZSL i SD, opozycja była — zgodnie z tym pomysłem — gotowa przejąć cały rząd włącznie ze stanowiskiem premiera. Jak było do przewidzenia, elita PZPR odrzuciła ten pomysł, chociaż bardziej dalekowzroczni z jej członków ucieszyli się, że po raz pierwszy od jesieni 1988 roku opozycja wyraziła gotowość stania się rządem. Było to zbliżenie stanowisk, choć z zewnątrz musiało wyglądać na bardzo radykalną propozycję zasadniczo zmieniającą układ sił na korzyść ugrupowań opozycyjnych. Skoro jednak propozycja Adama Michnika była aż tak radykalna, można było bez trudu przewidzieć, że w tej postaci będzie musiała być odrzucona. Tak się stało, ale po drodze wywołała ona sporo kontrowersji w samej opozycji, a ponadto pozostał po niej sygnał ważny dla elity PZPR: opozycjoniści mają już trochę ochoty na to, aby — powiedzmy pod przymusem okoliczności — wejść do rządu, czego odmawiali od jesieni 1988 roku.

I właśnie w tym punkcie pojawia się nowy pomysł, czwarta koncepcja rządu na czele z Wałęsą bez polityków z PZPR, lecz opartego na porozumieniu z elitami ZSL i SD. I tak oto niejako tylnymi drzwiami dochodzimy do sytuacji, w której powstaje

rząd premiera Tadeusza Mazowieckiego, ale z udziałem również PZPR. Osoba premiera i obsadzenie ważnych resortów w rządzie przez działaczy dotychczas opozycyjnych, to fakt niewątpliwy. Mijmy nadzieję, że przełomowy i otwierający przed Polską nowe perspektywy.

Jednakże przewlekłe rozmowy przygotowawcze T. Mazowieckiego świadczą o tym, że dla przywódców PZPR ta formuła oznacza po prostu rząd wielkiej koalicji, udział ludzi ze środowisk niezależnych w administrowaniu kryzysem gospodarczym razem z politykami PZPR, ZSL i SD.

Tylko ograniczenie obecności PZPR do dwóch resortów, dysponujących uzbrojonym aparatem, daje szansę przedstawienia tego rządu jako czegoś innego niż wielka koalicja. Z formalnego punktu widzenia jest to rząd wielkiej koalicji. Tylko treść jego przyszłej polityki rozstrzygnie ostatnie kluczowe pytanie: czy nowy rząd będzie raczej mieczem sił niezależnych w walce o demokrację i odrodzenie gospodarki, czy też raczej tarczą, za którą stary aparat władzy schroni się przed gniewem społeczeństwa.

Marzenie o takiej tarczy było, jak sądzę, myślą przewodnią strategii otwarcia i dialogu rozpoczętej przez „socjaldemokratyzujące” kręgi elity PZPR jesienią 1988 roku. Społeczeństwo w swym akcie wyborczym z czerwca 1989 roku wyraziło pragnienie przyspieszenia zmian, wyraziło myśl o mieczu, który wytnie nomenklaturowe machinacje z polskiego życia politycznego.

Kompromis między tymi dwoma, jakże różnymi, marzeniami jest zapewne możliwy. Jednakże wielonurtowa opozycja wobec struktur monopolistycznych musi w tym celu stać się wzorem wewnętrznego demokratyzmu. Jeśli pokusy korporacyjnego przetargu będą zbyt silne, to wzrośnie ryzyko mimowolnego ulegania interesom elity i aparatu PZPR. Słabnąca stara elita będzie jeszcze nie raz próbować wciągnąć przywódców nowych sił w zakulisowe rozmowy. W interesie przyszłej demokracji leży, aby jawna debata i prawdziwy pluralizm opinii były silniejsze niż pułapki korporacjonizmu. W pułapkach takich można tłumić konflikty interesów, ale tylko tak długo, jak długo społeczeństwo ufa tym, którzy w jego imieniu prowadzą negocjacje. Rzeczywiste rozwiązanie konfliktu interesów może zapewnić tylko parlamentarna zasada większości, liberalny styl przywództwa i stały dialog między wszystkimi nurtami opozycji, bez wyłączenia tych, którzy nie są dziś obecni w Sejmie i Senacie.

Wojtek LAMENTOWICZ

30 sierpnia 1989 roku.

Uwagi o końcu świata

Zmiana socjalizmu na kapitalizm odbywa się w Polsce *via facti*, niezależnie od tego, co się przedyskutuje albo uchwali. Odbywa się — jak należy — ewolucyjnie, co jednak nikogo nie cieszy i co mało kto zauważa, w oczekiwaniu na historyczne decyzje właściwych gremiów. Tymczasem historia całkiem dobrze obchodzi się bez nich.

Rdza

Mastodont gospodarki socjalistycznej znajduje się w stanie agonii. Proces postępującej dysfunkcji splata się z procesem materialnego rozkładu. W tej chwili nic już do niczego nie pasuje, prawie nic nie funkcjonuje w sposób zbliżony do normalnego, rozliczne działania przynoszą zaskakujące efekty lub nie przynoszą ich wcale. Od pewnego czasu wszystko się zmienia na gorsze. Czytelnik w kraju nie potrzebuje na to dowodów, zagraniczny — niech wierzy na słowo.

A przy tym już od połowy ubiegłej dekady, od okresu w którym już czuć było swąd, lecz większość wskaźników jeszcze pięła się w górę, wskaźnik zużycia środków trwałych w gospodarce również zaczął się powiększać. Wystarczyło, by nakłady inwestycyjne przestały skokowo wzrastać z roku na rok. Potem nakłady te spadły przejściowo do prawie jednej trzeciej w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Jeszcze później, przy „wychodzeniu z kryzysu”, wzrosły, nie osiągając jednak gierkowskiego poziomu, lecz wzrostu zużycia środków trwałych nie udało się zahamować i już wiadomo, że zapowiedź powstrzymania tej dekapitalizacji z końcem obecnej dekady była utopią. Socjalistyczna gospodarka państwowa nie jest w stanie wypracować środków na reprodukcję prostą i chyba już nigdy nie będzie. Powoli i nieubłaganie zmienia się ona w stos zardzewiałego szmelcu. Coraz większym kosztem produkuje się coraz mniejsze ilości coraz gorszych rzeczy, który to proces skrywany jest do czasu za parawanem coraz większej inflacji. Do czasu, bowiem już zaczynają wypadać z produkcji poszczególne wyroby, rysuje się perspektywa zamykania oddziałów produkcyjnych i całych zakładów, co antycypują likwidacyjne zapowiedzi — już byłego — ministra

Wilczka. Zalane kopalnie, wygaszone huty, trawa wśród rdzewiejących konstrukcji — to zaczyna się robić prawdopodobne.

Organy zarządzające trzymają się lepiej, ale to już jest ciekące koryto i użytkownicy zaczynają mieć tego świadomość. Ten proces zrozumienia, ostatnio mocno przyspieszony, nie postępuje jednakowo i różnie wpływa na zachowania. Jednostki starsze, mniej lotne, walczą i będą walczyć o zachowanie swego obecnego stanu posiadania, lecz ludzie młodszy, bardziej energiczni i inteligentni, raczej już nie wiążą swojej przyszłości z karierą w aparacie. Starają się oni wykorzystać swe w nim układy do zajęcia korzystnej pozycji już w nowym, kapitalistycznym układzie. To jest właśnie proces samouwłaszczania nomenklatury. Jak by go nie oceniać od strony moralnej — źle — czy ekonomicznej — niejednoznacznie — świadczy on o rozpadzie instytucji, które już nie dają prestiżu i nie zapowiadają profitu na dłuższą metę. Brak motywacji, spadek skuteczności zarządzania, postępująca dezorganizacja, to wszystko są symptomy końca systemu, niezależnie od tego, kto akurat jest szefem rządu: Kiszczak czy Mazowiecki.

Rachityczne pędy

System ma już swojego grabarza, którym jest odradzający się kapitalizm, czyli sektor prywatny. Na razie jego pozarolnicza część znajduje się w stanie korupcyjnej symbiozy — jak to określa Jadwiga Staniszkis — z władzą, ale jego rolnicza większość w tym roku akurat zaczyna władzy sięgać do gardła.

Sektor ten — mimo swego niesocjalistycznego charakteru — jest jeszcze bardziej niepolityczny niż gospodarka socjalistyczna. Te 18% dochodu narodowego, wypracowane przez sektor nieuspołeczniiony w zeszłym roku, zrodziło się tylko stąd, że ktoś wymyślił ile może kosztować zboże, a ile stal. Przy czym bez indywidualnego rolnictwa (ok. 11% dochodu narodowego) zmarlibyśmy z głodu, a bez — właściwej! — połowy państwowego przemysłu (ok. 46%) mielibyśmy się o wiele lepiej.

Właściwie to nie sposób przeprowadzić dokładnego rozgraniczenia między dwoma systemami. Na socjalistyczny składa się wszystko, co oficjalnie państwowe i ogromna większość gospodarki *de nomine* spółdzielczej, wtłoczonej w scentralizowane struktury zarządzające (związki spółdzielcze), zaś na system kapitalistyczny — również samodzielne spółdzielnie i cała sfera szara i czarna, półlegalna i nielegalna, żerująca na gospodarce państwowej, związana z prywatnym handlem zagranicznym i pracą za granicą na oficjalnych kontraktach, czy też na saksach, plus wszelkie krajowe fuchy oraz chałtury.

Szacunkowo można powiedzieć, że socjalistyczna gospodarka to z grubsza 12 milionów pracujących, a kapitalistyczna — 5 milionów. Jednocześnie orientujemy się, że w sumie ogólnych dochodów ludności jedynie 40% dostarczą wynagrodzenia za stałą pracę w gospodarce uspołecznionej. Trzymając się tych danych, możemy wyliczyć, że statystyczny pracownik kapitalistycznego systemu w PRL ma dochody 3,6 razy wyższe od swego kolegi, tkwiącego ciągle w systemie socjalistycznym.

Ten fakt pozwala coś zrozumieć z obecnej schizofrenicznej sytuacji. Wszyscy żyją dość trudno, lecz pewna część społeczeństwa znajduje się już w świecie, w którym ich dolarowe czy złotówkowe dochody pozostają w jakiejś proporcji do wariacko rosnących cen. Ci ludzie, nie mając wprawdzie co kupić, mają przynajmniej za co. Inni, zdani wyłącznie na państwowy garnuszek, skazani są w ogromnej większości na coraz większą nędzę. Tych drugich jest o wiele więcej, ale też jakaś ogromna — nie do ustalenia — ilość ludzi tkwi jednocześnie w obu systemach, korzystając z nich w różnym stopniu. To zapewne sprawia, że wielu z nas „jakoś żyje”, chociaż nie raz samemu nie wie z czego. Prawie wszyscy czują się zagrożeni, nie mając trwałych podstaw egzystencji i — tym bardziej — pewnych perspektyw.

Nowy, wstępujący system nie znajduje się bynajmniej w dobrej kondycji. O marnym stanie rolnictwa, w dalszym ciągu niszczonego przez socjalistyczne państwo i jego gospodarkę, powiedziano już wiele. Trzeba się też zgodzić z Jadwigą Staniszkis, że sektor prywatny poza rolnictwem — i to niekoniecznie tylko nomenklaturowe spółki — jest zdeprawowany i w dalszym ciągu ograniczany przez dominację państwa w gospodarce i administracji. Układ z ogniwami władzy jest tam istotniejszy ekonomicznie niż wynik operacji rynkowej.

Źle i niedobrze

Mimo to odbywa się zmiana warty. Dialektycznie przedłużając w przyszłość obecne kierunki przemian — co jest zajęciem niepewnym, lecz pewniejszym od wymyślenia oryginalnych prognoz — możemy sobie wyobrazić moment, w którym punkt ciężkości w gospodarce i w życiu społecznym przesunie się w stronę prywatnego sektora, zaś państwowy zacznie się stawać reliktem. Nie bardzo natomiast wiemy, kiedy może nastąpić ten moment ani na jakim poziomie cywilizacyjnym nastąpi. Pewne, że na jeszcze niższym od obecnego.

Póki co bowiem i chyba dość długo jeszcze, martwiejąca gospodarka państwowa marnuje pracę większości obywateli. Niszczą ją ciągle jeszcze potężne środki produkcji, przepadają

surowce, a jednego i drugiego brakuje gospodarce prywatnej, co hamuje jej rozwój. W sumie wypadkowa upadku jednego i rozwoju drugiego sektora oznacza upadek całości gospodarki, a w ślad za tym postępuje rozpad infrastruktury, dewastacja środowiska, blokada rozwoju stosunków ekonomicznych ze światem.

Naiwnością byłoby przypuszczać, że zmiana ustroju będzie nas kosztowała tylko czas i upadek cywilizacyjny, co samo w sobie już byłoby perspektywą przerażającą. Będą jej jednak towarzyszyły narastające zaburzenia społeczne i polityczne. Te zaburzenia mogą się okazać niezbędne dla wymuszania i przyspieszania przemian strukturalnych, lecz z drugiej strony będą oddziaływały destrukcyjnie na gospodarkę i ład społeczny. Nie wiadomo, które z tych działań będzie przeważało. W skrajnym przypadku, i tego teraz większość się boi, może dojść do bardzo gwałtownych zająć, do użycia przemocy przez obie strony, do interwencji międzynarodowej nawet. Bo choć doktryna Breżniewa ponoć nieważna, to jej trup nie leży jeszcze pod ziemią z kołem osinowym w sercu.

Prawdopodobnie socjalizm w Polsce nie przeżyłby czegoś takiego, ale i wielu Polaków — także. Trudno przewidzieć przebieg takich wydarzeń, ale ich koszt mógłby być większy niż koszt upadku w trybie powolnej ewolucji przez dewastację.

Jedyna alternatywa

Procesu zmiany ustroju już się nie da odwrócić. Upadek socjalizmu wynika z jego natury, co chyba nie wymaga dowodu. Jednak to, że na jego miejscu musi powstać kapitalizm, nie dla wszystkich jest oczywiste. Zapomina się niekiedy, że nie jest to system wymyślony przez filozofów, którzy zgodnie z zaleceniem Marksa uznali, że ich zadaniem nie jest objaśnianie świata, ale jego zmiana. Kapitalizm jest produktem rozwoju cywilizacyjnego. Wymyślono go — o ile w ogóle tak można mówić — jeszcze w starożytnej Fenicji, a w społeczeństwach przemysłowych jest to naturalne zachowanie większości. Polega ono, z grubsza rzecz biorąc, na tym, że trzeba taniej kupić i drożej sprzedać, zaś to czym się dysponuje, rozpatrywane bywa jako kapitał. Komuniści musieli wywłaszczać i mordować miliony ludzi, poddawać wszystkich swoich poddanych ogłupiającej kontroli, aby wypłenić — na krótko i nigdzie nie do końca — normalne kupieckie zachowania. Wystarczy nieuwaga milicjanta, czy przekupienie strażnika w łagrze, by zaistniał fragment rynku. Cóż więc innego może powstać na gruzach rozpadającego się socjalizmu?

Można, rzecz jasna, wymyślać jakieś hybrydy, które mają łączyć zalety socjalizmu i kapitalizmu i twierdzić przy tym, że

po doświadczeniu „Solidarności” Polska jest do tego szczególnie dysponowana. Ale jak każda utopia, i ta mogłaby być wprowadzana w życie jedynie siłą. A to się chyba po raz drugi nie uda. Można się zgodzić, że społeczeństwo nasze jest w dużej części mentalnie zarażone socjalizmem, że jest doń przywiązane, świadomie czy nieświadomie. Lecz zostawione samo sobie, bez politycznej gospodarki w policyjnym państwie, będzie się zachowywać w zasadzie kapitalistycznie, będzie tworzyć kapitalistyczne stosunki własności i obrotu. Fakt, że przez długi czas nieudolnie, lecz to już jest inna sprawa.

By ustanowić socjalizm, komuniści musieli przejąć absolutną władzę i wprowadzić terror. Bez tego nie sposób było zaganiać ludzi do falansteru. Ten proces zniewalania nazwano eufemistycznie budowaniem socjalizmu, jako że komunistyczne państwo, stając się właścicielem gospodarki i ludzi, faktycznie bardzo dużo buduje, nie musząc się liczyć z kosztami i wynikami. Istota zmiany ustroju polega jednakże nie tyle na budowaniu czegokolwiek, ile na wprowadzaniu nowych stosunków własnościowych i stosunków pomiędzy ludźmi. Teoretycznie można by niczego nie budować, a tylko obracać istniejącą materią. Przechodzenie do kapitalizmu — z socjalizmu jak i z feudalizmu — nie wymaga przymusu, lecz staje się skutkiem jego znoszenia. Istota zmiany polega nie na budowaniu, lecz na likwidacji systemu zniewolenia ludzi i krępowania ich działalności gospodarczej oraz społecznej. Jeśli zatem przez lata mówiło się, że kluczem do zmian systemowych w gospodarce jest polityka, to mówiło się słusznie, bo chodziło o osłabienie komunistycznej władzy.

W związku z tym mogło nie być aż tak ważne to, że opozycja solidarnościowa nie miała przez długie lata spójnego programu gospodarczego, prowadzącego do konsekwentnej zmiany ustroju i że nie przedstawiła go również podczas obrad okrągłego stołu. Demontaż socjalizmu od strony politycznej stawał się chwilowo dostateczną przesłanką dla takiej zmiany, nawet jeśli część politycznych reformatorów stanowili wciąż naprawiacze socjalizmu.

Liberalny (ekonomicznie) kierunek w opozycji od dawna widział wyraźną konieczność zastąpienia socjalizmu właśnie przez kapitalizm, a nie przez cokolwiek innego, lecz wielka część tego nurtu, czy — ogólnie mówiąc — prawicy, bardzo niespójnej poglądom, uważała, że kapitalizacja gospodarki jest możliwa nawet w warunkach monopolu politycznego komunistów, byle by go cokolwiek złagodzić. Jako dowód przytaczano istnienie prywatnej własności i rynkowej gospodarki w krajach dyktatorskich w różnych okresach, a więc w Hiszpanii, Iranie, Grecji, Chile, Południowej Korei i na Tajwanie.

Pogląd ten nie przystawał do polskiej rzeczywistości, gdyż nie liczył się z tym, że aby w wymienionych dyktaturach zaistniał opisywany stan, nie trzeba było ich wyłączać z prawie wszystkiego w kraju. Następnie nie brano pod uwagę, iż połączenie gospodarczej wolności i politycznej dyktatury ma charakter przejściowy; podmioty gospodarcze tylko przez jakiś czas godzą się z rolą zarządzanych obiektów. Wszystkie kraje wymienione jako przykłady są właśnie tego dowodem. A poza tym akurat Polska lat osiemdziesiątych nie nadawała się do tego rodzaju formuły. Z jednej strony wolnościowy etos, a z drugiej — coraz bardziej nieudolna władza, nie będąca w stanie nie mieszać się szczegółowo do gospodarki.

Koncepcja liberalna, wyrażana przez powstające i walczące długo o rejestrację towarzystwa gospodarcze, dałaby się streścić następująco: niech czerwony zostanie sobie ze swą kupą rdzewiejącego żelastwa, a nam nie przeszkadza w rozwijaniu naszego biznesu. Kiedy jednak władza proklamowała ustawowo zasadnicze wolności gospodarcze, okazało się, że nadal przeszkadza przez samo podtrzymywanie bezsensownej gospodarki socjalistycznej i swoje postępowanie, z natury rzeczy ograniczające aktywność gospodarczą. Coś trzeba więc zrobić z całą gospodarką. Coś trzeba zrobić z całym systemem...

Demontaż

Mamy dwa skrajne modele odchodzenia od socjalizmu: sowiecki i chiński. Sowiecki oznacza znaczne wyprzedzenie polityczne przy praktycznym bezruchu w gospodarce. Chiński — odwrotnie i aż do 4 czerwca uważano powszechnie, że jest to wariant pewniejszy. Trudno powiedzieć, na ile pewny jest gorbaczowowski, bo właśnie tego lata wraz ze strajkami górników zaczęły się na wielką skalę niepokoje społeczne i nie wiadomo, jak się to dalej potoczy. (Konflikty narodowościowe, jak dotąd najistotniejsze w ZSSR, są z punktu widzenia polskich prognoz zjawiskiem ubocznym). Polska i Węgry prowadzą swoje zmiany polityczne i gospodarcze równolegle. W tej chwili jednakże obserwujemy (przynajmniej u nas) znaczne wyprzedzenie polityczne. Komuniści podzielili się władzą polityczną, lecz w gospodarce i w całym życiu społeczeństwa dominacja (bo już też nie monopol) starego systemu jest bez porównania większa.

Nie budziłoby to może nadzwyczajnego niepokoju, bo w końcu takich przemian nie da się przeprowadzać z laboratoryjną skrupulatnością, gdyby nie fakt, że ogólny proces rozpadu nabrał tego lata tempa wręcz lawinowego. Być może nadeszła jego pora i nie jest temu winien w całości rząd Rakowskiego,

lecz gabinet ów bezspornie przyłożył do tego swoją rękę. Z punktu widzenia historii będzie to jednak mało istotne.

Liczyć się będzie, jak kraj wyjdzie z tej sytuacji. Na ile zdamy się na żywioł, czyli na zmiany przez zniszczenie — między wariantem powolnym a gwałtownym — a w jakim stopniu społeczeństwo będzie w stanie tym kierować. Jest to zadanie bardzo skomplikowane i trudne, ale wydaje się, że w znacznym stopniu do wykonania.

O sprzyjającej koniunkturze zewnętrznej wiadomo: można przyjąć, że dopóki nie będzie bardzo gwałtownych zajęć, to Wschód nie będzie czynnie interweniował, a jeśli zaczną następować istotne zmiany systemowe, to Zachód, który nie jest skłonny dawać w ciemno, może okazać się szczodry.

Wydaje się też — choć tu jest wskazana większa ostrożność w sądach — że jądro aparatu władzy dojrzało już psychologicznie do zasadniczych zmian, oczywiście po zapewnieniu sobie swych interesów i pozycji na potem. Gdyby dotychczasowa opozycja była w stanie to zrozumieć i w poważnym stopniu zagwarantować takie polubowne rozwiązanie, dalszy proces przemian byłby umiarkowanie konfliktowy. Gdyby w ten sposób udało się przerwać stopniowe niszczenie kraju i uchronić go przed zniszczeniem gwałtownym, byłby to interes tysiąclecia. Tu jednak Solidarność będzie miała ogromne trudności ze sobą i ze swą bazą. Powszechna potrzeba sprawiedliwości, a właściwie odpląty, bywa często przemożna, prowadząc przeważnie do największych masowych zbrodni. A w miarę pogarszania się sytuacji nastroje te będą się potęgować, wzmagając zrozumiąłość płochliwość i wrogość aparatu.

Nie wiadomo też dokładnie, dla jakiej części tegoż aparatu klęska jest już wystarczająco wielka, a stan gospodarki na tyle katastrofalny, by ją wypuścić z rąk.

Strachy

Trudno mówić za społeczeństwo, póki nie wypowie się samo. W tej chwili jednak można zakładać, że nie są już aktualne badania opinii z połowy lat osiemdziesiątych, wskazujące, iż umiarkowana większość wciąż jeszcze teoretycznie wyżej stawia socjalizm niż kapitalizm. Teoretycy reformy każą się liczyć z tym, że kapitalizm, zwany u nas dla ostrożności gospodarką rynkową, rysuje się jako coś ryzykownego, a socjalizm oznacza bezpieczeństwo socjalne, chociaż na niskim poziomie. Prędzej czy później musi nastąpić moment, w którym większość uświadomi sobie, że stosunkowo najbezpieczniejsze socjalnie jest jak najszybsze skończenie z systemem socjalistycznym, który już

mało kogo chroni, a najmniej ludzi słabych socjalnie — emerytów i rencistów, niepełnosprawnych, rodziny wielodzietne itp. Skok do rozszalonego morza wydaje się straszny, nawet z tonącego okrętu, lecz jeśli do tego zaczynają już na nim wybuchać kotły...

Wydaje się jednak, że ogromna większość społeczeństwa nie ma dziś głowy do systemowych teorii. Rząd Mazowieckiego może wprowadzić radykalne zmiany gospodarcze, które uzyskają poparcie większości. Nie będzie się ona zastanawiać, czy to jeszcze socjalizm, czy już kapitalizm. Byle się zaczęło zmieniać na lepsze, czy choćby przestało pogarszać.

Wszakże autorzy tych zmian powinni wiedzieć, że może to być już tylko zmiana na kapitalizm. Nie wszyscy to wiedzą. W każdym razie największa i chyba wciąż najbardziej do niedawna wpływową część opozycji ciągle jeszcze jest bardziej przejęta zastrzeżeniami wobec czekających nas zmian i projektami zabezpieczeń przed ich niechcianymi skutkami, niż samymi zmianami. Pozostają więc one nadal w sferze ogólnych założeń, z którymi zgadza się już nawet PZPR. A tymczasem zbierając się do przejmowania władzy, wypadałoby mieć tę koncepcję uzgodnioną i przełożoną na język praktycznych posunięć.

Ernest SKALSKI

NOWOŚĆ

BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 453 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

1984 - 1988

Str. 394

Cena F. 170,00

Sprawy i troski

Les Restaurants du Coeur

Duże czarne litery na sercu nakreślonym grubą, różową kreską. Z jednej strony nóż, z drugiej widelec...

Są we Francji ludzie głodni, trzeba im pomóc — na tym stwierdzeniu znany komik Coluche oparł istotę swojego stowarzyszenia „Les Restaurants du Coeur”. Jego zasada brzmiała: działać bezinteresownie i poświęcać każdego zebranego franka na posiłki dla biednych.

W lutym 1986 roku na konferencji prasowej powiedział: „Co robię w sprawie 'restauracji serca'? No więc po pierwsze — używam mediów. W *Europe 1* (radiostacja) mam popularną audycję. Pozwalała mi ona wylansować jakąś ideę. Wylansowałem właśnie tę. Mówiłem o niej przez dwa miesiące. Potem poszedłem porozmawiać z redakcją *Europe 1*. Powiedziałem: teraz trudno będzie się wycofać, ponieważ otrzymuję ogromną ilość listów. Powiedzieli — dobrze, będzie jeden dzień... Zaczęłam mówić o tym, że wystarczy wykorzystać nadwyżki produkcji. To pozwoli otrzymać pożywienie tanio, czyli wyżywić wszystkich potrzebujących. Potem poszedłem do ministerstwa rolnictwa i powiedziałem: oto co zrobiłem, teraz trzeba będzie...”

W ubiegłym roku „Les Restos du Coeur” rozdały 22.144.000 posiłków, czyli 250 tysięcy dziennie...

Idea: pozwolić ludziom przetrzymać zimą. Rozdano 15.431 ton, w tym 1.600 ton daru Wspólnoty Europejskiej.

— Dlaczego zima?

— To najcięższy okres. Trzeba się ogrzać, ubrać, więcej jeść...

Dzięki „restauracjom serca” wiele osób w tragicznej sytuacji mogło poświęcić pieniądze zaoszczędzone na posiłkach na inne niezbędne wydatki.

Akcyj nie da się prowadzić przez cały rok, bo w „R du C”

pracują tylko ochotnicy, często w ciężkich warunkach. Nie da się tego rytmu utrzymać dłużej...

Ocenia się, że we Francji żyje w nędzy 500 tysięcy osób. 250 tysięcy posiłków dziennie nie może zadowolić wszystkich.

Muszą więc być czujni, by nie pominąć najbiedniejszych z biednych, którzy niekiedy wstydliwie ukrywają swoją niedolę. Poziom dochodów, poniżej którego ma być dostarczona pomoc żywnościowa, określany jest przez specjalistów departamentalnych, w oparciu o wskazania biura ogólnokrajowego akcji.

„R du C” są stowarzyszeniem niezależnym od wszelkich partii, wspólnot religijnych, ponad wszystkimi opcjami filozoficznymi. Jedynym ich celem jest wyżywienie najbardziej potrzebujących, żyjących w biedzie. Ochotnicy, którzy pracują dla „R du C” nie mogą korzystać ze swoich funkcji dla żadnych celów politycznych, religijnych ani innych.

Coluche nie stworzył „R du C” po to, by trwały wiecznie, lecz po to, by odpowiedzieć na gwałtowną potrzebę chwili — ta trwa.

„R du C”, stworzone przez znakomitego francuskiego artystę-komika, zachowują do dzisiaj swój ciepły, i jeżeli można użyć w tym kontekście tego słowa, wesoły charakter. Narzucił go swoją osobowością. Liczni artyści (wystarczy wymienić kilka nazwisk: Isabelle Adjani, Anémone, Jean-Claude Brialy, Gérard Depardieu, Jean-Jacques Goldman, Michel Jonasz, Robert Hossein, Yves Montand, Miou-Miou, Yves Mourousi, Roman Polański, Michel Sardou) stawiają się na każde spotkanie „R du C”. Od samego początku biorą udział we wszystkich kampaniach na rzecz tej akcji. Ich wspaniałomyślność i bezinteresowność jest gwarancją zaufania do tego stowarzyszenia.

„Naprawdę tylko w *show-business*’ie można znaleźć ludzi, angażujących się niezależnie od przynależności politycznej... To jest zawód, który jest przyzwyczajony do dawania. Poza tym publiczność jest ich całkowicie pewna” — Coluche (27.XI.86).

Podstawowym, fundamentalnym założeniem „R du C” jest to, że funkcjonuje wyłącznie dzięki ochotnikom. Tylko czterech pracowników zatrudnionych jest na stałe — prowadzą księgowość i sekretariat. Wolontariuszom przydziela się różne zadania, według ich doświadczeń. Są to takie prace jak przyjmowanie potrzebujących, magazynowanie oraz dystrybucja. Obecnie pracuje dla „R du C” 7.300 osób w całej Francji. Reprezentują wszystkie kategorie społeczne: matki rodzin, studenci, wolne zawody, renciści etc.

Skąd zdobywa się żywność?

1. Dary osób prywatnych
2. Pomoc instytucji
3. Zbiórki w zakładach przemysłowych, rolniczych i handlowych etc.

4. Zapasy Wspólnoty Europejskiej, otwarte dla nich od 1986 roku. „R du C” zbierają fundusze apelując do społeczeństwa. Dzięki współpracy z artystami i *mass-medium* — na co postawił Coluche

— akcje te są skuteczne. Docierają wszędzie. Organizuje się również różnego rodzaju imprezy kulturalne, korzystając z niezastąpionych ulubieńców społecznych — artystów.

Nigdy natomiast nie praktykuje się zbiórek ulicznych ani chodzenia „po prośbie” od drzwi do drzwi... Zbyt wiele bywało w tego rodzaju akcjach nadużyć.

Za zebrane fundusze centrala zakupów „R du C” zamawia produkty żywnościowe u hurtowników z referencjami, czyli dobrych, dbając o jak najlepszy stosunek cen do jakości.

Przechowuje się te wszystkie produkty w 63 składach rozsiadanych po Francji, zaopatrzonych w chłódnię. Stamtąd dostarczane są do punktów dystrybucji, gdzie ochotnicy przygotowują indywidualne porcje. Jest ich we Francji 725 w 525 miastach. Są to albo wielkie, rozstawione na cele akcji namioty, albo sale udostępnione „R du C” przez merostwa, przedsiębiorstwa czy spółki.

W dużych miastach żywność rozprowadzana jest codziennie. W mniejszych i na wsiach — dwa, trzy razy w tygodniu.

Organizacja „R du C” jest federacją i każdy departament ma swoje autonomiczne stowarzyszenie. Istnieje oczywiście statut, precyzujący zasady współdziałania między stowarzyszeniem krajowym „R du C” a każdym ze stowarzyszeń departamentalnych. Stowarzyszenie krajowe „R du C” ma radę administracyjną wybieraną przez walne zgromadzenie stowarzyszenia. Jej emanacją jest biuro krajowe utworzone ze specjalistów, co gwarantuje sprawność działania. Działa też rada regionalna złożona z 24 członków stowarzyszeń lokalnych. Jest to organ, który rozwiązuje rozmaite problemy wynikające z praktyki „Les Restaurants du Coeur”.

Michel Coluche (urodzony w 1944 roku) nie żyje od mniej więcej dwóch lat. Kochał szybką jazdę na motorze... Akcja, której był pomysłodawcą, trwa...

Maria de HERNANDEZ-PALUCH

Wzór do naśladowania w Kraju. Może Polonia amerykańska utworzyłaby swoje biuro w Polsce i zorganizowała podobną akcję? (REDAKCJA)

O religii bez namaszczenia

Oświęcim

Dziś trzystu żydowskich studentów z całej Europy przejdzie w pochodzie dookoła starego budynku z czerwonej cegły położonego w południowej Polsce, dmąc w rytualne trąby zwane *szofar*. Liczą może, że mury się zawalą. Chodzi im o zwrócenie uwagi świata na skandaliczną, ich zdaniem, obrazę uczuć żydowskich przez katolików.

Dzieje się to w Oświęcimiu. Ceglany budynek stoi poza obwozem dawnego obozu koncentracyjnego, ale stanowił jego część jako składnica ekwipunku i żywności załogi, a przez pewien czas również gazu. Choć byłem kilka razy w Oświęcimiu, nie pamiętam bym go zauważyć. Teraz jednak ten budynek stał się obiektem lamentów, oszczerstw i kontr-oszczerstw rozlegających się po całym świecie.

Rzecz w tym, że w tym domu mieszka kilkanaście siostr-karmelitanek. Są tam od 1984 roku i przez dłuższy czas nikt nie zwracał na nie specjalnej uwagi. Arcybiskup krakowski, kard. Franciszek Macharski, pozwolił im na ich prośbę na otwarcie pod obozem klasztoru, gdzie siostry miały się oddawać „modlitwom pokutnym o pokój, sprawiedliwość i wolność”.

Sprawa wybuchła, gdy w Belgii ogłoszono apel o dary na odnowienie budynku i przystosowanie go do nowej roli klasztoru. Apel zapowiadał, że Karmel oświęcimski stanie się „duchową fortecą i gwarancją nawrócenia błądzących braci...”. Błądzących braci? Czyżby istotnie po wszystkim co się tam stało, katolicy zamierzali właśnie tu, pod tym największym i najstraszliwszym pomnikiem żydowskiej martyrologii, stworzyć instytucje dla nawracania Żydów na chrześcijaństwo?

No, nie całkiem tak. Zapewne, autor apelu to właśnie miał na myśli. Kościół katolicki, jak chyba każda wspólnota wiary, jest skazany na to, by mieć w swoim gronie pewną liczbę niepoprawnych,

złośliwych idiotów. Jednak większość opinii katolickiej na Zachodzie zajęła inne, skromniejsze stanowisko. Niektórzy spośród nich, jak arcybiskup Lyonu kardynał Decourtray, oświadczyli wręcz, że ustanowienie tam Karmelu było błędem, gdyż Oświęcim stał się faktycznie symbolem Holokaustu, zagłady Żydów. Ale to nie uśmierzyło wzbudzonych uczuć organizacji żydowskich w Europie i zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

Delegacja belgijskich Żydów nie zdołała podówczas przekonać kardynała Macharskiego i rządu polskiego, że klasztor powinien być przeniesiony gdzie indziej. Także list pięciu rabinów nie zdołał przekonać papieża. Projekt wybudowania w Oświęcimiu pomnika zamordowanych tam dwóch i pół miliona Żydów — spośród czterech milionów wszystkich ofiar — został odrzucony: „W tej sytuacji tym większy przecież powinien być sprzeciw wobec instytucji innej wiary, tym bardziej wiary wyznawanej przez większość hitlerowskich morderców”.

Nienawiść i strach

To kąśliwe zdanie w zakończeniu listu jest miarą odzywających w tej sprawie nienawiści i obaw. Ale lato 1986 przyniosło wydarzenie, które zdawało się zapowiadać jakiś przełom. Papież Jan Paweł II, poprzednik Macharskiego w archidiecezji krakowskiej, na której terenie leży Oświęcim, złożył wizytę w rzymskiej synagodze i wezwał do wszczęcia żydowsko-chrześcijańskiego dialogu. W lipcu 1986 i na początku 1987 roku czterech kardynałów, wśród nich kard. Macharski, spotkało się z przywódcami żydowskimi w Genewie i doszło między sobą do porozumienia. Zakonnice zostaną przeniesione w inne miejsce, natomiast kościoły chrześcijańskie Europy założą w Oświęcimiu centrum ekumeniczne położone poza obrębem obozu.

Kościół katolicki ustąpił, bez żadnej dla siebie ujemy. I na tym sprawa powinna się była zakończyć. Ale swoisty geniusz ludzki do zamieniania zwycięstwa w klęskę sprawił, że się nie zakończyła. Kościół polski nie zrobił nic i zakonnice nadal są na dawnym miejscu.

W ciągu bieżącego roku desperacja Żydów stale rosła i teraz doszła do punktu wrzenia. W ubiegłym tygodniu amerykański rabin i sześciu studentów zrobiło demonstrację wdzierając się do budynku; zostali wyrzuceni przez polskich robotników budowlanych, którzy poturbowali ich trochę przy tej okazji, podczas gdy policja przyglądała się beczynnie, a zakonnice nerwowo wyglądały przez okna. Brutalna może, ale zrozumiała reakcja na włamanie się męskich napastników do żeńskiego klasztoru. Albo, jeśli chcecie, mały wyryk antysemitki. Alen Stinberg, dyrektor Światowego Kongresu Żydów w Nowym Jorku oświadczył: „Część Oświęcimia jest teraz *judenfrei* (wolna od Żydów, termin hitlerowski).

Trudno sobie wyobrazić awanturę równie smutną i równie niepotrzebną. Z jednej strony mamy do czynienia z wciąż jeszcze

dającym się we znaki brakiem taktu gdy chodzi o uczucia Żydów ze strony pewnych czynników Kościoła katolickiego, zwłaszcza w Polsce, a z drugiej z żydowskim neo-fanatyzmem, prawie wyłącznie amerykańskim, szukającym zwady z rzeczywistym i wymaginowanym antysemityzmem gdziekolwiek na świecie — pod warunkiem że będą tam tele-kamery.

Pociągi śmierci

Symbolika gra rolę; fakty widocznie nie. Obecny klasztor znajduje się poza obrębem Auschwitz I, zespołu baraków, które stanowiły pierwszy obóz koncentracyjny. Auschwitz II (Birkenau-Brzezinka), dokąd pociągi śmierci zwoziły miliony Żydów, jest oddalony o około półtora kilometra. Zakonnice wybrały ten budynek, gdyż leży blisko miejsca kaźni św. Maksymiliana Kolbe, który tam (w Auschwitz I) oddał swe życie za życie ojca rodziny. Chciały też uczcić pamięć Edyty Stein, filozofa i karmelitanki, tu zamordowanej, gdyż była z pochodzenia Żydówką.

Jednak obie tę męczeńskie postaci ranią uczucia Żydów. Ojciec Kolbe mógł w Auschwitz zostać świętym, ale przed wojną redagował obrzydliwe antysemitki pismo. Jeśli chodzi o Siostrę Benedyktę od Krzyża (Edytcie Stein), to liczni Żydzi, wcale niekonicie fanatycy, oskarżają Kościół katolicki, że ogłosił ją błogosławioną właśnie dlatego, że wyrzekła się judaizmu. W rzeczy samej oskarżenie idzie jeszcze dalej. Oto katolicy, powiada się, chcą sobie Oświęcim przywłaszczyć i wyegzorcizmować zeń znaczenie, jakie to miejsca ma dla Żydów.

Podejrzliwość

Podejrzliwość wobec chrześcijańskich intencji stała się dodatkowym przykazaniem — to rozumiałe. Nie wolno nie-Żydowi tej podejrzliwości generalnie potępiać. Ale ta szczególna wrzawa rozpętana dokoła oświęcimskiego Karmelu jest katastrofą. W ciągu ostatnich paru lat wzajemne zrozumienie między Polakami i Żydami, coś więcej niż tylko pojednanie, poczyniło postępy, jakich jeszcze niedawno trudno się było spodziewać. W końcu ubiegłego tygodnia polskie ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało izraelskiego dyplomatę, że postara się skłonić Kościół do przeniesienia zakonnice. Jaki sens ma narażanie tego wszystkiego na szwank przez nieodpowiedzialne oskarżenia, że polski papież nienawidzi Żydów, albo że fakt iż Kościół nie usunął klasztoru jest równie pożałowania godny jak to, że Watykan w swoim czasie nie wystąpił przeciw zagładzie Żydów?

I dlaczego na dobrą sprawę miałoby być skandalem, że kilka kobiet żyjących w ciszy i samotności spędza czas na medytacjach

nad losem tych, którzy tu zginęli — i tych, którzy im śmierć zadali? Kardynał Macharski nazwał Karmel „żywym pomnikiem zadośćuczynienia za dokonane w przeszłości zbrodnie, dokonane również przez ludzi, którzy zanim przyjęli ideologię hitlerowską byli chrześcijanami”. To bardziej prawdziwe niż twierdzenie, że Oświęcim należy do Żydów i tylko do Żydów.

Czy przyjdzie czas, że skończą się walki o miejsca święte? Oświęcim, który podobno nawet wędrownie ptaki omijają, jest najstraszliwszym miejscem na świecie. Ale okazało się, że nawet w Oświęcimiu jest miejsce na jeszcze jedną potworność. Oświęcim staje się drugą Jerozolimą.

(The Observer, 23 lipca 1989)

(Autoryzowany przekład A. Pospieszalskiego)

Neal ASCHERSON

Niedziela w Oświęcimiu

Niedziela była bardzo upalna; bezchmurne niebo nad oświęcimskim obozem, rozpalony asfalt drogi, którą niegdyś hitlerowcy — ustępując przed ofensywą Armii Czerwonej — gnali pozostałych przy życiu więźniów, zastygłe w bezruchu liście nielicznych drzew. Na przystanku autobusowym opodal bramy obozu wisi ogłoszenie, że właśnie w niedzielę na przylegającej do lagru ulicy Findera będzie naprawiana nawierzchnia, ale każdy mieszkaniec Oświęcimia wiedział, dlaczego ją zamknięto.

Lejący się z nieba żar zwykle przegania ludzi z odsłoniętych miejsc. Lecz nie tym razem. Od samego rana, kiedy jeszcze upał nie był tak dokuczliwy, kilkaset osób zebrało się przed dotykającym obozowych drutów klasztorem sióstr karmelitanek. Czekali kilka godzin — najbardziej zajadli zeszli się w pobliże karmelu już po pierwszych mszach. Wytrzymali gorący ranek, wytrzymali rozżarzone południe. Mieli przecież cel — czekali na Żydów.

Główną rolę w tej historii miał odegrać oświęcimski klasztor karmelitanek. Role drugoplanowe rozdzielili między siebie polski Kościół katolicki i dostojnicy religii możeszowej. Jednak los zdecydował inaczej. Prawdziwym bohaterem sporu o klasztor jest polski tłum, koczujący godzinami pod płotem karmelu; tłum ustawiony naprzeciw grup przyjezdnych Żydów, którzy za główny cel swoich pielgrzymek obrali oświęcimskie domostwo sióstr.

Statystują im zachodnie telewizje, spora garść fotoreporterów i dziennikarze.

Czekanie jest zajęciem wyjątkowo nudnym. Człowiek nie potrafi czekać nie robiąc nic. I nawet jeżeli na pierwszy rzut oka wydaje się, że ten tłum wystaje bez ruchu lub co najwyżej drepce w miejscu, jest to błędne wrażenie. Tłum ma temat do zażartych debat. Tematem tym są Żydzi; jeszcze nieobecni, acz spodziewani, niecierpliwie wyczekiwani. Tłum rozbił się na kilkudziesięcioosobowe grupy, w których ludzie przekrzykują się nawzajem. Racja wszak należy się temu, kto głośniej krzyknie, subtelniej wycharcze złożoną wiązkę bluzgów, mocniej rozepchnie się łokciami, będzie twardszy w sądach. Bo jak inaczej poznać, komu racja się należy, skoro w tłumie właściwie nie ma sporu co do zasadniczego tematu dysputy. Przecież ci ludzie wiedzą, co mają myśleć i mówić o Żydach.

— W naszej wolnej Polsce żyjemy — krzyczy jakaś paniusia. — Niech Żydy siedzą u siebie, won do Palestyny. Naszej wiary bronimy. Klasztoru nikomu nie damy.

— Jakbyś pan do nich pojechał, do bożnicy bez czapki wszedł, takie rzeczy wyprawiał jak oni u nas, zabijają bez gadania.

— Siostry modlą się za wszystkich, których Niemcy zabili w obozie. Za parchów też. Czego oni tu szukają.

— Ta telewizja to też pewnie żydowska. Niech pokazuje, co u siebie robią; mordują tak samo jak Hitler, wojnę prowadzą.

— Boga nam ukrzyżowali, Jezusa zabili — histerycznie woła młodzieńki chłopak o nawiedzonym wzroku. — Jezusa zabili, tak ksiądz w kościele mówił.

— Polska to bogaty kraj — słychać wrzask innej kobiety. — Mamy wszystko: ziemię, morza. Obcy nas zrujnowali, Żydy cholerne. Przyjeżdżają, ze sklepów wykupują, przez nich nic nie ma. Ja chcę polskie mięso jeść, a nie jakieś arabskie.

— Jak przyjadą, będziemy Żydów straszyć — proponuje mężczyzna ze znaczkami „Solidarności” w klapie. — Krzyknie się na takiego „raus”, a on — ajwaj pierdolony — już ucieka.

— Za nogi cholerników ciągnąć, w Sole potopić — zapala się inny. — Na nich innego lekarstwa nie ma; tylko tak jak Hitler, albo jaka bomba.

— W książeczce z przepowiedniami pisze, że ich wszystkich wyrznią w 1995 roku, ale paru zostanie. Znów się rozplenią, lecz dwadzieścia lat później pójdą do piachu na amen.

— Panie, te przepowiednie nic nie warte. Taki Hitler na rok by się przydał.

Ten tłum nie jest jeszcze groźny. Jest nijaki, ma mentalność zbiegowiska, które ślepi na wypadek drogowy, póki lekarze nie zabiorą trupa. Ten tłum nienawidzi, bo nic innego nie umie.

To nie jest antysemityzm, ci ludzie nie operują takimi pojęciami, nie znają przydługich, obco brzmiących słów, mimo że przedmiotem słownej agresji są wyłącznie Żydzi. Ci ludzie — gdyby mieszkali we Francji — opluliby Arabów, w Anglii — Hindusów. Gdyby chodzili na brytyjskie stadiony piłkarskie, staliby w pierwszym rzędzie motłochu wszczynającego burdy pod byle pozorem.

— A jak klasztor stał pusty, jak w nim był magazyn zbóżowy, pijaki szczały, to Żydów nic nie obchodziło. Teraz pewnie zapłacili kardynałowi Macharskiemu, to im obiecał klasztor oddać (pojawi się również wersja, że kardynał Macharski, człowiek podobno chory i słabowity, ugiął się pod żydowską presją, bo izraelci zagrozili mu śmiercią).

— Popatrz pan na ich cmentarz, kości ludzkie się walają, chwastami porośnięty. Na porządki pieniędzy im szkoda, to co się dziwić, że siostram klasztor chcą ukraść.

Ten tłum jest taki sam, jak każdy tłum w biednym kraju. Jest jeszcze biedniejszy niż ich ojczyzna, byle jak ubrany, otyły, zapity, bezzębny. Ma brzydką, straszliwie smutną (nawet jeżeli się śmieje) twarz. Twarz wymęczonego przez życie proletę. Większość to ludzie starzy, dużo chorobliwie grubych kobiet bez wieku. Między nimi kręcą się zawadiackie młodzieniaszki. Im wszystko jedno — nabluzgać Żydom czy milicji, byle wcześniej lyknać cienkiego piwa, „zrobić beta”. Siostry włożyły w uporządkowanie klasztoru wiele pracy. Każda cegła kosztuje dziś ze 200 złotych. W ścianach karmelu są dziesiątki tysięcy cegieł. Ten tłum, choćby tyrał do utraty sił, nigdy na te cegły nie zarobi. Dla nich klasztor to także bogactwo, które żydowskie przybłędy chcą zawłaszczyć.

— Ty agencie pierdolony, za zielone Polskę sprzedajesz — ryczy facet o nalanej, czerwonej twarzy (towarzyszający mu kompani za chwilę wyprowadzą go z tłumy, gdyż ledwie przełyka powietrze, histerycznie krztusi się przy każdym zdaniu). — Polskie mięso przyjechałeś zryć, żydowski łachmyto.

Obiektem ataku jest starszy, niewysoki mężczyzna. Żyd? Nordyk? Słowianin? Jakie to ma znaczenie? Odważył się powiedzieć, że podobne ekscesy zniszczą wieloletnią pracę, jaką wielu ludzi — mężczyzna mówi o świeckich i duchownych katolickich, o Żydach i Polakach — włożyło w zasypywanie dzielącej Polaków i Żydów przepaści. Fakt — jego polszczyzna nosi obce naleciałości. Przyjechał z Bostonu, lecz w Polsce alkoholików. To co, że leczy? Jak przyjechał, to jest obcy. Jak przyjechał pod klasztor, to znaczy, że Żydzisko.

— Won, stary Żydzie.

— Won.

— Won.

— Won. Do Palestyny.

Teraz tłum jest naprawdę straszny. Starszego mężczyznę ratuje chyba tylko obecność kamer telewizyjnych. Dziennikarze stoją tuż przy nim, skwapliwie notują, nagrywają. Do rozedrgannej grupy wolnym krokiem zbliża się kilku ubeków. Staruszek podniesionym głosem tłumaczy paranoiczność całej sytuacji. Po co? Teraz tłum w ogóle przestał myśleć (jeżeli myślał kiedykolwiek). Zamiast słów wołałby kamienie. Pewnie taka atmosfera poprzedza pogromy, gdy ludzie — czasem lumpy, czasem dewoci, czasem stateczni ojcowie rodzin — tłuką tych wszystkich, których tłuc trzeba.

— Pani, patrz pani. W tej „Solidarności” to same Żydy.

— Pewnie. Inaczej by w sklepach było. Tak rozkradają, jak rząd.

Kto jest w „Solidarności”, tłumaczy niechlujnie wydana ulotka.

Bronisław Geremek? Jaki Geremek? Nazywa się Waldstein. To Żyd i stalinowiec. Pracę doktorską pisał o paryskich dziwkach. Polak tak by nigdy nie zrobił.

Tadeusz Mazowiecki? Pewnie, że Żyd i jeszcze katolika udaje.

Adam Michnik to Szechter — wnuk lwowskiego rabina, brat stalinowskiego mordercy.

Jacek Kuroń — fanatyczny komunista, osobisty wróg Prymasa Wyszyńskiego.

Karol Modzelewski nazywa się Fiszer, jest synem Żyda.

Jan Józef Lipski — socjalista, w Polsce reprezentuje interesy niemieckie.

Ulotki rozdaje siwy mężczyzna ubrany w wytarty, szary garnitur i biały golf. Na ramieniu zawiesił przepastną torbę. Ma w niej inne rewelacje. Początkowo mówi, że przywiózł je dla znajomych. Później rozdaje jak leci. Teraz wyjmuje — mocno już spóźnioną — deklarację przedwyborczą Stowarzyszenia im. Romana Dmowskiego, które 17 stycznia 1989 roku zostało zarejestrowane w Warszawie jako organizacja ogólnokrajowa. Stowarzyszenie jest za „ustrojem polskim (ani za kapitalizmem, ani za socjalizmem), za rządami Polaków we własnej Ojczyźnie, za moralnością katolicką obowiązującą zarówno rządzących jak i rządzonych”. Jest przeciw „zalewowi prostactwa, barbaryzacji obyczajów, niszczeniu i zaśmiecaniu języka polskiego, fałszowaniu historii i literatury, pornografii i demoralizacji w środkach masowego przekazu, planom zjednoczenia Niemiec (pod płaszczykiem 'zjednoczonej Europy') i ustanowienia w ten sposób ich panowania na naszym kontynencie”.

Mężczyzna w golfie wyciąga kolejny plik ulotek. Narysowana jest na nich nowojorska Statua Wolności z przewiązanymi

chustką oczami. Posąg dzierży w kamiennej dłoni pochodnię, której nie wieńczy płomień, lecz twarz o semickich rysach i diabolicznym wyglądzie. Pod rysunkiem zapisano kilka hebrajskich wersety.

— To cytaty z Talmudu — tłumaczy agitator-narodowiec. — Kraść, mordować, lichwą fortuny zbijać, to żydowska sprawiedliwość.

Mężczyzna wyjaśnia tłumowi, że największymi zbrodniażkami w dziejach ludzkości, faktycznymi twórcami Oświęcimia czy Brzezinki byli Żydzi. Hitler był Żydem. Himmler był Żydem, a łatwo to sprawdzić, jeżeli dokładnie wczytać się w tekst ustaw norymberskich. Przecież na aryjczyków nie wyglądali, skrętnie skryli żydowskie korzenie, lecz Polaka, katolika, ober-speca od napletków, kształtu nosa i małżowiny usznej byle parch nie oszuka.

Tłum skwapliwie bierze antysemitki pisemka, czyta, potakuje głowami. Mężczyzna w golfie zapewne myśli, że będzie miał obfite żniwo. Głupi. Nie pojmuje, że w tym tłumie antysemiti są bardzo nieliczni, że tłum tylko nienawidzi (kogo — mniejsza o to) i może się zdarzyć, że znenawidzi i jego. Ale jeszcze kręci się między grupkami, podpytuje, dopowiada.

— Ma pani papierosa? — pyta grubą, wielką kobietę.

— A mam.

— Jak to? Polka, katoliczka nie pali. — W głosie mężczyzny jest pełna wyższości nagana.

— A bo ja Żydowa? — zaperza się cycata baba. — Polka jestem, katoliczka. A ciebie tu wcześniej nie widziałam. Pewnie nie z Oświęcimia jesteś. Idź, bo mojego chłopca zawołam. Won.

— Won, Żydzie. Do Palestyny.

Mijają godziny, tłum czeka. Ekipy telewizyjne rozsiadły się na trawie. Chronią je od słońca kolorowe parasole. Emocje tłumu powoli siadają. Ludzie szukają cienia, wchodzą w niewykoszoną trawę, pod drzewa. Gdybyś teraz pojawił się pod klasztorem karmelitanek, uznałbyś, że to piknik, choć może pikników nie organizuje się w pobliżu obozu śmierci. Wnuki donoszą dziadkom jedzenie, butelki z pićm. Baby rozkładają płócienne, wędkarskie taborety.

— Wiesz pan, kret rył mi grządki, to go szpadłem zaka-trupilem.

— To żeś się pan naganiał. Nie lepiej benzyny w dziurę wlać, podpalić?

— Dziadziusiu. Mama też by przyszła, ale obiad gotuje.

— Co ty tam synku śpiewasz? Spalony Żydek, zielony Żydek, raz, dwa, trzy. Zmysłny mały, taką piosenkę ułożył. Daj buzi dziadkowi.

— Przyjdą wreszcie te Żydy czy nie?

A Żydów nie ma. Słońce praży niemiłosiernie. Można o Żydach pogadać, o działce pogwarzyć, wspominać, co też działo się przed oświęcimskim karmelem kilkanaście dni temu.

„Spór wokół istnienia karmelickich zakonnic w Oświęcimiu trwa już od kilku lat — pisze w *Gazecie Wyborczej* Krzysztof Śliwiński. — W roku 1984 grupa siostr karmelitanek obejmują na pół zrujnowany budynek, przylegający do dawnego obozu. Był on wykorzystywany po wojnie jako magazyn przez różnych przypadkowych użytkowników. W czasie wojny przechowywano w nim między innymi cyklon B służący do zadawania śmierci w komorach gazowych.

Od 1985 r. istnienie klasztoru wywołuje protesty wielu organizacji, środowisk i osobistości żydowskich, sprzeciwiających się obecności katolickiej instytucji religijnej w miejscu, które w ich oczach jest przede wszystkim cmentarzem Żydów.

Od 1986 r. do stycznia 1989 odbyło się w tej sprawie kilka spotkań przedstawicieli hierarchii katolickiej i społeczności żydowskiej. W spotkaniach tych szczególną rolę odgrywał kard. Franciszek Macharski, ze względu na położenie Oświęcimia na terenie archidiecezji krakowskiej i biskup Henryk Muszyński, przewodniczący Komisji Episkopatu do spraw dialogu z judaizmem.

W wyniku osiągniętych porozumień (przede wszystkim w Genewie 22 lutego 1987) strona katolicka zgadza się na przeniesienie klasztoru do powstającego w Oświęcimiu, ale w oddaleniu od obozu, międzynarodowego centrum informacji, studiów, spotkań i modlitwy. Niestety, nie została dotrzymana przyjęta data 22 lutego br.”

Upalna niedziela 23 lipca była trzecim uzgodnionym terminem, kiedy karmelitanek miały opuścić klasztor.

14 lipca do Oświęcimia przyjechała grupa siedmiu amerykańskich Żydów z rabinem Avrahamem Weisssem, dyrektorem Instytutu Hebrajskiego, żądając natychmiastowego zlikwidowania karmelu. Żydzi przeszli przez płot okalający klasztor, założyli rytualne szale, zapalili szabasowe świece. Mieli ze sobą plansze protestujące przeciwko łamaniu ustaleń genewskich.

Żydowska grupa została wyrzucona z terenu klasztoru przez pracujących tam robotników. Na rabina wylano wiadro brudnej wody (robotnicy akurat myli okna). Wyglądało to mniej więcej tak: ludzie wyciągali za bramę szarpiących się innych ludzi, Polacy wyciągali Żydów.

Oświęcimski incydent trafił na czołówki światowych gazet. Reuter pisał o „jednej z najohydniejszych scen przemocy wobec Żydów, jakiej dokonano w Polsce od wielu lat”. AFP puściła

zdjęcie przedstawiające leżącego rabina i stojącego nad nim Żyda i Polaka.

Informacyjnego obowiązku dopełnił również PAP, podając krótką notatkę pełną przekłamań, do czego po kilku dniach agencja się przyznała. Zajście — na łamach *Gazety Wyborczej* — skomentował Jacek Kuroń („czuję się głęboko zawstydzony jako Polak tym co was — Żydów; przyp. aut. — spotkało”) oraz biskup Muszyński („odczucia Żydów wobec tego miejsca są bardzo różne, uświadamiamy to sobie coraz jaśniej. Odczucia Polaków są inne. Wydaje mi się, że powinniśmy respektować tę odmienność”).

Organizacje żydowskie ogłosiły kontynuowanie protestów. Pod klasztorem, w dniach kiedy grupy żydowskie zapowiadały swoje przybycie, zbierał się żądny wrażeń, „broniący polskiej wiary” tłum.

— Żydy przyjechały — woła trzech wyrostków biegnących od strony bramy obozu.

Tłum przerywa piknik, część podchodzi do klasztornej ploty, inni idą w kierunku wejścia do lagru. Żydy wychodzą z autobusów. Miało ich być 300 — jest niewiele ponad stu. Rozdają skrypty dokumentujące przebieg oświęcimskiego konfliktu; trzy opasłe tomiska, w których ani jedno słowo nie jest napisane po polsku. Formują pochód. Maszerują zwartą kolumną w stronę karmelu. Niosą transparenty, dwa po polsku. Jest z nimi grupa zachodnioeuropejskich katolików.

Ekipy telewizyjne łapią przed kamery krzyczącego człowieka. Mówi, że jest obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, kombatanem, więźniem Oświęcimia.

— Jestem przedstawicielem miejscowej społeczności. Nie dopuścimy Żydów pod klasztor. Jeżeli przekroczą linię tych drzew, użyjemy dostępnej nam siły.

— Panie, gdzie się mamy ustawić? — woła do obywatela PRL napalony na bitkę młodzieniec.

Ubegy sprawnie izolują krzykaczy.

Żydy idą spokojnym, miarowym krokiem. Są młodzi, ubrani „po zachodniemu”, tylko część chłopców nosi na głowach jarmułki. Przed grupą fotoreporterzy. Na chodniku nienawistny tłum. Jakiś starowina krzyczy po niemiecku: „do domu, Żydy do domu”. Niektóre baby skandują: „Jude raus”. Tłum wiruje, jest jakby wrogą eskortą spokojnej manifestacji. Żydy dochodzą do klasztoru.

W tłumie uwija się młody chłopak.

— Zostawcie ich, oni chcą się tylko pomodlić — szarpie jakiegoś mężczyznę.

Chłopak jest z oświęcimskiej „Solidarności”. Pomagają mu ubegy. Przed czołem demonstracji staje polski ksiądz, który właśnie zjechał z Ameryki do starego kraju. Ksiądz wcześniej opowiadał ludziom, jak Żydy w czasie wojny wydawali Polaków, którzy ukrywali innych Żydów. Teraz pyta:

— *Is anybody from the United States?*

Ksiądz jest po cywilnemu, więc zaraz zostaje odepchnięty w tłum. Głos kilku bab: „nie ruszać księdza” nikogo nie obchodzi.

Żydy siadają na ziemi. Przewodzący grupie Bernard Suchecky, belgijski historyk żydowskiego pochodzenia, odczytuje apel-protest przeciwko lokalizacji klasztoru, rozumieją go tylko zachodni dziennikarze. Dla nich to gratka, nie będą biedzić się nad tłumaczeniem. Polski tłum słucha, nic, kompletnie nic nie rozumie z obco brzmiących słów. Wrogość została przytłumiona przez ciekawość — ludzie, dorośli, bogato ubrani, a siedzą na ziemi jak jakieś dzieciaki z przedmieścia. Trzeba przypatrzeć się takiej atrakcji.

Bernard Suchecky bierze w dłonie krótki róg. Stojący obok niego młody Żyd zaczyna śpiewać hebrajskie wersety. Ktoś w tłumie zaczyna ryczeć, bałwańsko parodiując dźwięk rogu. Kilku najbliższych stojących śmieje się: Żydy nawet Boga chwalić nie potrafią. Ale tłum w dalszym ciągu ciekawie patrzy. Taka modlitwa to dla niego dalszy ciąg darmowego spektaklu. Żydy wstają. Demonstracja wraca w kierunku obozu.

Bernard Suchecky streszcza po angielsku treść oświadczenia. Mówi, że Żydy sprzeciwiają się „chrystianizacji *shoah*”. W Oświęcimiu jest klasztor, w Brzezince kościół, w Sobiborze również. To nie jest spór między judaizmem a chrześcijaństwem. Żydy chcą, żeby ich wojennej ofiary nie przyrównywać do ofiar innych narodów — w końcu byli mordowani tylko za to, że byli Żydami. Jeżeli nie uzna się wyjątkowości *shoah*, wówczas Europie grozi kolejna eksplozja nienawiści, skierowana czy to przeciwko robotnikom cudzoziemskim, mniejszościom religijnym lub narodowym, przeciwko komukolwiek, kto się akurat nawinie. Dla karmelitanek jest w Polsce dostatecznie dużo miejsca. Bóg jest przecież wszędzie, jeżeli się w niego wierzy.

Żydy idą wolno, idą z niesłychaną godnością. Tłum nie hamuje ciekawości. Śliczna czarnowłosa dziewczyna mówi:

— W naszej grupie mówimy dwudziestoma językami.

— *Does somebody speak Polish?*

— *Yes.*

— To dlaczego nie czytaliście waszego apelu po polsku?

— *Forgive me, I don't understand.*

Kolumna żydowska wchodzi na teren obozu. Młody ubek mówi do skrywanej w rękawie kurtki krótkofalówki:

— Skończyło się. Tak, będziemy ich dalej eskortować.

Tłum wreszcie może iść do domu. Może jest niezadowolony, bo jednak Żydzi doszli pod karmel, może rozpamiętuje ich dziwaczne obrzędy i spokojny protest, o których opowie się przy rodzinnym stole, a kuzyni boki zerwą ze śmiechu. Placyk i trawnik przed klasztorem pustoszeją. Słońce znika za pierwszą od rana chmurą. Zachodni reporterzy wsiadają do samochodów, milicjanci znikają w sukach. W rozgrzanym popołudniowym powietrzu wisi niesmak. Powoli kończy się gorąca niedziela.

Tomasz JERZ

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London 3W5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madam C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Latem 1989 roku sytuacja w Kraju Rad znowu się pogorszyła. Kraj ześlizguje się jak po równi pochyłej. Obecną sytuację wyróżnia w historii ZSSR całkowity brak koncepcji, jak wyjść z kryzysu. Gazety już od ponad roku pełne są listów czytelników, analitycznych artykułów fachowców i odpowiedzi odpowiedzialnych towarzyszy na temat braku mydła i cukru. 16 czerwca ukazały się w *Prawdzie* odpowiedzi na pytanie, dlaczego brak mydła. Odpowiadali: przewodniczący państwowego Urzędu Statystyki, naczelny lekarz Państwowego Instytutu Higieny ZSSR, wiceprezes Rady Ministrów i wiceminister handlu ZSSR. 29 sierpnia ta sama gazeta powiadomiła, że czytelnicy ocenili odpowiedzi wyżej wymienionych jako „kłamliwe”, „dziecinne gaworzenie”, „wstyd”, „hańbę”, „szkodnictwo” itd. Niewykluczone, że są to najbardziej dyplomatyczne epitety, bo osią wszystkich „odpowiedzi” było twierdzenie, że naród sowiecki używa za dużo mydła i innych środków czyszczących. Tymczasem w listach czytelników mowa jest o realnej groźbie epidemii tyfusu.

16 sierpnia odbyło się w KC KPZS zebranie, poświęcone zaopatrzeniu w żywność 29-ciu miast i ośrodków przemysłowych ZSSR. Oto kilka cytatów: „W duchu wysokich wymagań partyjnych rozpatrzone sytuację... Należy koniecznie zastosować skuteczne środki... Nie wolno pogodzić się z tym, że w szeregu miejsc czyny nie odpowiadają słowom... Zaproponowano wykorzystanie rezerw i możliwości, aby realnie poprawić sytuację w dziedzinie żywności”. Chyba tylko najsprawniejszy komputer byłby w stanie obliczyć, ile milionów razy wszystko to zostało już — tymi samymi słowami — powiedziane.

Zgrzeszyłbym wobec czytelników, gdybym nie opisał „środków”, które mimo wszystko podjęto. Niektórzy nazywają je „wojną siatek na zakupy”. Najpierw Czechosłowacja i NRD zakazały wywozu

żywności, ubiorów dziecięcych i papieru toaletowego. Związek Sowiecki odpowiedział zakazem wywozu lodówek, pralek i kawioru. Następnie republiki nadbałtyckie zaczęły przebąkiwać o barierach celnych. Na Litwie mieszkańcom wydano tzw. „wizytki” — dokumenty opatrzone fotografią, stemplem i podpisem właściciela, zezwalające na zakup towarów, zakazanych dla turystów.

W sierpniu wprowadzono w życie w Moskwie instrukcję „o sprzedaży towarów deficytowych i artykułów zwiększonego popytu”. Wszelkie deficytowe towary zarezerwowane są dla moskwičan. Dla gości stolicy — figa! „Mamy nadzieję — powiedział przewodniczący moskiewskiego sowietu W. Żarow — że rady kolektywów roboczych, organizacje związkowe... będą czujnie pilnowały przestrzegania zasad sprawiedliwości społecznej...” (*Izwestia* z 23.8.89).

Kłopoty związane z brakiem mydła, cukru oraz innych artykułów żywnościowych i przemysłowych są wprawdzie nieprzyjemne, ale naród sowiecki do nich przywykł. Dziennikarz z *Prawdy* z dumą podkreśla „wielkoduszność” tych czytelników, którzy skarżą się wprawdzie na braki, ale mimo to piszą: „a dewizy należy chronić”, to znaczy nie sprowadzać mydła z zagranicy. Znacznie gorsze są kłopoty niespodziewane.

„Kwestia narodowa” bezustannie nabrzmiewa. Wydaje się, że sytuacja w Abchazji nieco się uspokoiła, w każdym razie gazety nie podają stamtąd alarmujących wieści, wybuchnął za to Azerbejdżan. Konflikt o Górny Karabach, łatwy do uregulowania w chwili, kiedy się narodził, a nawet jeszcze rok temu, doprowadził dziś Kaukaz na skraj wojny domowej. Arkadij Wolskij, specjalny administrator Górnego Karabachu, oznajmił amerykańskiemu dziennikarzowi: „Teraz tylko Allah albo Bóg znają odpowiedź” (*International Herald Tribune* z 6.9.89). Utworzony w Azerbejdżanie front ludowy chciał zademonstrować swą siłę i zatrzymał na tydzień pracę we wszystkich przedsiębiorstwach: stanęły fabryki, transport itd. w Baku. Nafta z Baku nie odgrywa już wprawdzie głównej roli w bilansie paliw, ale znaczenie strajku azerbejdżańskich nafciarzy jest ogromne. Świadczy o tym także zakłopotane milczenie prasy centralnej. Nie podała ona także oficjalnej informacji o zajściach w mieście Szusza, którego mieszkańcy aresztowali na pięć godzin dowódcę wojsk wewnętrznych MWD, generała broni Szatalina, oraz dwóch towarzyszących mu generałów. Demonstracje i strajki wstrząsają Mołdawią. W odpowiedzi na uchwałę, że język mołdawski staje się językiem urzędowym republiki, zastrajkowali żyjący w Mołdawii Rosjanie. Organizuje się opór „migrantów”, jak nazywa się w Nadbałtyce ludność napływową i mniejszości. Na Litwie np. Polacy demonstrowali przeciwko „dyktaturze *sajudisu*” — litewskiego frontu narodowego.

Próbę zadowolenia wszystkich narodów ZSSR — i tych, które się już zbuntowały, i tych, które jeszcze wyczekują — zawiera „platforma KPZS”, projekt „narodowościowej polityki partii we współczesnych warunkach”. Ten ogłoszony 17 sierpnia dokument

będzie przedmiotem obrad plenum KC, które Gorbaczow obiecuje już od dwóch lat i być może zwoła pod koniec września. Szczegółową analizę zmian w sowieckiej polityce narodowościowej można będzie sporządzić po plenum. Na razie rzuca się w oczy dążenie do ulepszenia obecnego modelu przez powrót do „koncepcji leninowskiej” tzn. bez zmiany modelu. Odrzucono koncepcję konfederacji, związku równoprawnych suwerennych republik, a zachowano zasadę federacji. Wyłożona została w formule, którą Gorbaczow wprowadził ponad rok temu: bez silnego Związku nie ma silnych republik, bez silnych republik nie ma silnego Związku. Innymi słowy, im silniejsze centrum, tym silniejsze republiki. Wątpliwe, czy logika tej formuły wszystkich przekona. Projekt kładzie nacisk na rozszerzenie praw republik, wychodząc z obietnic obecnej konstytucji. O poszerzeniu praw, a nawet suwerenności, zawsze miło poczytać. Ale w obecnym hymnie sowieckim, napisanym na zamówienie Stalina, jasno jest powiedziane: „nienaruszalny związek wolnych republik...” z dodatkiem „na wieki splotła wielka Ruś”.

Tylko jedna z republik nosi nazwę RSFSR. Jeden z punktów „Platformy” brzmi: „W ramach przebudowy sowieckiej federacji powinny zostać rozwiązane problemy statusu prawnego RSFSR i jej ustroju narodowo-państwowego”. Pisałem już o tym, że moim zdaniem Rosyjska Sowiecka Republika Federacyjna, jądro imperium, zawiera w sobie ząb, który może imperium rozerwać. Świadoma tego niebezpieczeństwa „Platforma” wychodzi Rosjanom naprzeciw, proponując stworzenie dodatkowych organów zarządzających republikami niezależnie od centrum. Mowa jest np. o stworzeniu rosyjskiej Akademii Nauk itp. Główne pytanie dotyczy jednak partii. Rosja jest jedyną z republik, która nie ma własnej partii i własnego KC. Na to miejsce „Platforma” proponuje utworzenie w łonie KC KPZS Biura Politycznego RSFSR. To niewiele. Takie Biuro istniało już za Chruszczowa. Zarazem, żeby się Rosjanie zbytnio nie rozuchwalili, co zagroziłoby imperium, „Platforma” proponuje rozszerzyć prawa autonomicznych republik i okręgów.

Ustępstwa wobec Rosjan są niezbędne, bo po raz pierwszy w historii ZSSR Rosjanie znaleźli się w kilku republikach w roli uciśkanej mniejszości. Godzili się z tym, że żyją gorzej od innych, bo kompensowało im to poczucie wyższości narodowej. Ten ostatni przywilej został im odebrany. Centralna władza musi za to czymś zapłacić, boi się jednak zapłacić za dużo.

„Nową politykę narodowościową” autorytatywnie skomentował Wiktor Czebrikow, członek Biura Politycznego i sekretarz KC. Do 1 października 1988 był przewodniczącym KGB. Po odstąpieniu swojego gabinetu przy Placu Dzierżyńskiego Władimirowi Kriuczukowowi Czebrikow stanął na czele komisji prawnej KC. Amerykański dziennikarz I.F. Stone pisał, że mianowanie szefa KGB głównym stróżem prawa wygląda jak powierzenie szefowi FBI Hooverowi redakcji projektów prawnych.

Porównanie jest zarazem zabawne i nietrafne — zasłużony czekista

Czebrikow jest równie mało podobny do policjanta Hoovera jak FBI do „organów” — ale odzwierciedla niezwykle charakter tej nominacji, nie do pomyślenia w świecie innym niż sowiecki. Czebrikow podkreśla w „nowej polityce narodowościowej” przede wszystkim niezmienny charakter Związku — „wielonarodowego dobrowolnego zjednoczenia suwerennych socjalistycznych państw”. Przyznaje, że zachodziły „błędy i pogwałcenia prawa”, ale teraz, kiedy się do nich przyznano, należy o nich zapomnieć. Wyklucza koncepcję konfederacji, bo „doświadczenie całego świata przemawia za tym, że tylko integracja, tylko połączenie wysiłków, a nie konfederacyjnych dążeń, pozwala na postęp w rozwoju każdego społeczeństwa, nie tylko socjalistycznego”. Prawnicy zapewne osłupieli wobec podobnej ignorancji, ale dotychczas nie ośmielili się podać w wątpliwość myśli Naczelnego Prawnika ZSSR.

Pozostaje więc federacja w dotychczasowych granicach. „Tylko człowiek lekkomyślny — zauważył Czebrikow — człowiek, który nie myśli o możliwych konsekwencjach może twierdzić, że dziś można 'kroić' granice”. Mowa oczywiście o wewnętrznych granicach republik i obwodów ZSSR, tych samych, o których program KPZS (1961 r., str. 20) twierdzi: „Granice między republikami sowieckimi w ramach ZSSR coraz bardziej tracą dawne znaczenie”. Wreszcie komentator „Platformy” podkreśla, że „partia była i pozostaje główną siłą naszego społeczeństwa”.

Projekt nowej polityki narodowościowej opublikowany został tego samego dnia, co uchwała prezydium Rady Najwyższej ZSSR, że ustawy przyjęte w Estonii są sprzeczne z konstytucją. Estończycy, bojąc się, że staną się mniejszością we własnej republice (mieszka w niej ponad 40% „migrantów”), postanowili wprowadzić jako warunek udziału w wyborach obowiązkowy okres osiedlenia w Estonii i ograniczyć prawa wyborcze miejscowych garnizonów. Nowe estońskie ustawy wywołały burzę w prasie moskiewskiej. Sekretariat zarządu Związku Pisarzy Rosyjskich zwrócił się do wszystkich mieszkańców Estonii, do robotników i inteligentów całego kraju. Wezwał rząd i organy ustawodawcze Estonii, aby „zrobili wszystko co w ich mocy dla odzyskania zaufania rosyjskojęzycznej ludności republiki” oraz potępił działania „sił ekstremistycznych”. Przewodnia myśl apelu brzmi następująco: „władza centralna nie zrobiła niczego, aby zapobiec „narastającym nacjonalistycznym i antysocjalistycznym zjawiskom”, działa opieszale, pobłaża „siłom nacjonalistycznym” (*Literaturnaja Gazeta* z 23.8.89).

W prasie rozgorzała nieźle zorganizowana kampania. Mówię „nieźle”, bo uczestniczy w niej przeważnie prasa centralna. Nie jest to już kampania jak za dawnych dobrych lat bywało, ale wciąż są to wystąpienia na zamówienie. Listy czytelników w rubryce zatytułowanej „Wstrzymać negatywne procesy, bronić *pieriestrojki*” (*Prawda* z 15.8.89), tytuły typu „Cień swastyki!” (opowiadanie o odsłonięciu w estońskim miasteczku Kautla pomniku „członków szpiegowsko-dywerysyjnej grupy Abwehr-2” (*Trud* z 23.8.89), specjalny

dobór cytatów z przemówień działaczy *Sajudisu*, m.in. nazywających armię sowiecką armią okupacyjną (*Prawda* z 23.8.89) itd.

Punktem szczytowym było oświadczenie KC KPZS o sytuacji w sowieckich republikach nadbałtyckich. Ton jego był tak ostry, słownictwo tak agresywne i swojsko prymitywne, że w ZSSR i na całym świecie zaczęto mówić, że Gorbaczow jest na urlopie, więc myszy tańczą i bez wiedzy kota ogłosiły reakcyjny, konserwatywny tekst. Oficjalne wyjaśnienie nie dało jednak długo na siebie czekać: obecne środki komunikacji pozwalają porozumieć się z szefem nawet, jeśli jest na urlopie, oświadczenie napisano za wiedzą i za zgodą Gorbaczowa.

W tekście mowa jest o „nacjonalistycznych ekstremistycznych ugrupowaniach”, o „działalności destrukcyjnych, antysowieckich i w gruncie rzeczy antynarodowych sił”, o „histerii nacjonalistycznej”. Tekst oskarża: „Sprawy zaszyły daleko... Skutki mogłyby być dla narodów katastrofalne. Ich zdolność do życia mogłaby stanąć pod znakiem zapytania”. Pogrożka jest wyraźna i jasna: albo zahamować, albo zginać. Takich dokumentów przez ostatnie cztery i pół roku nie było, było ich natomiast niemało w sowieckiej historii, która deportowała i unicestwiła dziesiątki narodów. Oświadczenie KC KPZS przypominało, że gorbaczowowskie „nowe myślenie” to nic innego jak dobrze wszystkim znane, sowieckie myślenie.

Pierwszy sekretarz litewskiej partii komunistycznej Brazauskas zrelacjonował miejscowej prasie swą telefoniczną rozmowę z Gorbaczowem. Generalny sekretarz uprzedził pierwszego sekretarza: jeśli wydarzenia na Litwie będą się rozwijać w kierunku ekstremistycznym, przestanę być waszym przyjacielem... To także jest dobrze znane: wola Wodza jest prawem. Dziś jest w dobrym humorze, można trochę poskakać, ale nie za bardzo, żeby się nie rozgniewał.

Wokół oświadczenia zorganizowano także aktywną kampanię prasową pod hasłami: „Bronimy wspólnej rodziny narodów”, „Zachowując zdrowy rozum” itp. Autorzy artykułów, korespondencji i wypowiedzi przyznają, że pakt Ribbentrop-Mołotow był niesprawiedliwy, ale (mowa o tym także w oświadczeniu KC) pakt to jednak historia, przeszłość, nie należy spoglądać wstecz, należy patrzeć naprzód i nie wadzić *pieriestrojce*.

Obecna sytuacja tym się różni od poprzednich, że groźby przestały działać automatycznie. Zmusiły ludność Nadbałtyki do zastanowienia się, bo zagrożono im wprost. W republikach kaukaskich nie odniosły skutku. I wreszcie dał się usłyszeć głos Ukrainy. Z rocznym opóźnieniem w stosunku do Nadbałtyki Ukraińcy zorganizowali narodowy ruch na rzecz *pieriestrojki* pod nazwą „Ruch”. Na początku września odbył się w Kijowie zjazd założycielski. Jeden z przywódców „Ruchu”, poeta Dymitr Pawłyuczko, wyłożył jego cele: „Nie chcemy wychodzić z ZSSR. Chcemy niezależnej Ukrainy w prawdziwie wolnym związku niezależnych republik” (*International Herald Tribune* z 9-19. 9.89).

Słabość władzy widać gołym okiem. Na lipcowym zebraniu pierwszych sekretarzy republikańskich i obwodowych komitetów

partyjnych podsumowano działalność Gorbaczowa: „W rzeczywistości utracone zostały wpływy, władza i możliwości oddziaływania na wszystko co dzieje się w społeczeństwie”, oświadczył prezes Rady Ministrów, Nikołaj Ryżkow. Wtórowali mu sekretarz KC Jegor Ligaczow i liczni inni mówcy. Lista grzechów generalnego sekretarza była znacznie dłuższa, a grzechy znacznie cięższe niż te, które spowodowały upadek Chruszczowa. Zbuntowani sekretarze nie mogli jednak obalić Gorbaczowa, ponieważ zdobył on już drugi ośrodek władzy — stanowisko przewodniczącego Rady Najwyższej. Ich przemówienia i oskarżenia są także świadectwem słabości władzy.

Nie dziwi zatem list słynnej Niny Andriejewoj do redakcji *Mołodoj gwardii* (nr 7/89). Podpisany tym nazwiskiem artykuł pt. „Nie mogę wyrzec się zasad”, ogłoszony 13 marca 1988 w *Sowiet-skoj Rossiji*, zrobił wielkie wrażenie w kraju. Wszyscy byli przekonani, że wyłożony w nim program dojrzalego stalinizmu otrzymał zielone światło „góry”. Późniejsza o trzy tygodnie replika *Prawdy* nieco ludzi uspokoiła. Od tego czasu Nina Andriejewa stała się symbolem tęsknot do dawnych dobrych czasów. Mityczna postać przybrała nawet ciało: w amerykańskiej prasie pojawiła się jej fotografia. List do *Mołodoj gwardii* — ku radości czytelników znacznie krótszy, aniżeli poprzedni artykuł — wylicza katastrofy ostatnich miesięcy. Nina Andriejewa pisze o „orgii niekontrolowanych żywiołów i anarchii”, przypomina, że Amerykanin S. Shabad przy „okrągłym stole” w *Ogońiku* prorokował, że „jeśli Gorbaczow zwycięży, to w ZSSR odrodzi się kapitalizm” i ostrzega: „Czas nie czeka!”

O słabości władzy — co już bardziej nieoczekiwane — mówią liberałowie, gorący zwolennicy *pieriestrojki*. 16 sierpnia *Literaturnaja gazeta* opublikowała wywiad z filozofem Igorem Klamkinem, znanym z artykułu o „drodze do świątyni”, oraz historykiem Andraniem Migraninem, dużo ostatnio piszącym o problemach władzy. Tekst nosi tytuł „Czy potrzebna jest żelazna ręka?”. Znak zapytania jest mylący: rozmówcy, a zwłaszcza Migranin, kategorycznie twierdzą, że jest potrzebna. W lipcowym numerze *Nowego mira* Migranin wyłożył swe poglądy bardziej szczegółowo w artykule pt. „Daleka droga do europejskiego domu”. Oto jego główna myśl: od systemu totalitarnego do demokracji nie można przeskoczyć jednym susem, należy przejść przez fazę pośrednią, reżym autorytarny. Praktyka polityczna pokazuje, że reżymy totalitarne (Niemcy, Japonia, Włochy) nie zdołały przejść do demokracji w trybie narzuconych odgórnie reform, a reżymy autorytarne (Hiszpania, Portugalia, Grecja, Korea Południowa, Brazylia, Argentyna) — przeszły. Głównym warunkiem powodzenia jest obecność silnej charyzmatycznej osobowości. Migranin cytuje przykład: „Doświadczenia modernizacji i reform w Chinach, na Węgrzech i Polsce podpowiadają, że reformy wymagają silnej władzy personalnej na szczycie nomenklatury piramidy”.

Nietrudno sprzeczać się z Migraninem. Chcę tylko podkreślić, że nie on jeden tęskni do „żelaznej ręki”. Czuję się to także w nowej książce Natana Ejdelmana pt. „Odgórna rewolucja w Rosji”, w artykule ekonomisty Nikołaja Szmielewa, który zastanawia się, czy nie należałoby stworzyć WCzK dla ochrony *pieriestrojki* (*Nowyj mir* nr 4/88) oraz u innych ekonomistów, z uporem zapewniających, że tylko „żelazna ręka” może stworzyć rynek w ZSSR.

Pomysł „żelaznej ręki” jest z wielu względów wart uwagi. W rozważaniach Migraniana pobrzmiewa echo myśli Sołżenicyna ze zbioru „Izpod głyb” wydanego w 1974 roku. Sołżenicyn zadawał m.in pytanie, które pada i dziś: „Być może należy przyznać, że ewolucyjny rozwój naszej ojczyzny od jednej autorytarnej formy do drugiej będzie dla niej właściwszy, gładszy, mniej bolesny?” Autor „Archipelagu GUŁag” powiedział jeszcze coś, co wzburzyło liberałów, a dziś nagle okazało się po ich myśli: „Straszne są nie reżymy autorytarne, ale reżymy, które nie ponoszą odpowiedzialności przed nikim ani przed niczym”. Różnica między Sołżenicynem a dzisiejszymi zwolennikami „żelaznej ręki” polega przede wszystkim na tym, że dla niego reżym autorytarny był ucieczką od demokracji typu zachodniego, a dla nich ma być etapem przejściowym prowadzącym właśnie do niej. Zasadniczą różnicą jest jednak to, że w oczach Sołżenicyna w 1974 r. reżym autorytarny był nadzieją i zarazem abstrakcją, a koncepcja Migraniana jest skrojona na miarę Gorbaczowa.

Poszukiwania „osobowości charyzmatycznej” przybrały dziś charakter gorączkowy. Jej brak odczuwa się silniej niż brak mydła. Powstał problem. „Istnieje nominalny przywódca — pisze Migranin — o wybitnych cechach i wielkiej woli reform”. Wydawałoby się, że to dobrze. Okazuje się, że nie: „Popularność M.S. Gorbaczowa spadła w porównaniu z pierwszym i drugim rokiem. Mimo, że był on i jest politycznym przywódcą o określonych charyzmatycznych cechach”. Problem polega na tym, że przywódcom potrzebne są sukcesy. A sukcesów jak nie było, tak nie ma. Migranin widzi kruchość położenia Gorbaczowa w tym, że „praktycznie znalazł się w dwóch rolach: Lutra i papieża. Z jednej strony rzuca wyzwanie nomenklaturze i chce burzyć jej strukturę, z drugiej ucieleśnia w oczach społeczeństwa te właśnie struktury”.

Można oczywiście powątpiewać, czy Gorbaczow chce zburzyć strukturę nomenklatury. Jego polityka świadczy o tym, że chciałby odrestaurować system i zmienić personel. Ponieważ nie ma jasnego wyobrażenia o tym, co robi i nie potrafi przewidzieć skutków swych kolejnych reform, jego polityka jest chwiejna i osłabia władzę. Generalny sekretarz i Przewodniczący przypomina szachistę, który przewiduje tylko dwa najbliższe ruchy. Oskarża się Gorbaczowa o niezdecydowanie i przekonanie, że problemy rozwiążą się same. Oskarżenia te padają i z „prawa” i z „lewa”. Wszyscy marzą o „żelaznej ręce” (jeśli nie o „stalowej”). Niewykluczone, że marzeniom stanie się zadość — skoro cały naród tego chce. Na razie słabość „na szczycie” powoduje słabość władzy w całym kraju.

To budzi strach. Aleksander Kabakow przedstawił w powieści filmowej „Niewozwraszczeniec” (*Isskustwo. Kino* nr 6/89) apokaliptyczny obraz niedalekiej przyszłości. Powieść została napisana w maju i w czerwcu 1988 roku. Przedstawia Moskwę 1993 roku. Bez kałasznikowa, a w najlepszym razie tokariowa nie sposób przejść przez miasto. Władzę sprawuje generał Panin, ale uzbrojone po zęby bandy wszelkich odcieni grasują po mieście, zabijając siebie nawzajem oraz niewinnych obywateli. Z radia wynika, że sytuacja w całym kraju jest taka sama jak w Moskwie. W Estonii otwarto „obozy dla internowanych obywateli Rosji”, Krym odrywa się od Związku i zamierza odeprzeć „napaść bandytów z osławionej Rewolucyjnej Armii Rosyjskiej...”

Redaktor gazety Konstanty Szczerbakow pisze w przedmowie do powieści, że jest ona „okrutnym i trzeźwym ostrzeżeniem”, że „*pieriestrojka* jest być może naszą ostatnią szansą i nie mamy prawa jej zmarnować”. Z tym się wszyscy zgadzają. Różnice zaczynają się wówczas, kiedy dochodzi do pytania, czym jest *pieriestrojka*.

Adam KRUCZEK

10.9.1989.

Kościół katolicki i białoruskie odrodzenie

Odrodzenie poczucia narodowego na Białorusi jest wciąż jeszcze dość wątłą rośliną. Nie da się tego porównać z prężnymi ruchami rewindykacyjnymi w republikach bałtyckich, w Gruzji czy nawet z narodowym ruchem ukraińskim, choć ten ostatni zawdzięcza swą prężność w dużej mierze działalności licznej ukraińskiej diaspory, jakiej Białorusini (i inne narody Związku Sowieckiego poza Rosjanami) nie mają. Od czasów Stalina Białoruś i Ukraina były terenami najbardziej zawziętej rusyfikacji i antynarodowego terroru, na Ukrainie głównie na początku lat trzydziestych (kolektywizacja), na Białorusi w latach 1937-1941, jak o tym świadczą masowe groby odkryte niedawno w Kuropatach pod Mińskiem, gdzie liczbę ofiar oblicza się na z górą 100.000. Ludność Białorusi przy tym była (i jest nadal) szczególnie podatnym obiektem rusyfikacji. Białorusini nigdy nie mieli własnego państwa, podczas gdy Ukraińcy mogą się przynajmniej powoływać na tradycje Rusi kijowskiej przed najazdem tatarskim. Białorusini od XIV wieku wchodzili

w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej polsko-litewsko-ruskiej, a po rozbiorach w skład imperium rosyjskiego. Przynajmniej początkowy okres Rzeczypospolitej jagiellońskiej, głównie XVI wiek, był okresem największego rozkwitu języka i kultury białoruskiej. Język białoruski był wtedy językiem urzędowym Wielkiego Księstwa, jak o tym świadczy fakt że Statut Wielkiego Księstwa Litewskiego był zredagowany nie w języku polskim ani litewskim, ale właśnie białoruskim. To były czasy Franciszka Skaryny, pisarza, teologa i tłumacza Biblii na język białoruski. W rzeczy samej pierwsze druki, jakie się pojawiły na obszarach Wielkiego Księstwa, to były druki białoruskie, na długo zanim się pojawiła pierwsza książka w języku rosyjskim. Dopiero w XVII wieku język polski wyparł białoruski z pozycji języka urzędowego i od tego czasu rozpoczyna się powolny upadek białoruszczyzny jako odrębnej kultury; język białoruski w coraz większym stopniu pozostaje językiem ludowym, chłopskim, w odróżnieniu od „pańskiej” polszczyzny. Ale poczucie odrębności narodowej nie zaginęło nigdy. Kastus Kalinowski, przywódca powstania styczińskiego na Białorusi, czczony dziś jako bohater narodowy, był również gorliwym działaczem oświatowym piszącym po białorusku. Koniec XIX wieku zapoczątkowuje okres odrodzenia literatury białoruskiej, które zaowocowało w bieżącym stuleciu twórczością takich pisarzy jak Janka Kupała, Jakub Kołas, Aleś Harun i żyjący jeszcze Wasyl Bykau.

Do tych tradycji nawiązuje odrodzenie ducha narodowego na Białorusi w okresie *glasnosti*. Ale pierwsze impulsy, jak się zdaje, przyszły jeszcze przed Gorbaczowem z sąsiedniej Polski w postaci wieści o powstaniu „Solidarności” i przenikającej poprzez granice niezależnej podziemnej prasy. Ta pewno dużą rolę w tym odegrała mniej więcej 300-tysięczna mniejszość białoruska w PRL na obszarze Białostocczyzny. Od końca 1988 roku również na Białorusi sowieckiej pojawiły się niezależne pisemka, rzecz ciekawa, często o silnym podkładzie religijnym, jak *Pravaslauunaja Dumka* albo katolicka *Viera*, bo hasłem niejako dla tych inicjatyw była wielka manifestacja narodowo-religijna w Mińsku 30 października 1988 roku z okazji białoruskich Zaduszek (Dziady). Pojawiły się niezależne organizacje. Jedną z pierwszych była organizacja samopomocy chłopskiej „Talaka”, która jednak silnie podkreśla wartości narodowe, domagając się między innymi przywrócenia tradycyjnego herbu Białorusi Pahonia (Pogoń) i flagi biało-czerwono-białej. Obecnie najpoważniejszą organizacją niezależną jest Białoruski Front Narodowy na rzecz *pieriestrojki* „Adradzennie” (Odrodzenie). Cały ten ruch jest przez władze w Mińsku zjadane, do tego stopnia, że „Adradzennie” musiało odbyć swój zjazd założycielski w Wilnie. Niemniej jest on w stanie przebić się raz po raz przez mur cenzury, głównie na łamach jednego z nielicznych periodyków w języku białoruskim, *Literatura i Mastastwa* (Literatura i Sztuka). Wybitny działacz białoruski i archeolog Zenon Pazniak zdołał zamieścić na łamach

Moskowskich Nowostiej (listopad 1988) artykuł o grobach zbiorowych w Kuropatach, w duże mierze dzięki niemu odkrytych.

W marcu 1988 roku jedna z komisji białoruskiego oddziału Sowieckiej Fundacji Kulturalnej w Mińsku, organizacji oficjalnej, wystąpiła z projektem „programu”, jak to określono, pt. „Odrodzenie języka białoruskiego”. Przez z górą rok ten dokument nie mógł się doczekać oficjalnej publikacji (o ile mi wiadomo, ostatnio został ogłoszony), ale tekst dotarł na Zachód i został wydany w języku białoruskim i przekładzie angielskim przez Stowarzyszenie Białorusinów w Wielkiej Brytanii*).

Nie dziw, że publikacja tego dokumentu w ZSSR natrafiła na opory. Jest to w gruncie rzeczy akt oskarżenia, żalobny pisan na temat stanu białoruskiego języka i kultury białoruskiej w rzekomo suwerennej republice związkowej, ba, jednej z trzech, obok rosyjskiej i ukraińskiej, które mają osobny głos w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Oto kilka danych. Białorusini stanowią około 80% mieszkańców republiki, ale tylko niewielu z nich nie zna lub zna słabo język rosyjski, jakkolwiek za swój język ojczysty uważają białoruski. W szkołach językiem wykładowym jest prawie wyłącznie rosyjski; tylko 14% dzieci, i to tylko w szkołach wiejskich, pobiera naukę języka białoruskiego, ale i tam wszystkie inne przedmioty są wykładane po rosyjsku. Mniej niż 5% książek wydawanych na terenie republiki jest drukowanych w języku białoruskim, a łączny nakład sześciu czasopism białoruskich jest dziesięciokrotnie mniejszy niż łączny nakład pięciu czasopism w języku rosyjskim. Nie ma żadnych słowników języka białoruskiego; dzieci białoruskie uczą się języków obcych za pośrednictwem rosyjskiego, a cudzoziemiec, który chciałby studiować język białoruski, musi się najpierw nauczyć rosyjskiego. Jest to wynik oficjalnej polityki „dwujęzyczności” na obszarach nie-rosyjskich republik związkowych, która jednak jest faktycznie polityką nieubłaganej rusyfikacji. Przy tym na Białorusi ten proces jest o wiele dalej posunięty niż w innych republikach związkowych. Autorzy dokumentu łagodzą swój atak powoływaniem się na politykę narodowościową Lenina i tym, że jeszcze w latach dwudziestych było inaczej.

W części pozytywnej zatem autorzy nawołują nabożnie do powrotu do leninowskiej polityki narodowościowej. Ale program ich jest nadzwyczaj radykalny. Domagają się mianowicie uznania języka białoruskiego za urzędowy język republiki, publikacji książkowych i gazet wyłącznie w języku białoruskim, wprowadzenia białoruskiego jako języka wykładowego w szkołach, łącznie ze szkolnictwem wyższym, a nawet możliwościami pielęgnowania własnej kultury dla

* *National Language in the Socialist State. A document on the state of the Byelorussian language in Soviet Byelorussia.* London. 1988. Published by the Association of Byelorussians in Great Britain, 52 Penn Road, London N7 9RE.

Białorusinów mieszkających w innych republikach oraz zmian w konstytucji ZSSR gwarantujących podobne przywileje dla języków i kultur narodowych innych nie-rosyjskich republik.

Kościół katolicki zawsze odgrywał ogromną rolę w stosunkach polsko-białoruskich (jak i polsko-litewskich i polsko-ukraińskich). Od czasu chrztu Litwy był w swoim kształcie łacińsko-rzymskim *volens nolens* czynnikiem łatinizacji, a tym samym również polonizacji ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego, zwłaszcza pogańskiej do tej pory rdzennej Litwy, ale również już chrześcijańskiej od kilku wieków prawosławnej cyrylicko-bizantyjskiej Białorusi i Ukrainy. Unia brzeska 1596 roku, jakiegokolwiek motywy polityczne mogły leżeć u jej podstaw, była jednak aktem nade wszystko religijnym i stanowiła uznanie ze strony polskiego Kościoła równoważności obrządku grecko-słowiańskiego z obrządkiem łacińskim, a tym samym również praw kultury cyrylicko-bizantyjskiej w łonie Kościoła katolickiego na ziemiach Rzeczypospolitej. Był to zatem gest pozostający w harmonii z duchem tolerancji religijnej, a także kulturowej i narodowościowej Polski XVI wieku. Jakkolwiek tylko mniejszość ludności tych ziem została objęta unią, a większość pozostała przy prawosławiu, ten stan rzeczy przetrwał aż do czasów porobiorowych, ściśle do roku 1839, kiedy car Mikołaj I zdelegalizował obrządek unicki (tak jak Stalin w roku 1946 w zachodniej Ukrainie). Białoruscy katolicy byli wówczas zmuszeni albo przejść na prawosławie albo, jeśli chcieli pozostać przy swej wierze, zdeklarować się jako Polacy i przyjść na obrządek łaciński. W okresie zaborów nie była to może jeszcze zbyt trudna decyzja, bo istniała wspólnota oporu wobec tego samego ciemniejącego; można było modlić się w kościele po polsku, a w domu mówić po białorusku. Sytuacja uległa zmianie, gdy Polacy po uzyskaniu niepodległości stali się panami we własnym domu, a Białorusini pozostali mniejszością narodową, także za kordonem we własnej rzekomo republice białoruskiej. Bo i tam katolicki chodzący do kościoła, śpiewający polskie pieśni religijne i słuchający polskich kazań uchodził za Polaka i sam już nie jest pewny swej przynależności narodowej. Sytuacja uległa dalszemu zaostrzeniu, gdy na skutek reformy liturgicznej II Soboru Watykańskiego z liturgii znikła łacina i zaczęto odprawiać msze w języku narodowym. Powstała paradoksalna sytuacja, że językiem narodowym Białorusina-katolika, mówiącego w domu po białorusku, w kościele stał się język polski. Albo inaczej: język polski stał się dla niego nowym językiem liturgicznym w miejsce łaciny.

Ogromna większość księży katolickich na Białorusi to Polacy i odprawiają oni msze i głoszą kazania po polsku. Zaledwie garstka księży, w tym jeden Litwin, odprawia msze po białorusku; bojowym rzecznikiem duszpasterstwa w języku białoruskim jest ks. Władysław Czerniawski, przez swoich polskich konfratrów uważany za biało-

ruskiego nacjonalistę. Bo polscy księża naturalnie uważają się za obrońców polskości tych dawnych ziem Pierwszej i Drugiej Rzeczypospolitej. Postawa wiernych wobec tej sytuacji jest niejasna. Liczbę Polaków w republice białoruskiej oceniają niektórzy na półtora miliona — na ogólną liczbę około 9 milionów mieszkańców — ale wydaje się, że są to właśnie tylko „kościelni” Polacy, czyli białoruscy katolicy; zarejestrowanych jako Polacy jest zaledwie około pół miliona. Prawdziwa liczba też jest niejasna, nie tylko dlatego, że jedna liczba może być propagandowo zawyżona, a druga zaniżona, ale głównie dlatego, że wielu tych ludzi uważa się za Polaków i Białorusinów równocześnie. Znam osobiście proboszcza wiejskiej parafii pod Mińskiem, ks. Jana Matuszewicza, który uważa się za Polaka, ale zarejestrował się dobrowolnie jako Białorusin; msze odprawia zarówno po polsku jak i po białorusku i u siebie w domu mówi po białorusku. Tak więc tysiące, które wyległy na powitanie ks. prymasa Glempa w czasie jego podróży duszpasterskiej po Białorusi we wrześniu zeszłego roku (w czasie której msze były odprawiane wyłącznie po polsku) to niekoniecznie byli tylko Polacy. Nawet niezależnie od motywacji religijnej, manifestowania swej wiary, w rzeczywistości sowieckiej każdy powiew i każdy przybysz z zachodu jest okazją do zaczerpnięcia świeżego powietrza. Bo faktem jest również, że znajomość języka polskiego nawet wśród szczyrych Polaków jest na ogół słaba, a wśród Białorusinów-katolików praktycznie żadna. Dotyczy to zwłaszcza młodego i średniego pokolenia, które (poza kościołem) nigdy nie miały żadnego kontaktu z polskością. Nie ma szkół i książek białoruskich, tym bardziej nie ma polskich. Ten stan rzeczy trwa już prawie pół stulecia. Natomiast na co dzień przynajmniej, w życiu rodzinnym, jest jeszcze język białoruski, który od więcej niż pół stulecia walczy z zalewem oficjalnej rusyfikacji.

Na płaszczyźnie duszpasterskiej sytuacja zatem jest wysoce nie-normalna — i niemoralna. Trudno, aby dziecko uczące się katechizmu w języku, którego nie rozumie, rozumiało katechizm. By młody człowiek, słuchający kazania po polsku, rozumiał kazanie i wynosił z niego cokolwiek do swego codziennego białoruskiego. A to jest z natury rzeczy sytuacja większości Białorusinów-katolików. Zapewne, świadomy swej przynależności narodowej Polak będzie się czuł w tej sytuacji dobrze; będzie rad i dumny, że przynajmniej w kościele może usłyszeć głoszony publicznie język polski. Ale zachodzi pytanie, czy kościół katolicki na Białorusi jest tylko dla Polaków. Świadomemu swej przynależności narodowej Białorusinowi jest w tym kościele źle. Nawet jeśli nie spotka go afront w postaci odmówienia mu, dajmy na to, kościelnego ślubu, jeśli nie umie pacierza po polsku (były takie wypadki). Czy w tej sytuacji Białorusin-katolik nie ulegnie pokusie, by uciec do prawosławia? Nie ma chyba wątpliwości, że władzom sowieckim o to właśnie chodzi. Przynajmniej tym także tłumaczyć można zgodę władz sowieckich na wizytę ks. prymasa Glempa na Białorusi i przyjazne atencje jego

oficjalnego gospodarza, prawosławnego metropolity Mińska Filareta.

Z punktu widzenia polskiej racji stanu istniejący stan rzeczy jest równie niepomyślny. Patriotyczna obrona kościelnej polskiej enklawy na Białorusi odbywa się kosztem katastrofalnego podważenia autorytetu Polski i polskości w oczach tych, na których najbardziej powinno nam zależeć: niezależnej opinii białoruskiej, stawiającej rozpaczliwy opór dalszej rusyfikacji i sowietyzacji. Białoruski pisarz zamieszkały w Białymstoku, Sokrat Janowicz, powiedział mi kiedyś gorzko: „Działacie ręką w rękę z Moskwą, aby nas zniszczyć, i prawie się wam to już udało”. Na szczęście mogłem mu odpowiedzieć, że nie zawsze tak było i że i dzisiaj Polacy nie żywią takich ludobójczych czy kulturobójczych zamiarów. Sam Janowicz ma polskich przyjaciół, którzy go publikują; sam czytałem jego artykuł o jego ojczyźnie na łamach *Więzi*. Istotnie, właśnie polska prasa katolicka, *Więź*, *Znak*, *Tygodnik Powszechny*, także *Kultura* i *Res Publica*, wykazują coraz więcej zrozumienia dla walki narodu białoruskiego o swoje istnienie i notują pilnie wszelkie przejawy białoruskiego odrodzenia. Nikt dziś nie jest w stanie przewidzieć, co się będzie działo na tych ziemiach, gdy kolos sowiecki ostatecznie się rozpadnie albo przemieni w cywilizowane europejskie państwo. Jedno wydaje się pewne: nie ma co liczyć na powrót państwowości polskiej do granicy ryskiej, która (jak to podkreślał niedawno prof. Kieniewicz w publicznym odczycie w Londynie) była linią, która dzieliła arbitralnie dwa żywe organizmy narodowe, białoruski i ukraiński. Byłoby to karygodne myślenie w kategoriach dnia wczorajszego. W każdej przewidywalnej formie przyszłości naszymi bezpośrednimi sąsiadami na wschodzie będą właśnie Białorusini i Ukraińcy, a na północnym wschodzie Litwini — może nawet jakoś z nami związani, jeśli nie w formie federacji, to ścisłymi sojuszami i wspólnotą interesów. Jest rzeczą najwyższej wagi, by Polska, największy i najbardziej doświadczony organizm państwowy w tej części Europy, była dla tych nowych organizmów magnesem i potencjalnym sojusznikiem, a w każdym razie by nie była postrzegana jako potencjalny wróg. W tym sensie tradycja jagiellońska, tolerancji nie tylko religijnej ale i kulturowej, ma po dziś dzień swój twórczy walor. Ale prace nad tym trzeba już dziś rozpocząć.

Bezpośredni asumpt do napisania tego artykułu dała wiadomość o mianowaniu przez Stolicę Apostolską pierwszego w historii ZSSR administratora apostołskiego w Mińsku z godnością biskupa. Został nim oczywiście Polak, ks. Tadeusz Kondrusiewicz — być może białoruskiego kandydata nie było (ks. Czerniawski dawno już przekroczył siedemdziesiątkę), być może mianowanie Białorusina przełożonym przeważnie polskiego duchowieństwa diecezji byłoby organizacyjnie niemądre. Do tej pory żadnej organizacji diecezjalnej na Białorusi nie było (w odróżnieniu od sąsiedniej Litwy i Łotwy) i mianowanie tylko

administratora apostolskiego świadczy, że Mińsk w oczach Watykanu nie jest jeszcze pełnoprawną diecezją. W każdym razie jest to krok na drodze „polityki wschodniej” Watykanu, zmierzającej do stopniowego odtworzenia hierarchii katolickiej na terytorium ZSSR.

Biskup Kondrusiewicz jest jeszcze młodym człowiekiem. Liczy zaledwie 43 lata, a księdzem jest zaledwie od ośmiu lat. Już jako dojrzały człowiek wstąpił do seminarium duchownego w Kownie; przedtem studiował matematykę i architekturę. Pracował kolejno w polskich parafiach, najpierw w Wilnie, a następnie w Grodnie. Należy mieć nadzieję, że nauczył się tam języka białoruskiego i że zdoła pozyskać sobie zaufanie również swych białoruskich diecezjan i księży. Pierwszym krokiem powinno chyba być wprowadzenie dwóch mszy w każdej parafii, jednej w języku polskim, drugiej w białoruskim. Stosunkowo drobnym zyskiem takiej reformy byłoby to, że pozwoliłaby ona na realistyczną ocenę siły elementu polskiego na Białorusi. Znacznie ważniejszym zyskiem byłaby należyta opieka duszpasterska nad Białorusinami nie mówiącymi po polsku, a co za tym idzie również harmonia między społecznością polską i białoruską i wspólna walka o wolność. Ale być może, że w realizacji tego celu biskup Kondrusiewicz napotka na opór i szykany ze strony władz sowieckich w Mińsku. W tej pionierskiej działalności duszpasterskiej będzie mu potrzebna i odwaga, i rozważa.

Antoni POSPIESZALSKI

Z lektury czasopism białoruskich

W szóstym tegorocznym numerze miesięcznika Związku Pisarzy Białorusi, *Pałymia* (Płomień) zwraca uwagę relacja Pawła Prudnikawa „Rękawice Jezowa”, którą autor zaczął spisywać w 1957 roku, jeszcze w czasie pobytu na Syberii.

Prudnikau został aresztowany w sierpniu 1937 roku w Leningradzie pod zarzutem kierowania wyimaginowanym Leningradzkim Oddziałem równie mitycznego Białoruskiego Centrum Narodowo-Demokratycznego i zorganizowania, wspólnie z trockistami, zamachu na Kirowa w 1934 r. Proces z takimi oskarżeniami mógł zakończyć się wyrokiem śmierci. Autor wspomnień otrzymał jednak zaledwie 8 lat łagru, ponieważ przeszedł śledztwo zwycięsko; nie tylko nie przyznał się do popełnienia jakichkolwiek „zbrodni” ale również zachowywał się hardo wobec śledczych. Właśnie dlatego relacja Prudnikawa jest tak ciekawa i nieprzeciętna.

Prawdziwą przyczyną aresztu była działalność autora w białoruskim kółku literackim przy leningradzkim Domu Oświaty oraz w Ziomkostwie Studentów Białoruskich. Jego aresztowanie pozostawało też w jakimś związku z proce-

sami pisarzy białoruskich w Mińsku. Prudnikau nie zastanawia się nad przyczynami czystek. Raz tylko pisze jak przeżywając w śledztwie myślał, że „gdyby o tym wszystkim wiedział Stalin”, NKWD nie śmiałoby łamać prawa. Z kilku wzmianek można się jednak domyślić, że autor należał do białoruskich nacjonalbolszewików.

Większość aresztowanych po torturach „przyznawała się”, ale zdarzały się również wypadki pobicia śledczych przez przesłuchiowanych oraz odmowy składania zeznań. Sam autor po czterech dniach stania bez jedzenia i spania, w nocy na zimnie, a w dzień na korytarzu twarzą do ściany, postanowił przechrzyć śledczego i obiecał zeznawać, gdy tylko się naje i wyśpi. Odpocząwszy w celi, Prudnikau napisał zwykły życiorys, a gdy dwaj śledczy chcieli go bić, sam ich zaatakował. Wezwany naczelnik ukarał śledczych za to, iż dali się pobić, a autor znów przez 3 doby bez jedzenia i snu stał na korytarzu. Odprowadzony następnie do celi, przekonał strażnika („i ty też możesz tu trafić”), by pozwolił mu spać. Pod opieką kławisza autor przespał dobę. Wezwany na przesłuchanie, uskarżał się wprawdzie na zmęczenie, ale odmówił podpisania fałszywych zeznań. Odprowadzony wreszcie do karceru-łodówki, powiedział sobie: „umrę ale o litość kata nie poproszę”. Prudnikau wytrzymał tu prawie dobę, skrycie gimnastykując się. W końcu udał zemdlonego, by zyskać na czasie. Napojony gorącą herbatą przez śledczych, znów odmówił podpisania zeznań, został więc ponownie wrzucony na kilkanaście godzin do „łodówki”. Nie ustąpił jednak i... śledczy zrezygnowali, Prudnikawa odesłano do celi, a wyrok wydano zaocznie. Aparat NKWD nie miał czasu zajmować się opornymi więźniami, gdyż wciąż przybywali nowi aresztanci i prowadzenie zbyt długo poszczególnych śledztw spowodowałoby zacięcie się maszyny.

W czasie pobytu w więzieniu etapowym, już po wyroku, okazało się, że polityczni byli w stanie obronić się przed kryminalnymi; wystarczyło, że kilku Białorusinów trzymało się razem i zagroziło pobiciem, by kryminalni obchodzili ich z daleka, gdyż woleli atakować potulnych współwięźniów.

W relacji Prudnikawa pojawia się też wątek polski. Śledczy, chcąc pognać więźnia, stawia mu straszny zarzut: „Lepiej się przyznaj — jesteś Polakiem? (...) A cóż w tym złego, jeśli byłbym Polakiem?” Czyż Polacy to nie ludzie? — próbuje usprawiedliwić się przesłuchiwany. — „Wszyscy Polacy to faszyści” — wyjaśnia śledczy — „Wy, narodowi demokraci i Polacy zrobiliście Białorusinem Kastusia Kalinouskiego”.

Od tego momentu śledczy będzie już ironicznie zwracał się do więźnia per „Panie Prudnicki”, widząc w tym widocznie jeden z instrumentów presji psychologicznej.

W dziale publicystyki miesięcznik *Pałymia* zamieścił artykuł wykładowcy Mińskiego Instytutu Pedagogicznego i jednego z założycieli frontu ludowego, Piotra Sadouskiego, podsumowującego dyskusję w kwestii językowej. Autor twierdzi, iż „w końcu lat dwudziestych nastąpiło odejście od leninowskich demokratycznych zasad budowy społeczeństwa socjalistycznego” oraz „odejście od demokracji”, a także przestano patrzeć na ZSSR jak na „związek suwerennych państw narodowych”. Obecnie natomiast podjęto próbę „powrotu do połowy lat 20-tych, gdy rozpoczęło się budownictwo narodowe i językowe oparte na modelu leninowskim”. Następnie Sadouski zagłębia się w prace Lenina, by przypomnieć, że uznawał on „państwowość języków narodowych” i nie przewidywał żadnego obowiązkowego języka ogólnopaństwowego. Również w Konstytucji BSSR z 1927 r. białoruski miał statut języka państwowego. By umożliwić ukształtowanie się narodu białoruskiego (proces ten przerwał stalinizm), Sadouski proponuje sojusz z postępową (głównie rodzimą) częścią aparatu i przyznanie na przeciąg 2-3 pokoleń językowi białoruskiemu specjalnych praw, które chroniłyby go przed inwazją języka rosyjskiego w Republice.

Pałymia jest białoruskojęzycznym organem Związku Pisarzy Białorusi. Jej nakład wzrósł ostatnio z 7 do prawie 10 tysięcy egzemplarzy, co nadal

stanowi symboliczną ilość w porównaniu ze stutysięcznym nakładem *Niomanu*, rosyjskojęzycznego miesięcznika Związku.

W 1989 roku rozpoczęło ukazywać się niezależne białoruskie czasopismo *Kontakt*. Historyczne zadanie uratowania Białorusi od narodowej śmierci stoi — stwierdza redakcja — przed patriotycznymi siłami całego białoruskiego obszaru etnograficznego, który poza Republiką Białoruską obejmuje także Białostoczną, Wileńszczyznę, Smoleńszczyznę i Dźwińszczyznę. „Z tych ośrodków wyszła inicjatywa stworzenia niezależnego czasopisma *Kontakt*, jako forum dla białoruskiej myśli politycznej. Jego podstawowym celem będzie współdziałanie w umacnianiu suwerenności Białorusi i poszerzaniu ruchu odrodzenia narodowego”.

W pierwszym numerze *Kontakt*u dominują dwa tematy: kwestia powołania Białoruskiego Frontu Ludowego i stosunki białorusko-polskie.

19 października 1988 roku odbyły się wybory do zarządu Towarzystwa Pamięci ofiar stalinizmu „Martyrolog”. Jego przewodniczącym jednogłośnie wybrano Zianona Paźniaka, który z kolei postawił wniosek, by przy Towarzystwie powołać Komitet Organizacyjny Białoruskiego Frontu Ludowego na rzecz przebudowy „Adradżeńnie”. Utworzenie Komitetu — jak pisze *Pres-hrupa Nawina* — spotkało się z nagonką prasy republikańskiej, identyczną jak kampanie lat 30-tych i 50-tych „przeciwko lenińskim kadrom partii komunistycznej” (...) Od razu widać — czytamy dalej w *Kantakcie* — że obecne kierownictwo republiki nie ma charakteru gorbaczowskiego i demokratycznego, które odpowiadają narodowi”.

Pierwszy legalny wiec „Odrodzenia” zgromadził 19 lutego 1989 r. na mińskim stadionie od 30 do 50 tys. uczestników. Niektórzy z nich mieli transparenty z hasłami żądającymi suwerenności i nowej konstytucji dla Białorusi oraz powiewali biało-czerwono-białymi narodowymi sztandarami.

Wobec trudności stwarzanych przez władze lokalne II zjazd Konfederacji Stowarzyszeń Białoruskich odbył się w Wilnie w dniach 14-15 stycznia 1989 r., dzięki pomocy Sajudisu, który udostępnił darmowo salę obrad. Do najbardziej znanych białoruskich grup nieformalnych należą: „Talaka”, „Tutejszyja” i „Sowriemiennyk” w Mińsku, „Pachodnia” w Grodnie, „Uzhorie” w Witebsku oraz „Maładzik” w Nowopołocku. Front i Konfederacja wydają własne biuletyny.

Wiktor Maroz omawia stosunek opozycji polskiej do kwestii białoruskiej w PRL. Jego zdaniem w latach 40-tych opozycja i władze „wykazały znaczną solidarność ... w sprawie likwidacji szkół białoruskich”. Ponadto, podziemie zbrojne „zmuszało Białorusinów do opuszczania ich miejscowości rodzinnych, nierzadko stosując esesmańskie metody. ... w 1946 roku oddziały podziemia spaliły w Bielskim wieś Szpaki, Zani i Zaleszany, a ich ludność, w tej liczbie kobiety i dzieci, wybiły”. Rzecz jasna sprawa ta wymaga wyjaśnienia. Podobnie należałoby wyjaśnić stosunek ludności wymienionych wiosek do władzy komunistycznej.

Zjazd „Solidarności” sprowadził w swym postanowie do mniejszości narodowych specyfikę Białorusinów do „tych samych kategorii, co Kaszubów, Mazurów, górali i innych”. W owym czasie „możliwość współpracy z opozycją nie istniała”. Swoje twierdzenie autor ilustruje dwoma przykładami: redaktor białostockiego biuletynu „Solidarności”, który zaproponował wydawanie go również w języku białoruskim, został zakrzywany przez swych współpracowników; podobnie, gdy białostocki zarząd białoruskiego Niezależnego Związku Studentów zwrócił się do NZS-u z propozycją współpracy, „został przegnany jak pies”.

Następnie W. Maroz krótko omawia podziemne publikacje dotyczące kwestii białoruskiej. W sprawie konkretnych działań, w latach 1986-1988, „milczeli działacze opozycji polskiej, przedstawiciele mniejszości białoruskiej i władz państwowych”. Dopiero jesienią 1988 roku sytuacja uległa zmianie. 8 listopada

1988 r. władze „Solidarności” przyjęły postulaty mniejszości narodowych wyrażone w liście grupy intelektualistów białoruskich, litewskich i ukraińskich skierowanym do uczestników obrad „okrągłego stołu”, jako część swego programu i postanowiły przedstawić je w czasie rokowań z władzami.

W listopadzie 1988 r. Barys Saczanka stwierdził na łamach mińskiej *Literatury i Mastactwa*, iż wszystkie problemy mniejszości białoruskiej (w Polsce) można rozwiązać w drodze korektury granicy polsko-sowieckiej ... zgodnie z zasadą „jeden naród — jedno państwo”. Maroz nie wie czy projekt przyłączenia części Białostoczczyzny do Białoruskiej SSR stanowił tylko „prywatną opinię” Saczanki, czy też wyrażono go „z inspiracji zainteresowanych organów BSSR w celu przeciwdziałania rozwojowi konstruktywnych stosunków polsko-białoruskich”, ale dalej pisze: „Możemy nie wątpić, że pod wpływem tego zewnętrznego czynnika wzrośnie brak zaufania Polaków do białoruskiej mniejszości narodowej w PRL, a wizja «narodowego zagrożenia» — nieważne, realna czy wydumana — będzie sprzyjać zbliżeniu interesów opozycji i władzy”.

Omawiany numer *Kontakt*u zamieszcza wykład dr Ju. Turonka, który przytacza dane szacujące liczbę cywilnych ofiar terroru hitlerowskiego na Białorusi na 750 tys., wobec 1,8 mln mieszkańców Białorusi pochłoniętych przez terror stalinowski lat 1930-tych, a następnie przypisanych okupantowi niemieckiemu. Jeszcze niejedne Kuropaty czekają na swoje odkrycie. Tymczasem władze sabotują działalność społecznego „Komitetu 58”, który postanowił zbadać wszystkie okoliczności terroru stalinowskiego oraz ustalić nazwiska ofiar i katów.

Józef DARSKI

KONFERENCJA UKRAINISTYCZNA W NEAPOLU

W dniach 28 maja do 2 czerwca 1989 odbyła się w Neapolu niecodzienna konferencja ukraińskojęzyczna, gdyż była to pierwsza na Zachodzie, w której wzięła udział Akademia Nauk ukraińskiej SSR, i to pierwsza nie w ostatnich 10-ciu czy 20-tu latach, lecz od chwili jej założenia około roku 1930. Konferencję zorganizował wspólnie z sowiecką akademią neapolitański uniwersytecki instytut slawistyki oraz Ukrainian Research Institute uniwersytetu harwardzkiego. Instytut ten w ciągu ostatnich lat stał się głównym zachodnim ośrodkiem badań nad historią, literaturą i kulturą Ukrainy, publikując m.in. cennie *Harvard Ukrainian Studies*, zajmujące się również rozlicznymi tematami, które w Sowietach są lub były do niedawna tabu.

Z Kijowa przybyło na konferencję pięciu naukowców i dwu poetów, ze Lwowa (przez Harvard) jeszcze jeden naukowiec. Stany i Kanadę reprezentowało siedem osób, Polskę dwie. Nie przybyli natomiast zaproszeni i figurujący w programie ukraińscy z CSSR i Bułgarii. Niespodzianką był duży udział Włochów (pięciu z samego Neapolu), w tym specjalna *table ronde*, poświęcona studiom ukraińskim w Włoszech. Okazało się, że powstało tam i powstaje nadal szereg prac naukowych związanych z Ukrainą, począwszy od teologii średniowiecznej aż po osobny projekt zajmujący się bogatym zbiorem dokumentów w archiwach Neapolu, poświęconych stosunkom tego wielkiego miasta portowego z Odessą.

W zamierzeniu inicjatorów konferencja miała być podsumowaniem stanu wiedzy ukraińskojęzycznej, szczególnie w zakresie historii, literatury i języka oraz

historii kultury, a jednocześnie nakreśleniem perspektyw na przyszłość. W świetle konferencji stan ten na Ukrainie przedstawia się wręcz tragicznie. Wynikało to zarówno z bezpośrednich wypowiedzi uczestników, jak też pośrednio, z poziomu niektórych referatów. Równie wymowne było, że akademik Rusaniwskij z Kijowa, który zapowiedział referat na temat „Problemy i perspektywy językoznawstwa ukraińskiego”, w ostatniej chwili wolał mówić o języku Szewczenki. W porównaniu z tym okazało się, jak wiele mają do zaproponowania na te tematy uczeni zachodni — do których należy też zaliczyć prof. Ryszarda Łuźnego z Uniwersytetu Jagiellońskiego i prof. Stefana Kozaka z Warszawy — mimo że nie stanowili jednej „delegacji” i reprezentowali różne ośrodki i różne szkoły naukowe. Niektóre referaty były wprost rodzajem seminarium z danego zakresu na użytek odciętych przecież przez dziesięciolecia od wszelkiej nauki zachodniej Ukraińców sowieckich. Z kolei jeden z kijowskich uczestników wygłosił niemalże panegiryk na temat osiągnięć harvardzkiego instytutu.

Sensacyjna była już sama obecność poety Iwana Dracza, znanego z niezależności i związanych z tym perypetii. Niemniej ciekawa okazała się młoda poetka Oksana Pachlewska. Jej wykład „Ukraina w systemie kultury europejskiej” poświęcony był przede wszystkim tragicznej sytuacji nauki, kultury i narodu, zagrożonego fizycznie przez katastrofę ekologiczną (bynajmniej nie tylko Czarnobyli!), a duchowo przez sowietyzację i rusyfikację. W dyskusji akademik Rusaniwskij, który wraz z akademikiem Dzewerinem był niewątpliwym szefem delegacji, zarzucił poetce, że odeszła od tematu — gdyż mówiła niemal wyłącznie o Ukrainie — i że mówiła zbyt emocjonalnie. Przed drugim zarzutem obronili ją uczestnicy, przed pierwszym obroniła się sama, przypominając sowieckiemu naukowcowi, że sam przecież zapowiedział jeden wykład, a wygłosił drugi.

Dodać trzeba, że część emigracji ukraińskiej przyjęła konferencję bez zachwyty, przypominając, że akademik Rusaniwskij oskarżany jest od lat o współpracę z KGB i ostrzegając przed nawiązywaniem kontaktów z komunistami. Są to więc dyskusje znane polskim czytelnikom na Zachodzie od roku 1956. Przed emigracją ukraińską problem stał się dopiero niedawno. W Harvardzie znajduje się już na krótszy lub dłuższy pobyt dwu ukraińców z ZSSR, planowane są dalsze stypendia. Mowa też była o zaproszeniu z Ukrainy młodych kandydatów na filologów, aby nauczali się w Harvardzie rzemiosła.

Pani Pachlewska, która jest córką wybitnej (i stosownie do tego prześladowanej) poetki Liny Kostenko, brała też żywy udział w dyskusjach i rozmowach. Obraz podsowieckiej Ukrainy, który się wyłaniał z wypowiedzi poetki i innych sowieckich uczestników, był przerażający.

Na zakończenie obrad założono międzynarodowe stowarzyszenie ukraińców, którego tymczasowym przewodniczącym (na jeden rok) wybrano akademika Rusaniwskiego. Cztery wiceprzewodniczący reprezentują Amerykę, Związek Sowiecki, Europę Zachodnią oraz Europę Środkową (czy też Wschodnią poza Sowietami). Z tej ostatniej obecni byli tylko Polacy, toteż jednym z wiceprzewodniczących wybrano prof. R. Łuźnego. Głosowanie, tajne na życzenie niektórych uczestników zachodnich, było jak się wydaje całkiem niezłą lekcją pogładową dla ich nieco zaskoczonych kolegów z Sowietów, podobnie jak długie a żmudne dyskusje (wraz z głosowaniem punkt po punkcie) nad statusem stowarzyszenia, przywiezionym w teczce przez akademika Rusaniwskiego, a w dyskusji nieco pokieroszowanym.

Następna konferencja ma się odbyć za rok w Kijowie. Czym więcej będzie na niej uczestników z Zachodu, tym większe szanse swobodnej dyskusji dla wszystkich, tym większe szanse kontaktów, tak potrzebnych, ba, niezbędnych dla odrodzenia życia naukowego i duchowego na Ukrainie.

Wolna trybuna

Żydzi, endecy i kardynałowie

Na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, pisze się ostatnio wiele o antysemityzmie prymasa Polski kardynała Glempa w związku z losami klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu. W tej właśnie fobii szuka się na ogół wyjaśnienia, dlaczego ów dostojnik Kościoła brnie z tak ogromnym uporem w bardzo niedobłą sprawę niedotrzymanej umowy genewskiej z 1987 r. sprawę, co do której trudno rozstrzygnąć, komu szkodzi bardziej — Polsce czy Kościołowi. Ale pytanie, czy ksiądz kardynał jest, czy nie jest antysemitą wydaje mi się mało interesujące. Należy ono bardziej do biografii intelektualnej i emocjonalnej. Jeśli więc nawet ksiądz prymas szczerze nie znosi Żydów, to politycznie niewiele jeszcze z tego wynika. Polityka to nie jest ani moralistyka, ani konfesjał, ani literatura. W polityce liczy się antysemityzm nie tych, którzy sami nie lubią Żydów, ale tych, którzy takie niechęć Żydów wykorzystują dla politycznych celów i projektów. Zatem pytanie interesujące brzmi: jakiż to projekt polityczny żywi kardynał prymas Glemp, w realizacji którego awantura o klasztor karmelitanek i podsycanie „zimnej wojny” polsko-żydowskiej wydają mu się aż tak przydatne, że warto w tym celu narażać na szwank ważne interesy kraju i Kościoła?

Istnieje najpierw mało znana ogółowi katolickiemu sfera spraw kościelnych, w której prymas jest od dawna aktywnym protagonistą. Jego pozycja jako *primus inter pares* Episkopatu polski nie jest bynajmniej niezachwiana: był i nieraz przegłosowywany w tym gronie, a przy okazji wyboru przewodniczącego krążyły uporczywe wieści, że Watykan i Papież osobiście chętnie widzieliby rozdzielanie funkcji przewodniczącego Episkopatu i godności Prymasa Polski. Kardynał Macharski był naturalnym trybem wymieniany wśród ewentualnych kontrkandydatów; kiedy więc teraz prymas Glemp kwestionuje publicznie „kompetencje” kardynałów z Polski, Francji

i Belgii, którzy sygnowali porozumienie genewskie z 1987 r., wśród nich właśnie kardynała Macharskiego, trudno by komentator nie łączył tych dwóch szeregów faktów. Ale walka o prymat i autorytet w hierarchii kościelnej w Polsce łączy się też bezpośrednio z kwestią miejsca tej hierarchii w Kościele powszechnym. Wybór papieża Polaka, fakt w końcu jednorazowy, nie wyczerpuje bynajmniej ambicji, które żywi ksiądz prymas, świadomy wyjątkowości sukcesów Kościoła polskiego. Nie w tym przecież rzecz, że Kościół w Polsce, jako zdaje się jedyny w naszym kręgu kulturowym, nie odczuwa kryzysu powołań kapłańskich i jest zdolny zasilać kadrowo Kościół powszechny. Sprawa dotyczy samego modelu sukcesu. Czemu właściwie Kościół polski zawdzięcza swą niewątpliwie wyjątkową w skali światowej pozycję we własnym kraju i własnym narodzie, ów stan łaski, którego mogą mu zazdrościć Kościoły zachodnie, zarówno „ludowe” jak włoski, jak i „intelektualne” jak francuski?

W ten sposób dochodzimy, jak sądzę, do istoty problemu. Albowiem ksiądz prymas zdaje się znać na to pytanie odpowiedź, która w sposób dość zasadniczy różni się od zazwyczaj udzielanej przez międzynarodową republikę intelektualistów, w tym również katolickich, z takich pism jak *Tygodnik Powszechny* w Krakowie czy *Esprit* w Paryżu. Sądzę, że to właśnie w imię słuszności tej odpowiedzi, w imię ochrony domniemyanych źródeł triumfów polskiego katolicyzmu ksiądz prymas podjął swą krucjatę oświęcimską.

Najogólniej mówiąc, republika intelektualistów skłonna jest sądzić, że swój sukces Kościół w Polsce zawdzięcza przede wszystkim zdecydowanej obronie praw człowieka, przez co nie należy bynajmniej rozumieć tylko praw i wolności indywidualnych, lecz nade wszystko prawa i wolności zbiorowości społecznych — narodu, chłopstwa, ludzi pracy, młodzieży... Kościół polski odniósł więc swój sukces walcząc konsekwentnie z totalitaryzmem, przeciwstawiając się przenikaniu władzy politycznej we wszystkie obszary życia i korumpowaniu przez nią wszystkich stosunków społecznych. Kościół w Polsce uprzedził więc niejako i potwierdził swą praktyką dokonania Soboru Watykańskiego II.

Odpowiedź księdza prymasa nie jest, oczywiście, prostym zaprzeczeniem wyżej przytoczonego schematu. Odmienność polega najpierw na tzw. innym „rozstawieniu akcentów”. Kościół wygrał nie dlatego głównie, że bronił praw ludzi, jednostek i grup przeciw władzy, ale dlatego zwłaszcza, że przechowywał i chronił duszę narodu (ateista może ją, jeśli woli, nazwać kulturą). Tekst uwag (z datą „16 lipca 1988, Rzym”) skierowanych przez księdza prymasa do członków jego Rady do Spraw Społecznych, a ogłoszonych w pół roku potem przez „Promienistych” w Nowej Hucie i nigdy nie zdementowanych, był dla omawianej tu kwestii aż nadto wymowny. Czytelnikom *Kultury* jest on znany. Przypomnę więc tylko, że autor zajmował się przede wszystkim obroną identyczności pojęć Polak-katolik oraz polemiką przeciwko bezprawnemu — jego zdaniem —

utożsamianiu zatrutej wartości oświeceniowej, nazwanej wolnością sumienia, z godną pochwałą wolnością wiary religijnej.

Sympatie księdza prymasa dla myśli endeckiej i osoby Romana Dmowskiego, którego broszurę zaszczylił osobistym listem-przedmową nie są dla nikogo tajemnicą. W tekście o intencjach bardziej propagandowych można by się w tym miejscu powołać na dość żenujące konsekwencje tych sympatii: pobłażliwość wobec poczyną osławionego kościoła przy ul. Zagórnej w Warszawie czy też protekcję dla otwarcie ONR-owskich wystąpień prof. Giertycha. Wszelako skutki owych sympatii dla myśli i praktyki politycznej księdza prymasa są nieporównywalnie poważniejsze. Zwalczając totalitaryzm, Kościół nieuchronnie podejmuje walkę z nomenklaturą jako reprezentacją interesów: władza polityczna w tym ujęciu nie jest uleczalna inaczej niż poprzez przekreślenie lub przynajmniej ograniczenie tych interesów. Jeśli jednak chodzi głównie o przechowywanie duszy narodu, władza może się po prostu nawrócić. Adam Bromke już dwanaście lat temu zauważył, że władza komunistyczną zrealizowała w Polsce większość ideałów endeckich, które przecież w opinii księdza prymasa całkiem poprawnie wyrażają ducha narodowego. Do nawrócenia się władzy było więc bliżej niż sądzili na przykład, i ciągle jeszcze sądzą, zwolennicy Solidarności. Prymas Glemp, poczynając od pierwszych dni stanu wojennego, czynił politycznie wiele, aby dopomóc generałowi Jaruzelskiemu w pełnym „nawróceniu władzy” bez jej... utraty. Stąd też jego nader ambiwalentny stosunek do Solidarności.

Wydarzenia roku 1989 dowiodły, że skończyła się nie tylko pewna epoka, ale również, co znamiennejsze, że wyczerpały się związane z nią strategie polityczne. Skończyła się, po stronie władzy, gra w normalizację zmierzającą do uzyskania legitymizacji za cenę li-tylko tzw. liberalizacji. Skończyła się, po stronie opozycji, gra w dialog i poszukiwanie legalności bez udziału we władzy i odpowiedzialności. I skończyła się też, mimo wszystko, gra Kościoła o ratowanie narodowej duszy. Piszę — mimo wszystko — gdyż ta właśnie gra zakończyła się pełnym właściwie sukcesem. Kościół odzyskał lub uzyskał wszystko, o czym w ogóle może marzyć Kościół we współczesnej Europie. Zarazem wszystkie symbole, znaki, treści polskość są przywrócone, odświeżone, uznane i salutowane. Duch narodu powrócił bez szwanku na ołtarze... Duszę więc mamy, ale co z ciałem?

We współczesnej Polsce nietrudno jest o spostrzeżenie, że dopiero co odzyskana dusza narodowa jest już znowu zagrożona, choć teraz nie przez przemoc władzy, ale przez samo życie społeczne i zwłaszcza jego odblokowany pluralizm. W nowych warunkach Kościół sam nie może już kusić się o bezpośrednie oddziaływanie na rzeczywistość społeczną i polityczną: jawność i pluralizm mechanizmów demokratycznych czynią bowiem ingerującego stroną w sporze i w rezultacie uniwersalizm Kościoła może się okazać jeszcze jednym partykularyzmem interesów. Nic

bardziej zgubnego dla autentycznej pozycji Kościoła w społeczeństwie.

Wielu korespondentów zachodnich w Warszawie sugerując się aktywnością Prymasa i jego otoczenia w kluczowych momentach ostatnich miesięcy — wymęczone przygotowania okrągłego stołu, wybory, formowanie rządu — wyraża mylnie — jak sądzę — przekonanie, że ilość spotkań na szczycie z udziałem Prymasa świadczy o przemożnym wpływie na bieg wydarzeń. Rezultaty, tam oczywiście gdzie są już czytelne, zdają się dowodzić czegoś przeciwnego: porażka wszystkich kandydatur chadeckich, którym Prymas udzielił poparcia przeciwko kandydatom Solidarności, odrzucenie gorąco zalecanej przez niego linii „powoli i od dołu” (formuła Andrzeja Stelmachowskiego) na rzecz otwartego targu o udział we władzy, pewna emancypacja Wałęsy jako taktyka choć jeszcze może nie stratega politycznego, wreszcie skład gabinetu Mazowieckiego... Nie oznacza to w żadnym razie, iżby aktywny udział Prymasa w grze politycznej ostatnich miesięcy przyniósł mu tylko niepowodzenia. Bez wątpienia jednak sprowadził go do roli jednego z wielu uczestników. Nie mniej, ale i nie więcej: Kościół, w tym wykonaniu, przestaje być mediatorem i arbitrem.

Sądzę, że prymas Glemp jest doskonale świadom tego rezultatu i że jego stanowcza opcja za powołaniem masowej politycznej partii katolickiej jest próbą sprostania nowym trudnościom. Chodzi po prostu o stworzenie posłusznego narzędzia tak, aby samemu nie wkładać ręki w ogień. Ponieważ mowa tutaj o poczynaniach osób, które przywiązują ogromną wagę do symboli, nie sposób pominąć okoliczności apelu księdza prymasa w tej sprawie: w Puy-du-Fou, w trakcie obchodów ku czci powstania wandejskiego przeciwko władzom rewolucyjnej Francji. Jest oczywiście dobrym prawem współczesnych katolików święcić to bardzo katolickie powstanie, ale jest też zapewne grubym nietaktem wobec Republiki Francuskiej czynić to akurat w taki sposób i w 200-lecie tejże rewolucji, które obchodzi dziś cały zaprzyjaźniony naród. Jak bowiem pisze François Furet, wybitny historyk i wcale nie przyjaciel jakobinów, Wielka Rewolucja przestała już dzielić Francuzów i stała się ich wspólnym dorobkiem i tradycją. Wyjąwszy, oczywiście, „beton” po obu stronach politycznego spektrum. A to nie jest dobre towarzystwo.

Jest najzupełniej możliwe i nawet prawdopodobne, że w Polsce powstawać będą wkrótce rozmaite nowe partie polityczne. Ale będą to raczej reprezentacje interesów grupowych niż wielkich ideologii i strategii rozwoju. Widać przecież, jak nieuchronnie partie dotychczasowej koalicji ewoluują ku takiemu rozwiązaniu: PZPR staje się partią nomenklatury, ZSL — chłopów, SD — prywatnej inicjatywy miejskiej. Natomiast stronnictwa dotychczasowej opozycji, jak KPN czy PPS, mimo ogólnonarodowych ambicji i programów nadal wegetują na marginesach Solidarności, która ciągle jeszcze zdaje się wyczerpywać zapotrzebowanie Polaków na ugrupowania bardziej ideologiczne i która zresztą rozwija się raczej w rodzaj ruchu

politycznego niż związku zawodowego. Jak mieści się w tej panoramie masowa partia katolicka, której program odbudowany byłby ponoć wokół społecznej nauki Kościoła (cokolwiek by to miało znaczyć, jako że tym terminem posługują się wszyscy, z PAX-em łącznie)? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nijak. Lecz nie trzeba zbyt pochopnie kwestionować realizmu tego projektu.

Po pierwsze, wcale nie jest takie pewne, że ruch Solidarności nie ulegnie w końcu podziałowi. Ale projektowi masowej partii katolickiej sprzyjać mógłby bardziej jeszcze niż sam rozłam w Solidarności jej paraliż ideowy i polityczny, spowodowany lękiem przed rozłamem. Sprawa ta rozstrzygnie się niezadługo, kiedy nowy rząd będzie musiał przedstawić i realizować program gospodarczej sanacji i przebudowy. Drugim natomiast elementem, który sprzyjać może urealnieniu projektu z pozoru mało realnego, byłoby znalezienie haseł mobilizujących możliwie szerokie rzesze, i to niezależnie od konfliktów interesów społecznych. I tutaj powracamy do początku. W wystąpieniu prymasa Glempa w sprawie klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu najistotniejsze było sprowadzenie do wspólnego mianownika konfliktu religijnego (dwóch sposobów czczenia ofiar ludobójstwa) i sporu między narodami o rolę, jaką jeden i drugi odegrał w tej tragicznej historii. W ten sposób sprawie nadany został wymiar „zimnej wojny świętej” między dwoma narodami wybranymi. Polacy znaleźli się w roli reprezentacji całego chrześcijaństwa, Nowego Przymierza przeciw Staremu. Wspaniałemu komfortowi całej imprezy zdawał się nadto sprzyjać fakt, że żadne rzeczywiste interesy społeczne w Polsce nie są przecież w tej sprawie zaangażowane: w przeciwieństwie do czasów klasycznej endecji, antysemitów można wprawdzie znaleźć, ale Żydzi w liczącej się ilości są tylko za granicą albo w zaświatach. Negatywne reakcje zza granicy są z góry w kalkulowane w rachunek: uprawdopodobniają wersję o antypolskim spisku i uzasadniają wezwanie, by wszyscy Polacy-katolicy wzięli się mocno za ręce.

Takie inscenizacje mogą się oczywiście przydać w organizowaniu masowej partii katolickiej. Tyle tylko, że bardziej niż społeczną naukę Kościoła odzwierciedlałyby one zapewne teokratyczne ambicje proponentów, których Solidarność nie chce i nie może zaspokoić.

Pozostaje wyrazić nadzieję, że — jak to się mawia we Francji — najgorsze nie zawsze jest pewne.

Krzysztof WOLICKI

Kronika kulturalna

Wtajemniczenie według Jana Potockiego

Powieść, uznana przez papieża paryskiej krytyki literackiej Rogera Caillois za „arcydzieło literatury francuskiej i literatury fantastycznej wszechczasów”, była do tej pory nieznaną czytelnikowi francuskiemu¹.

Ani za życia Jana Potockiego, ani przez następnych dwieście lat nie doczekała się publikacji. W 1847 roku przetłumaczył ją pięknie na polski Edmund Chojecki z rękopisu obecnie zaginionego. W czasie ostatniej wojny spłonęły inne rękopiśmienne kopie oryginału.

A jednak pełnego wydania francuskiego spodziewaliśmy się od dawna. Badaczka twórczości Potockiego, pani profesor Ewelina Żółtowska-Weintraub, już w 1973 roku, podczas kolokwium w Instytucie Francuskim w Warszawie, zapowiedziała wydanie dzieła z odnalezionych rękopisów, we współpracy z Rogerem Caillois. Powtórzyła zapowiedź jeszcze dwukrotnie, w latach 1981 i 1984. Nic, co tej niesamowitej książki dotyczy, nie odbyło się do tej pory w zgodzie z przewidywaniami, więc i tym razem skończyło się na zapowiedziach. Obecne wydanie paryskie opracował René Radrizzani, profesor literatury francuskiej z Lozanny. Fragmenty oryginalnego rękopisu rozproszone po archiwach i bibliotekach uporządkował według przekładu Chojeckiego i, co najważniejsze, zdobył się na odwagę, aby 120

¹ *Manuscrit trouvé à Saragosse* de Jean Potocki. Première édition intégrale, établie par René Radrizzani. ed. José Corti. Paryż, czerwiec 1989, s. 680.

stron zaginionych, jak się zdaje bezpowrotnie, przetłumaczyć z powrotem na francuski z dawnego polskiego przekładu.

„Rękopis znaleziony w Saragossie” odniósł sukces wydawniczy dopiero po stu pięćdziesięciu latach. Pierwsze wydanie przeszło niezauważone. Fragmenty powieści ukazały się w 1813 roku, kiedy imperium napoleońskie pogrążało się w błotach Pleissy i Elstery. Pora nie była odpowiednia do czytania o duchach. Najbardziej niesamowite wiadomości znajdowano w artykułach wstępnych dzienników. Później, za restauracji monarchii, Francję przeniknęła „duchem chrześcijaństwa” ogarnął potężny przypływ żarliwości religijnej. Chodzenie do kościoła znowu stało się modne. Publicyści wierni tronowi przedstawiali plagi wojny i rewolucji jako karę z niebios za podniesienie ręki na władzę pochodzącą od Boga. W mistycznej atmosferze książka traktująca o religii bez nabożeństwa nie mogła liczyć na życzliwe przyjęcie. Zwrócono na nią uwagę dopiero po trzydziestu latach z okazji głośnego skandalu prasowego. Przypomnę go, gdyż należy do legendy, która z czasem zniekształciła wizerunek autora, przyczyniła do nieporozumień i zaciemniła znaczenie powieści.

Dzienniki wówczas rządziły światem. Walka o władzę toczyła się w salach redakcyjnych i gabinetach redaktorów naczelnych. Walka na śmierć i życie. Emil de Girardin, wynalazca Ogłoszeń Drobnych i właściciel *La Presse*, rozpoczął karierę dziennikarską od zastrzelenia w pojedynku redaktora konkurencyjnej gazety *Le National*.

W 1841 roku, kiedy wybuchł skandal, legitymistyczna *La Presse* okrzyknęła już po dramatycznym starciu. Skupiła najlepsze pióra. Tu pisywali Balzac i Wiktor Hugo. Od kiedy nowa monarchia ugruntuwała się na dobre, chętnie wracano pamięcią do wydarzeń *ancien régime*'u. W październiku pismo zakupiło prawo publikacji nieznanych pamiętników Cagliostro. Słynny szarlatan, wstawiony dzięki powieściom Aleksandra Dumas „Józef Balsamo” i „Naszyjnik królowej”, budził zaciekawienie jako główny bohater procesu o brylantowy naszyjnik, który skompromitował niegdyś Marię Antoninę i — jak wielu sądzi — przyczynił się pośrednio do wybuchu Wielkiej Rewolucji.

Ukazały się dwa odcinki. Do wydrukowania trzeciego nie doszło, bowiem zawistny, bonapartystowski *Le National* odkrył plagiat. Podał tytuł powieści oraz numery stron, z których pochodziły obydwa fragmenty rzekomych pamiętników. Opinia publiczna nie tolerowała jeszcze wówczas kradzieży literackiej. „Bogaćcie się!”, nawoływał Guizot, ale nikt nie kazał bogacić się cudzym kosztem.

La Presse zaskarżyła właściciela rękopisu do sądu, żądając 25.000 franków w złocie za straty moralne i plamę na honorze gazety. Pod sądny — hrabia de Courchamps — byłby może

zdolny zapłacić taką sumę, ale Maurice Cousin (tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko) skromny literat, nie wygrzebałby się z długów do końca życia. Najbardziej zaszkodził sobie przyjętą linią obrony. Zgodnie z tym, co mówił przed sądem, sam padł ofiarą nieuczciwości. Przed laty miał nieostrożność podarować rękopis pamiętników Cagliostro, otrzymany od markizy de Crequi, polskiemu hrabiemu Janowi Pacowi, który opublikował je pod własnymi inicjałami. Skutkiem Powstania Listopadowego i Wielkiej Emigracji Francuzi stykali się często z Polakami. Zнали ich wady, uważali ich za narwańców i trochę bali się. Ale stąd jeszcze daleko do uznania polskiego hrabiego za złodzieja, bez oczywistych dowodów.

Cousin zmobilizował przeciwko sobie kolonię polską. Przeprowadzono poszukiwania. Wkrótce adwokat *La Presse* przedstawił sądowi koronny dowód oskarżenia: egzemplarz książki z własnoręcznym rysunkiem autora i dedykacją dla generała Senovert. List Lelewela z Brukseli rozszyfrował tajemnicze inicjały.

Chodziło o Jana Potockiego i jego powieść zatytułowaną „*Manuscrit trouvé à Saragosse*”. Tak oto wśród ujadania adwokatów, przy akompaniamencie napaści prasowych, w atmosferze skandalu wchodzą do historii literatury największy może z preromantyków europejskich. Niestety wchodził w masce jakiegoś niesamowitego Cagliostro. Zresztą, skoro umilkły polemiki, książka znowu popadła w zapomnienie. Wielką korzyść wyniesioną z afery stanowił tylko polski przekład Chojeckiego, jedyny tekst kompletny znany obecnie; wówczas jednak było to wydarzenie lokalne, huczek wśród emigracyjnej kolonii polskiej.

Do literatury światowej wprowadził dzieło Potockiego dopiero Roger Caillois w naszych czasach. Przygotowując dla Gallimarda antologię światowej noweli fantastycznej, znalazł w analogicznej polskiej antologii Tuwima „Historię Komandora Toralwy”. Kazał ją sobie przełożyć i świeżo odczytany w gatunku, rozpoznał od pierwszego rzutu oka plagiat z jednego z największych pisarzy amerykańskich, Washingtona Irvinga. Bliższe badania wykazały zaskakującą prawdę: plagiatorom był wielki Amerykanin. Fragment powieści Potockiego opublikował pod własnym nazwiskiem, jako jedną z najlepszych swoich nowel, „The Prior of Malta”. Podobnych niedelikatności dopuścili się i inni, np. znany literat Charles Nodier, zaś zły przykład dał Niemcewicz już w 1801 roku. Puszkina rozpoczął przekładać „*Manuscrit*” wierszem i prowadził daremne zabiegi w celu odnalezienia tajemniczego rękopisu. Kim był zapomniany polski autor, któremu wielcy pisarze składali hołd, wykrawając zeń swoje co lepsze kawalki?

Wyniki poszukiwań Caillois ogłosił w 1958 roku, u Gallimarda: przedruk fragmentów „*Manuscrit*” z paryskiego wydania 1813.

Sukces był bezprzykładny. Powieść, zbyt staroświecka dla pokolenia Kongresu Wiedeńskiego, okazała się nowoczesna dla generacji hippiesów z lat 60-tych XX wieku. Ankieta przeprowadzona przez paryski dziennik *Le Monde* w końcu 1959 roku wykazała, że *Manuscrit trouvé à Saragosse* cieszy się wśród młodzieży francuskiej większym powodzeniem niż powieści André Gide'a. W 1961 i 1962 roku ukazały się w Nowym Jorku dwa wydania przekładu angielskiego. W 1961, 1962 i 1963 we Frankfurcie nad Menem i w Berlinie trzy wydania niemieckie, w 1965 w Mediolanie przekład włoski. W Polsce przeniesiono ją na ekran, w Związku Sowieckim wydano w milionowym nakładzie.

Mimo tak wielkiej popularności sens niesamowitych przygód Alfonsa van Worden wydawał się wówczas niezrozumiały. „Dlaczego Jan Potocki swoją obszerną powieść rozpoczął od zjaw i widm, pozostanie tajemnicą”, twierdził Roger Caillois.

Nawet w ocenie postawy filozoficznej pisarza obserwujemy zasadniczą rozbieżność. Dla trybunału paryskiego sądzącego sprawę o plagiat w 1841 roku polski hrabia był ekscentrycznym autorem opowieści fantastycznych, podobnie jak dla Rogera Caillois sto lat później. Leszek Kukulski, badacz sumienny, z perspektywy Instytutu Badań Literackich w Warszawie w 1954 roku widzi w nim, przeciwnie, scjentystę i materialistę.

Z pewnością w przeniknięciu intencji Jana Potockiego nie ułatwiła Rogerowi Caillois zadania słaba znajomość powieści, z której tylko jedna czwarta dostępna była wówczas po francusku, tak jak Leszkowi Kukulskiemu przeszkadzały marksistowskie okulary, obowiązujące w Polsce około roku 1954. Ale były i inne przyczyny zamieszania.

Po pierwsze sam autor starał się ukryć śmiałe myśli przed cenzurą. Studiując kolejne redakcje niektórych zachowanych rozdziałów, Radrizzani jest urzeczony troską, z jaką Potocki stara się rozproszyć niepopularne wywody po różnych, odległych od siebie częściach książki, przy czym dygresje, przeplatające się opowieści o porwanym wątku, spełniają to samo maskujące zadanie, co odsyłacze i odnośniki w Wielkiej Encyklopedii.

Nawiasem mówiąc obawy Potockiego nie były bezpodstawne. Przyszło mu kończyć dzieło w czasach, gdy zarówno w Paryżu, jak i w Petersburgu zapanowała atmosfera daleka od liberalizmu. Od czasu przywrócenia przez Napoleona religii panującej w 1801 roku i oparcia władzy na podstawach nadprzyrodzonych w 1804, restrykcje dotyczyły książek zgoła niewinnych w porównaniu z *Manuscrit*. Słownik książek potępionych, reprezentujący stanowisko oficjalne, zalicza w 1806 roku *Emila* Rousseau do powieści dziwnych i niebezpiecznych, zaś *Kubusia fatalistę* i *Zakonnice* Diderota do powieści o charakterze zdecydowanie pornograficznym, na równi z opowiastkami Woltera.

W Petersburgu jeszcze gorzej. Pod wpływem Aleksandra I, egzaltowanego mistyka, cenzura tępiła w literaturze wszelką nieprzystojność. Trudno było liczyć na pobłażanie dla miłosnych stosunków Alfonsa van Worden z dwiema siostrami naraz, jego kuzynkami, obiema wyznania mahometańskiego, ani oczekiwać aprobaty dla doświadczeń erotycznych Hervasa z dwiema córkami pani Santarez i z nią samą jednocześnie. Zresztą w Rosji, gdzie car był głową Kościoła, wrażliwości natury moralnej i religijnej nabierały automatycznie zabarwienia politycznego.

Były i inne przyczyny nieporozumień wokół osoby autora „*Manuscrit*”. W związku z zagadką swej własnowolnej śmierci przeszedł z dnia na dzień do romantycznej legendy, kolportowanej w towarzystwie i odnotowanej w pamiętnikach przez kresowych sensatów, podczas gdy jego dzieło pozostawało nieznanne. Nielepszy los spotykał słynnych bohaterów epoki. Współczesna śmierć ks. Józefa w Elsterze zainspirowała malarstwo, grafikę i literaturę, podczas gdy o życiu bohatera nie wiedzano nic lub powtarzano wierutne kłamstwa.

Kiedy po latach przyszło zainteresowanie powieścią, partrano na nią z przyzwyczajenia jak na dzieło dziwaka, jeżeli nie ekscentrycznego samobójcy. Po ukazaniu się polskiego przekładu legenda była na rękę nawet wielbielom Potockiego. W mesjanistycznym znerwicowaniu, charakteryzującym polską emigrację około roku 1847, znacznie wygodniej było zignorować gorszące treści rękopisu jako kaprys kosmopolitycznego oryginała, niż wdawać się w rzeczową analizę. Od gruntownego stereotypu nie potrafił się uwolnić nawet przenikliwy krytyk Roger Caillois: „Klucz do [powieści] tkwi może w samej okropności jego własnowolnej śmierci”.

Patrząc przez pryzmat legendy, Caillois odnajduje w dziele pisarza potwierdzenie tego samego rozdarcia wewnętrznego, które po latach miało przywieść Jana Potockiego do samobójstwa; żywe upodobanie do misteriów i rytów inicjacyjnych, fascynacja sekretami kabały, praktykami magicznymi, wierzeniami astrologicznymi i bajkami, połączone z precyzją i wytwornością języka, dowcipem, mistrzostwem w prowadzeniu wątku przez najbardziej pokrętny labirynt.

Słowem, zupełne rozdwojenie osobowości, z którego tylko śmierć może uwolnić!

Tymczasem dopóki ciężka choroba i kłęski polityczne kraju nie odjęły mu ochoty do życia, Jan Potocki pędził dni pracowite, znacznie bardziej zrównoważone niż większość jego arystokratycznych krewnych.

W krótkim stosunkowo czasie (zakończył życie w wieku 54 lat) opublikował liczne tomy prac naukowych, pionierskich i pełnych erudycji, dosłużył się wysokich stanowisk i orderów, był

dyrektorem departamentu w ministerstwie, redaktorem wielkiego dziennika stołecznego. Cóż bardziej normalnego!

Opinie o dziele i autorze ugruntowane były, powiedzmy otwarcie, na plotce.

Z tym wiąże się najważniejszy, moim zdaniem, powód, dla którego „*Manuscrit*”, choć łatwo czytelny, pozostaje niezrozumiałym: erozja idei. Ząb czasu kruszy bowiem nie tylko piramidy i deformuje granitowe sfinksy, ale także myśli zniekształca nie do poznania.

Dotyczy to zwłaszcza „*Manuscrit*”. Powieść Jana Potockiego stanowi przecież wyjątkowy w historii światowej literatury przykład arcydzieła nieznanego za życia autora. Dociera do nas dzisiaj jak zapieczętowany list, nadany przed dwustu laty w większości od dawna nieistniejącej; dotyczy osób i spraw w większej części zapomnianych lub tylko w połowie zrozumiałych.

Cywilizacje giną. Pozostają po nich rzeczy oraz idee coraz mniej oczywiste w miarę, jak zmieniają się okoliczności, które nadawały im sens.

Oto przykład z niedawnych czasów.

Po opuszczeniu siedziby rodowej przez Alfreda, ostatniego potomka Jana Potockiego, nowi lokatorzy Łańcuta znaleźli w przepastnych kredensach około 300 rozmaitych modeli sztuców. Widelce, noże i łyżki o niespotykanym kształcie i zastosowaniu przeważnie zagadkowym. Kiedyś młoda historyczka sztuki powzięła zamiar przeniknięcia tajemnicy w ramach, jeśli mnie pamięć nie myli, doktoratu. Po kilku latach badań udało jej się podobno ustalić funkcję i zastosowanie ponad połowy badanych obiektów. Takie trudności następują po krótkim czasie przedmioty codziennego użytku. A cóż dopiero, gdy idzie o powieść egipską o niespotykanej kompozycji, zaszyfrowanych treściach, która powstała przed wiekami w niecodziennych okolicznościach. Analiza przy użyciu akademickich narzędzi i miar romantyzmu, racjonalizmu, fantastyki i preromantyzmu nie dała rezultatu, gdyż traktowano dzieło jako ilustrację z góry powziętej tezy.

Sądzę, że samobójstwo Jana Potockiego nie ma nic do powieści, a klucz do niej tkwi w serii dwudziestu dwóch obrazków szeroko rozpowszechnionych w końcu XVIII wieku. Z ich pomocą udaje się wyjaśnić tajemnicze znaczenie duchów, upiorów i widm, jak to postarałem się dalej wykazać.

Czytana bez uprzedzeń, powieść opowiada historię kilkudziesięciu dni życia Alfonsa van Worden. Opis każdego dnia wypełnia osobny rozdział. Jest ich ogółem sześćdziesiąt sześć, tyle co ksiąg składających Biblię.

Kapitan gwardii walońskiej, młody i niedoświadczony, przypominający nieco wolterowskiego Kandyda, wyrusza w niebez-

pieczną podróż z rozkazem doręczenia listów w odległej miejscowości. Podczas przeprawy przez bezludne pasmo gór Sierra Morena przeżywa szereg przygód tyleż niesamowitych, co trudnych do wytłumaczenia. Widzi powieszonych, którzy cudownie ożywają, poznaje Pustelnika i Opętanego, od których słyszy pouczające opowieści, rodzeństwo Kabalistów wtajemnicza go w sekrety kabały, od matematyka Velazqueza odbiera wykład z filozofii nauk przyrodniczych, zostaje uwięziony przez dwie siostry, mużulmanki; w obozie Cyganów nawiązuje niezwykle znajomości, poznaje Żyda Wiecznego Tułacza.

Kuszony na przemian występłą miłością mużulmanek, obietnicami alchemicznego złota, nadzieją panowania nad światem duchów dzięki kabale, to znów perspektywą wiecznego życia na wzór Żyda Wiecznego Tułacza lub hrabiego Saint-Germain, prostoliniyny i niedoświadczony oficer popada w rozterkę. Z czasem nabiera podejrzeń, iż niesamowite przygody zostały umyślnie zainscenizowane. Lecz „cóż to za potężne stowarzyszenie — pyta sam siebie — które zdaje się nie mieć innego celu prócz ukrywania jakiejś tajemnicy lub mamienia mego wzroku dziwnymi obłędami”. A jednak takie stowarzyszenie istnieje. Założyli je krewni Alfonsa, przedstawiciele rodu Gomelezów, aby drogą przemyślnych ceremonii poddać młodego człowieka próbom charakteru, siły woli i inteligencji. Zamierzali bowiem, w zależności od wyniku prób, powierzyć mu zarząd rodzinnym majątkiem i pouczyć, jak ma nim gospodarować. Przygody i zjawy, a nawet sama podróż, zostały zainscenizowane w tym celu.

Wziął udział w „ceremoniach, za pomocą których dopuszczano do znajomości pewnych tajemnic w religiach starożytnych, a które towarzyszą jeszcze przyjmowaniu do różnych tajnych stowarzyszeń”. Cytat powyższy wyjęty z Małego Larousse'a stanowi krótką definicję inicjacji, w przypadku *Rękopisu znalezionej w Saragossie* mamy bowiem do czynienia z typową powieścią inicjacyjną, taką jak *Złoty osioł* Apuleusza w starożytności lub *Wilki stepowy* Hermana Hessego w czasach najnowszych. Czytelnik Potockiego nie potrzebował specjalnej bystrości, aby dopatrzeć się w *Rękopisie* wątku inicjacyjnego ani nie musiał sięgać do encyklopedii, aby dowiedzieć się czym jest wtajemniczenie. Wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Najpewniejszą drogą do kariery było wolnomularstwo, zaś wstąpienie w szeregi wolnomularstwa wymagało poddania się ceremoniom wtajemniczenia. Masoneria pod koniec XVIII wieku stała się instytucją wpływową i rozpowszechnioną. Casanova inicjowany w Lyonie w 1750 roku pisał: „młody człowiek musiał wstąpić do szeregów wolnomularzy, bez których pomocy nie uzyskałby nigdy stosunków w wielkim świecie”.

Potocki, urodzeniu i wykształceniu zawdzięczający miejsce w elicie intelektualnej Europy, stykał się z problemem wtajemniczenia szczególnie często, zarówno jako historyk religii, jak i jako przedstawiciel rodziny blisko związanej z wolnomularstwem. Przynajmniej dwudziestu dwóch członków rodziny Potockich było ówczynie masonami. Niektórzy sprawowali w zakonie najwyższe funkcje. Matka Jana założyła w Paryżu lożę Wytrwałość, dwaj szwagrowie — Ignacy i Stanisław Kostka — sprawowali urząd Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Narodowego Polski, podobnie jak teść — Stanisław Szczęsny. Żona Ignacego była mistrzynią warszawskiej loży kobiecej, imiennik Jana — brygadier — mistrzem loży Świątynia Izys. Autor monografii wolnomularstwa polskiego Leon Chajn mógł więc z całą odpowiedzialnością stwierdzić: „rodzina Potockich odegrała szczególną rolę w historii polskiego wolnomularstwa”.

Czy autor *Rękopisu* sam był masonem? Nikomu nie udało się odpowiedzieć na to pytanie. Wprawdzie londyński wydawca starej pracy Walentego Wilkoszewskiego *Rys historyczny i chronologiczny wolnomularstwa polskiego* wymienia w 1971 roku wśród członków masonerii Jana Potockiego — pisarza, ale czyni to przez pomyłkę, bowiem z treści dzieła (napisanego w 1826) wynika, iż chodzi o jego imiennika — brygadiera. Podobną pomyłkę, jak podejrzewam, popełnia przedwojenna polska Encyklopedia Masońska, która wymienia pisarza bez podania źródeł. Poszukiwania prowadzone przeze mnie za pośrednictwem Institut d'Etudes et de Recherches Maçonniques przy Wielkim Wschodzie Francji również nie dały rezultatu, chociaż historia masonerii francuskiej jest na ogół dobrze opracowana.

Niezależnie jednak od tego, co odkryją przyszłe badania, już dzisiaj można wskazać na okoliczność istotną dla odczytania sensu powieści: temat wtajemniczenia stał Potockiemu towarzyszył. Wątki masońskie w *Manuscrit* rzucają się w oczy i dzisiaj większość badaczy jest zgodna co do inicjacyjnego charakteru powieści. Znacznie trudniej wskazać, wedle jakiego rytu miałyby przebiegać wtajemniczenie van Wordena. A przecież chciałoby się poznać zasady kompozycyjne dzieła o konstrukcji tak wyraźnie wyczuwalnej dzisiaj, kiedy powieść ukazuje się w całości.

Autor *Rękopisu* oddawał się twórczości literackiej na marginesie głębokich studiów naukowych. I na odwrót: Biblioteka Narodowa w Warszawie przechowuje brulion *Manuscrit*, na wielu kartach którego widnieją notatki odnoszące się do *Principes de Chronologie*. Ze szkodą dla jasności dzieła literackiego czas rozdzielił obie strony działalności pisarza, tak ściśle niegdyś zespolone. Po odczytaniu hieroglifów prace proto-egiptologiczne

z dnia na dzień popadły w głębokie zapomnienie, czyniąc niezrozumiałymi większość istotnych aluzji zawartych w powieści.

Jako historyk religii Jan Potocki był kontynuatorem nowoczesnych badań religioznawczych, zapoczątkowanych w epoce „kryzysu świadomości europejskiej” przełomu XVII i XVIII wieku. Wrażliwi na problemy świata filozofowie, moralści i historycy uświadomili wówczas wiele wątpliwości, w których religia nie dostarcza umysłowi krytycznemu wystarczającej pewności.

Kryzys świadomości był natury religijnej. Badania historyczne doprowadziły do zakwestionowania prawd objawionych. Przy nastawieniu umysłu, którego podstawową cechą było wątplenie i ulubioną rozrywką dociekanie narodzin religii, bohaterem Oświecenia został Mojżesz, za którego pośrednictwem zasady wiary zeszyły na ziemię. Nikomu w tamtej epoce nie poświęcono więcej badań i drobiazgowych studiów. Spinoza zakwestionował go jako autora Pięcioksięgu. Za pomocą argumentów zaczerpniętych z historii, chronologii i z samego tekstu wykazał, iż pięcioksiąg był zredagowany w wiele stuleci po legendarnej postaci Mojżesza. Później Anglik Toland opierając się na Strabonie stwierdził, że Mojżesz był kapłanem egipskim i że objawienie było oszustwem. Jean Astruc, lekarz Ludwika XV i regent Fakultetu Paryskiego, wysunął wątpliwości co do autentyczności Tory w *Rozważaniach o dokumentach źródłowych, którymi jak się zdaje posłużył się Mojżesz do skomponowania księgi Genesis*.

Z kolei Wolter w Słowniku Filozoficznym (1764) uznał otwarcie Mojżesza za rodzaj bohatera powieściowego, którego przygody zmyśla się i opisuje. Uważał go za Egipcjanina:

„Prawdopodobnie nie mówił żadnym innym językiem. Egipcjanie nie posługiwali się jeszcze papirusami; ryli hieroglify w marmurze albo w drzewie. Jest nawet powiedziane, że tablice przykazań były ryte na wygładzonych kamieniach”. Podstawy do religii judeo-chrześcijańskiej byłyby przeto zredagowane pierwotnie po egipsku i zapisane hieroglifami!

Nauk egipskich do czasu odczytania hieroglifów nie znano jednak, domyślano się ich tylko ze wzmianek autorów greckich i rzymskich. W miarę postępu badań coraz częściej zresztą podawano w wątpliwość zachowane fragmenty egipskie ze względu na zniekształcenia dokonane przez tłumaczy i przepisywaczy. Żądano oryginalnych dokumentów. Nikt takich nie potrafił dostarczyć. Tego braku doświadczał również historyk i egiptolog Jan Potocki.

Tymczasem Wolter zauważał zgodność wielu obyczajów żydowskich i egipskich, Warburton odnajduje u Plutarcha starożytną tradycję egipską, że Typhon, ojciec Jerossolaima i Judecensa,

uciekł z Egiptu na ośle, Volney wskazuje, iż słońce, które pod imieniem Horusa zrodziło się, jak nasz bóg, w ramionach niebiańskiej dziewicy, przeszło dzieciństwo ciemne, nagie i głodne, jakim jest pora przednówka. Condillac pisze o hieroglifach i Diderot poświęca im rozprawę. Zaciekawienie religią Egiptu podsycają wreszcie pewne sugestie autorów starożytnych, jakoby Chrystus sam był adeptem wcześniejszego, być może egipskiego wtajemniczenia.

Ze swej strony rozmaite systemy masonskie obiecywały odślonić ciekawym nieznaną naukę egipską w powołaniu na tradycję ustną, przekazaną wtajemniczonym. W masonerii symbolicznej — murarskiej — sekrety miały być powierzone przed wiekami majstrom murarskim, zatrudnionym przy budowie świątyni Salomona i przetrwać w kręgach budowniczych katedr gotyckich, *free maçons*, wolnych mularzy.

W systemie masonerii templariuszowskiej, do którego należał Stanisław August Poniatowski, były przeniesione przez zakon rycerski. Uzyskali oni wtajemniczenie podczas wypraw krzyżowych od opiekunów Świątyni jerozolimskiej i niedobitków starożytnej sekty esseńczyków. Twórca innego systemu, Starck, profesor języków wschodnich na dworze landgraфа heskiego, zarzucał neotemplariuszom ignorancję: otrzymali wtajemniczenie od wojowników niedopuszczonych do prawdziwego sekretu. Depozytariuszami tajemnicy według jego wtajemniczenia byli wyłącznie kanonicy Grobu Świętego. System Starcka zwał się Klerykatem, gdyż pochodził od tych duchownych.

Systemy działały, dopóki adepci zadowalali się tradycją ustną przyjmowaną na wiarę. Cagliostro bezkarnie nauczał tajemnej wiedzy w założonej przez siebie Loży Egipskiej w Warszawie, na Solcu, zanim nie przeniósł interesu do Paryża. Ale żądanie dokumentów, kiedy się pojawiało w trakcie walki konkurencyjnej, prowadziło z reguły do kompromitacji Wielkich Mistrzów. Na przykład zwierzchnictwo neotemplariuszy kierowane przez Alojzego Brühla pozbawiło władzy barona Hunda, twórcę systemu, pod groźbą zaskarżenia o szalbierstwo.

Jan Potocki będzie próbował poznać Egipt na różne sposoby. Odbędzie podróż na miejsce, w Rzymie nawiąże przyjaźnię wśród egiptologów skupionych wokół muzeum starożytności egipskich w Villettri, wreszcie zabierze się do porządkowego zrekonstruowania chronologii egipskiej według Manethona. Oczywiście grecki tekst tego kapłana egipskiego z późniejszych dodatków, usunie zniekształcenia, uporządkuje. Wszystko to jednak będą półśrodki, nie mogące zastąpić znajomości oryginalnych, świętych tekstów egipskich.

A jednak upragniony dokument wreszcie się odnalazł. W 1781 roku opinię intelektualną Europy zelektryzowała wiado-

mość o odkryciu starożytnej, egipskiej księgi mądrości. W VIII tomie dzieła *Le monde primitif* paryski erudyta Court de Gebelin ogłosił rozprawę o starożytnym, egipskim pochodzeniu kart do gry w taroka. Powołując się na podobieństwo symboli i alegorii w rysunku kart tarokowych i znanych zabytków egipskich, dowodził, że w obawie prześladowań kapłani egipscy zaszyfrowali w tych rysunkach wykład starożytnej religii zgodny z tym, czego nauczano w misteriach inicjacyjnych.

Tarok (fr. *taroth*) jest grą w karty. Według *Le monde primitif* była przeniesiona przez Arabów do Hiszpanii, a stamtąd do Niemiec.

We Francji w końcu XVIII wieku stosunkowo mało rozpowszechniona, stała się popularna w następnym stuleciu, razem z innymi egipcjanizmami prawdziwymi i rzekomymi. Talia taroka dzieli się na wielkie i małe arkana. Małe przypominają z niewielkimi różnicami dzisiejszą talię brydżową. Wielkie stanowią zbiór dwudziestu dwóch alegorycznych obrazków ponumerowanych od I do XXI, plus jeden nie numerowany. Poszczególne figury noszą nazwy: Kuglarz, Słońce, Zakochany, Opętany, Śmierć, Pustelnik, Diabeł, Świat itd. Według *Le monde primitif* tarok jest wynalazkiem egipskim, gdyż „... forma, przeznaczenie, zasady tej gry i jej figur są tak ostentacyjnie alegoryczne, a te alegorie tak dobrze odpowiadają doktrynie politycznej, filozoficznej i religijnej starożytnych Egipcjan, że trudno się powstrzymać od uznania jej za dzieło Ludu Mędrców”.

Bez względu na to, co o wartości odkrycia sądził Potocki — erudyta i egiptolog — pisarzowi tarok, wraz z jego piękną i wieloznaczną symboliką, musiał się wydawać doskonale odpowiedni jako schemat konstrukcyjny do wyłożenia historii doktryn tajemnych, tak jak później oczarował tymi samymi właściwościami historyków okultyzmu Eliphasa Levi, Papusa, Osvalda Wriatha, oraz byłych surrealistów Rogera Caillois (tak!) i Alexandriana.

Court de Gebelin odkrył tarok w salonie wdowy po Helwecjuszu na Auteuil. Potocki również bywał tam częstym gościem, wprowadzony przez innego egiptologa, Volneya. Matka Jana Potockiego figuruje na liście subskrybentów *Le monde primitif* (5 egz.) obok Ludwika XVI (100 egz.).

Wróćmy teraz do powieści, aby poszukać odpowiedzi na pytanie, na jakim rytuale opiera się wtajemniczenie van Wordena.

Jak się dowiadujemy z nauk Szejka, rytuału tego używano w rodzie Gomelezów od niepamiętnych czasów. Wskazówek należy zatem szukać w historii rodu.

Historii własnej rodziny Alfons dowiaduje się niejako na raty. Część tajemnic powierzają mu na początku podróży siostry

muzułmanki, resztę dopowiada Szejek w ostatnim dniu. Te dwa monologi są klamrą konstrukcyjną spinającą powieść. Według Eminy i Zibeldy ród Kassar-Gomelezów jest starym szczepem iberyjskim. Pochodzi od Turdulów, fenickich założycieli Kadyksu. Tutaj warto zauważyć, iż bohater wielu legend masonskich, Hiram, budowniczy Świątyni Salomona, był Fenicjaninem. Turdulowie zachowali wyniesione z Fenicji zwyczaje i wierzenia, a nawet przez następne stulecia posługiwali się własnym alfabetem, niezrozumiałym dla ludności hiszpańskiej. Wolnomularstwo nazywało pismem fenickim alfabet kryptograficzny używany w lożach do sporządzania tajnych dokumentów i do korespondencji między wtajemniczonymi.

Według nauk Szejka, popartych innymi świadectwami, przedstawiciele odwiecznej rodziny Gomelezów można napotkać w najbardziej odległej starożytności. Nie zapuszczając się wszakże zbyt daleko, wystarczy powiedzieć, iż ród był znany już na kilka pokoleń przed Mojżeszem. Z Egiptu przywędrował wraz z Izraelitami Mojżesza do Jerozolimy. Tutaj jeden z przedstawicieli rodu wstąpił się jako budowniczy świątyni Salomona (Hiram!), inny był arcykapłanem świątyni. Przysługiwało mu zatem prawo wstępu raz do roku do sanktuarium; należał do najwyższej wtajemniczonych. Sam Szejek, mistrz i inicjator Van Wordena, również otrzymał wtajemniczenie w Egipcie. Udał się do Teb i tam w podziemnym labiryncie świątyni Czymandiasa przeszedł próby i odebrał nauki. Ciągłość wtajemniczeń egipskich nie zniknęła, skoro jeszcze w XVIII wieku przedstawiciele rodu Gomelezów udawali się po nauki do Egiptu. W tym samym labiryncie Czymandiasa (Ramzesa II) miał niegdyś otrzymać wtajemniczenie Mojżesz, o czym mówi Potocki ustami kapłana Chereмона w wykładzie dla młodego Żyda Wiecznego Tułacza. Według *Le monde primitif* kapłani egipscy ujęli podstawowe prawdy swej wiary w serię dwudziestu dwóch alegorycznych i symbolicznych figur, rozpowszechnionych później pod postacią kart do gry w taroka. Inny monografista wtajemniczeń egipskich, francuski mistyfikator, ksiądz Terrasson, autor dzieła *Sethos*, opublikowanego (1731) jako rzekomy przekład kroniki egipskiej, twierdzi, że dwadzieścia dwa symboliczne obrazy znajdowały się wykute w postaci płaskorzeźb na ścianach podziemnego labiryntu Czymandiasa.

Faraon Sethos, bohater powieści, tam dostąpił wtajemniczenia. Kapłani przeprowadzili go podziemnymi korytarzami, objaśniając sens kolejnych figur. Również kapłan Cheremon w naukach udzielonych Żydowi Wiecznemu Tułaczowi wspomina alegoryczne płaskorzeźby w labiryncie Czymandiasa, jako symboliczny wykład pryncypiów religii egipskiej, używany do wtajemniczeń.

Wtajemniczenie van Wordena opierało się zatem na starożytnym rycie ale egipskim i reprodukowało wtajemniczenie Mojżesza! Oto węzłowy punkt powieści. Dzisiejszy czytelnik łatwo może go przeoczyć, lecz wśród publiczności literackiej epoki Cesarstwa wszelkie wzmianki dotyczące starożytności egipskiej budziły czujne zaciekawienie. U schyłku poprzedniego stulecia pędy egiptomanii zakiełkowały w rozmaitych punktach Europy. Fryderyk Wielki zastawił ogrody w Poczdamie obeliskami, piramidami i sfinksami, naśladowany przez Gustawa III w Kopenhadze. W Warszawie działała Loża Egipska i druga Świątynia Izydy, w Dreźnie w parku był wzniesiony ołtarz ku czci Apisa. Mozart otrzymał od wielkiego masona wiedeńskiego zamówienie na operę „Ramzes, król Egiptu”. W operze paryskiej grano ją w 1801 roku pod tytułem „Misteria Izydy”.

Największym blaskiem legenda Egiptu zajaśniała w przededniu dostępu do tekstów autentycznych. Od czasu powrotu Napoleona spod piramid Paryż upodobnił się do jakiegoś legendarnego Memphis. Modni stolarze pokrywali boki mebli hieroglifami, obywatel Dupuis dopatrzył się cennych zodiaków egipskich w północnym portalu Notre-Dame, dzięki czemu katedra uniknęła rozbiórki; na ruinach Bastylli ustawiono fontannę Odrodzenia w postaci bogini egipskiej, która zniknęła wkrótce. Ocalał natomiast Egipcjanin w fontannie przy stacji metra Vaneau. Dekoratorom sekundowali uczeni i władze. Aleksander Lenoir, twórca Luwru, odnalazł egipski źródłosłów w nazwie Paryża: Baris — Paris; Court de Gebelin pośrednie dowody na to, że Cité założyli Egipcjanie. I jak przystało na stolicę egipską, miasto przyjęło wizerunek Izydy do herbu zatwierdzonego własnoręcznie przez Napoleona w 1804 roku. Przetrwał aż do upadku Cesarstwa.

Eleganckie panie abonowały się na uczone rozprawy egiptologiczne, jak dzisiaj na *Vogue*. W salonach rozmawiano o młodości Mojżesza i życiu codziennym za XVIII dynastii, a ignorancja w sprawach Górnego i Dolnego Państwa była towarzysko niewybaczalna.

O!, ileż by dały czytelniczki *Description d’Egypte* barona Denona, gdyby mogły przeniknąć sekrety przekazane Mojżeszowi przez kapłanów egipskich w trakcie wtajemniczenia, jak to zdawał się obiecywać *Rękopis znaleziony w Saragossie*.

Szczególną i nieco tajemniczą rolę pełnią w powieści Potockiego Cyganie. To właśnie w związku z nimi pisarz wymienia grę w taroka z nazwy. Jedyny raz w całej długiej powieści.

Cyganie, dzięki umiejętności wróżenia z kart, uchodzili za wtajemniczonych. Osiemnastowieczni etnolodzy zgodnie z tradycją uważali ich za lud pochodzenia egipskiego. Jeszcze Wiktor

Hugo opierając się na średniowiecznym Dzienniku Mieszczanina Paryskiego nazywa bohaterkę powieści „Dzwonnik z katedry Notre-Dame” na przemian Cyganką, to znów Egipcjanką, zaś naczelnika bandy Cyganów diukiem Egiptu. Również w języku angielskim do dziś na określenie obydwu narodowości, Cyganów i Egipcjan, zachowało się jedno słowo *gypsy* — relikw dawnych przekonań.

Zgodnie z egipskimi tradycjami rodu Gomelezów Alfons van Worden został wtajemniczony podług rytuału dwudziestu dwóch wielkich arkanów taroka. W terminologii wolnomularskiej wtajemniczenie nazywano podróżą. Za czasów Potockiego była to albo podróż dosłowna, błądzenie po jakichś podziemnych labiryntach — w Warszawie Cagliostro wtajemniczał kandydatów do swego rytu egipskiego w podziemnej grocie na Powiślu — albo symboliczny spacer po dywanie, na którym zaznaczano umownie kolejne etapy wędrówki. Alfons van Worden dostępuje wtajemniczenia podczas podróży przez góry Sierra Morena. Na końcu kolejnych etapów wędrówki widzi, że przybył do punktu wyjścia. Zatoczył koło.

Wszystko jak dotąd w zgodzie z interpretacją taroka jako księgi egipskiej. Podczas podróży Alfons van Worden poznaje wszystkie wielkie arkana taroka, wszystkie postaci z kart: promotora wtajemniczenia — Szejka, czyli Kuglarza, Pustelnika, Opętanego, Powieszzonego, Zakochanego, który podobnie jak van Worden w powieści przedstawiany jest w kartach jako młody człowiek w towarzystwie dwóch dziewczyn, Koło Fortuny, Diabła, Śmierć. Roger Caillois zwrócił uwagę na pewną osobliwość konstrukcyjną dzieła. Co parę stron powraca ta sama sytuacja. Podróżny poznawszy kolejną tajemnicę przeżywa pozorną śmierć i budzi się pod szubienicą. Podobną przygodę przeżywają i inni bohaterowie powieści. W symbolicznym języku misteriów śmierć oznacza kres życia nieświadomego i zmartwychwstanie do nowego życia po otrzymaniu wtajemniczenia. Kapłan Chermon w wykładzie dla Żyda Wiecznego Tułacza wskazuje na symbol śmierci i zmartwychwstania jako rys charakterystyczny, wspólny dla wszystkich misteriów. Pisarze Wieku Rozumu chętnie, jeżeli wręcz nie programowo posługiwali się opisem podróży jako schematem fabularnym. Przygody — *les aventures* — są najczęściej spotykanym tytułem tamtej epoki. Niewiele jednak można wymienić książek, w których przygody bohatera okazują się inscenizacją. Po przejściu prób i otrzymaniu pouczeń Alfons van Worden dowiaduje się celu inscenizacji. Oto potężny ród Gomelezów w braku męskiego potomka wybrał naszego bohatera — krewnego po kądzieli, aby mu powierzył zarząd rodzinnym majątkiem.

Figura taroka Kuglarz (*Le Bateleur*), nazywana kiedy indziej

PAGAD, oznacza wg *Le monde primitif* z egipskiego Pana Fortuny. Istotnie Szejek jest panem fortuny Gomelezów. Ale co przez nią należy rozumieć? Pieniądze czy też tajemnicę, o której na końcu powieści wspominają Emina i Zibelda, tak potężną „że kto ją posiada, z łatwością mógłby skłonić do posłuszeństwa całe narody i być może założyć nawet powszechną monarchię”?

Co Alfons van Worden ma na myśli, mówiąc po wyjściu z podziemi: „ujrzałem rzeczy, które z prawdziwą przyjemnością bym wam opowiedział, gdyby dane słowo honoru nie kładło temu nieprzychylną przeszkodę”?

Autor niezwyklej powieści respektuje zasadę wolnej woli i pozostawia czytelnikowi wybór interpretacji. Ja także znikam tymczasem jak przewodnicy Alfonsa van Worden spod gospody Venta Quemada, zabierając ze sobą mego konika.

Piotr WITT

Jan Czeczot

„Czas nie najlepiej obszedł się z dorobkiem pisarskim Jana Czeczota. Najserdeczniejszy druh Adama Mickiewicza jeszcze z ławy szkolnej i jeden z najczynniejszych filomatów, gorący patriota polski, ale i niestrudzony obrońca ludu białoruskiego (...) jest dzisiaj Czeczot pisarzem mało znanym a nawet wręcz zapomnianym”.

Słowa niniejsze to cytat ze słowa wstępnego do przeszło trzydziestorocznicy rewindykacji zasług twórcy i folklorysty romantycznego, jaką świeżo znalazła się na księgarskich półkach*. Autor jej, Stanisław Świrko, nawiązuje do niedawno minionej 140-tej rocznicy śmierci Jana Czeczota i stwierdza, że jego ambicją jest wypełnienie dotkliwej luki, jaką był brak poświęconego tej postaci monograficznego opracowania. Rzecz zaadresowana jest nie tylko do historyków literatury lub folkloru, ale i do szerokich rzesz czytelników polskich i także białoruskich i litewskich.

„Jest kwestią od dawna ustaloną — stwierdza Świrko — iż twórcą romantyzmu polskiego na gruncie wileńsko-kowieńskim był

* Świrko Stanisław, *Z Mickiewiczem pod rękę, czyli życie i twórczość Jana Czeczota*, Warszawa, 1989, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 325 stron, cena 1100 zł.

Mickiewicz, zapomina się jednak często, iż grunt ten, jego literackie podglebie, przygotowali filomaci, a wśród nich zwłaszcza Jan Czeczot. Nowatorstwo poczynąń Czeczota polegało na zwrocie ku ludowości, tak polskiej, jak i białoruskiej, i pierwszych próbach literackich nad typem ludowej ballady”.

Książkę zakroił autor na trzy części i wyposażył w bardzo cenny i z wielkim znanstwem dobrany materiał ilustracyjny. A także zaopatrzył w słowniczek wyrazów staropolskich i gwarowych. Na treść części pierwszej składa się obszerny *exposé* o życiu i zajęciach „piosenkarza” w okresie nauki szkolnej w Nowogródku i studiów na Wileńskiej Alma Mater. M.in. Czeczot witał przybyłego z Kowna Mickiewicza. A witał go wzorowanym na ludowej pieśni białoruskiej wierszem, w którym przedstawiał przyjaciela jako cudownego królewicza z baśni:

*Jedzieć, maleńki Adam,
Hładzicie, a oń, a oń;
Da jon charyszeńki sam,
Pad niom wareńki koń
Załatam pojaz ziaja,
Aż ad blesku sniń taja!
Chtoby dumal, szto jon pan!*

Bywało też, że w swoich białoruskojęzycznych popisach odwiedzał się Czeczot do obrazów rodzimych grzybów i lasów, jak na przykład w wierszu: „Lisiczka, żouty hrybok, Slimakou nie baicca (...)”. Albo cytował takie, w ustach ludu będące piosenki, jak piosenka o ciecierze: „*Da ciraz moj dvor leciela cieciera. Oj nie dau mnie Boh (...), kaho ja chciela*” (jak tego słusznie nie omieszkuję Świrko przypomnieć, na jej dźwięk reagował Mickiewicz całkiem szczególnie żywo, a to dlatego, że właśnie do niej skomponowała partie fortepianowe Maryla).

W ogóle okazuje się, że jako najbliższy przyjaciel Mickiewicza roztaczał Czeczot w okresie wileńskim nad nim i nad jego twórczością szczególną opiekę: gromadził autografy utworów, sporządzał staranne odpisy tekstów, dodawał Adamowi otuchy w chwilach zwątpienia i apatii, służył radą i pomocą.

Cezura oddzielająca część pierwszą monografii od części drugiej to proces filomatów w 1824 roku, w wyniku którego Czeczot skazany został na pół roku twierdzy i osiedlenie w guberniach wielkoruskich. Część ta nosi tytuł „Na zesłaniu”. Świrko drobiazgowo odtwarza koleje jego wygnańczego życia w Kizylu i Ufie i następnie — już po wyjęciu go spod bezpośredniego nadzoru policji — w Moskwie, Twerze, Torżku i Leplu. W roku 1841 przychodzi amnestia i powrót w strony rodzinne.

Następuje trzecia część książki, „Po powrocie do kraju”. Obejmuje okres od 1842 roku do zgonu Czeczota w 1847 roku i

pozostaje pod znakiem *magnum opus* Czeczota, jego „Piosenek wieśniaczych”. Kolejny, czwarty tomik tych piosenek wyszedł w 1844 roku w Wilnie w drukarni Józefa Zawadzkiego i ich pełny tytuł brzmiał: „Piosenki wieśniacze znad Niemna i Dźwiny” z dołączeniem „pierwotnych (*sic!*) w mowie słowiano-krewickiej”. Składające się na ten czwarty tomik ludowe pieśni, jak nas informuje Świrko, zebrał Czeczot przeważnie w Nowogródzczyźnie, szczególnie w Szczorsach, Prześlizce i kilka w Dołmatowszczyźnie. W sumie pieśni tych jest 46 i są podzielone na kilka grup tematycznych: 1. wielkanocne czyli wołoczonne; 2. bożonarodzeniowe czyli koladne; 3. świętojańskie czyli kupalne; 4. weselne; 5. rozmaite. Wszystkie teksty tym razem podane zostały nie tylko w parafrazie polskiej, lecz także w oryginalnym białoruskim czyli jak Czeczot to określił „pierwotnym” brzmieniu.

Po tomiku czwartym „Piosenek” wyszły tomiki piąty i szósty. Zapisy zawarte w nich odznaczają się większym niż uprzednio autentyzmem i publikację poprzedził Czeczot obszernym wstępem. Wystąpił w nim z charakterystyką języka białoruskiego, określanego mianem dialektu krewickiego, podnosząc przy tym podobieństwa i różnice zachodzące między nim a językiem polskim. Zaapelował także do językoznawców, by zajęli się badaniami „krewickiego dialektu” i opracowali jego gramatykę i słownik.

Summa summarum exposé o czeczotowych poczynaniach na niwie białoruskiej wypadło w książce Świrki bardzo ciekawie. Przyganiać można natomiast temu, że wyabstrahował on całkowicie „piosenkarza” z kontekstu rozwojowego literatury białoruskiej, z którą jest związany nie mniej niż z polską. Ani jednym słowem nie wspomniał autor o tym, że prawie jednocześnie z Czeczotem działał taki przedstawiciel polsko-białoruskiej szkoły jak Wincenty Dunin-Marcinkiewicz. I niczego się nie można dowiedzieć o tym, że swoimi piosenkami w „mowie słowiano-krewickiej” antycypował Czeczot białoruskie odrodzenie, które nastąpiło u schyłku XIX wieku i któremu dał nade wszystko wyraz twórca „Dudki bielarskiej” i „Symka bielarskoho”, Franciszek Bahuszewicz.

Cokolwiek powiedziałoby się o takich czy innych usterkach, walory poznawcze książki są w całym tego słowa znaczeniu imponujące. Badania Świrki potwierdzają, że w dotychczasowych badaniach historyczno-literackich przeceniano związki twórczości Mickiewicza z literaturą zachodnioeuropejską, a nie doceniano wpływów twórczości filomackiej, zwłaszcza zaś jego nurtu ludowego i folklorystycznego. Czołowym zaś przedstawicielem tego nurtu był Jan Czeczot.

Andrzej KEMPF

Ci, co odeszli

Andrzej

Sobota, 10 czerwca, południe. Bardzo ładny wiosenny dzień. Telefon. Dzwoniła pan Zofia Hertz. Wiadomość o śmierci Andrzeja Chileckiego. To stało się nocą.

I nagle ta aura słonecznego dnia, głosy ptaków, bujna zieleń, piękne niebo — wszystko to jak bolesny dysonans. Nieczuła, obojętna przyroda wobec śmierci człowieka. Człowieka bardzo mi bliskiego, choć rzadko używam słów wysokiego tonu, to jednak tym razem mogę powiedzieć, że był moim przyjacielem. Poznaliśmy się we wczesnych latach siedemdziesiątych i od razu zaistniała między nami silna więź. Może powód tkwił w tym, że byliśmy rówieśnikami, sięgaliśmy pamięcią do wojny, lata stalinizmu, październik 56 roku to były nasze doświadczenia. Również obaj mieliśmy dosyć burzliwą młodość, podobne uniesienia, przygody. Więc mówiąc o tamtych czasach mogliśmy się porozumiewać językiem skrótów tylko dla nas zrozumiałym. Andrzej opuścił Polskę w okresie popaździernikowego odrotu od nadziei, które ten przełom obiecywał. Od tego czasu Polska była dla niego już tylko ojczyzną pamięci, kontaktem na odległość, ale jakże żywym, ciągle obecnym. Nigdy nie zatrzymał się w przeszłości, był z nami zawsze na bieżąco. Doskonale znał tutejszą codzienność, wszystkie udręki i dążenia ludzi zamieszkujących PRL. Z napięciem śledził kolejne wstrząsy w naszym kraju. Jego stały niezmienny rytm — to wyprawy na dworzec do najlepiej zaopatrzonego kiosku z gazetami w Kolonii. Kupował tam całą możliwą do nabycia prasę z Polski i pytał każdego napotkanego rodaka. Interesował się wszystkim, poczynając od drobiazgów do spraw najwyższego rzędu. Ale nie był tylko biernym obserwatorem tego, co działo się w kraju, aktywnie uczestniczył w naszych zmaganiach. Ile przecież zawdzięczają mu twórcy niezależnego obiegu drukowanego słowa w Polsce. Choćby Mirek Chojecki, inni; służył radą, pomocą, wspólnie z nimi organizował

obszar druku bez cenzury w kraju. Przesyłki książek, zdobywanie urządzeń poligraficznych, zbiórki pieniędzy, to drobny udział Andrzeja w tych pionierskich latach wydawania ulotek, broszur, książek podziemnych. Był także niestrudzonym rzecznikiem upowszechniania kultury polskiej w Federalnej Republice Niemiec. W jego gościnnym domu wszyscy znajdowali przystań. Malarze, pisarze, muzycy. Ilu ludzi przewinęło się przez tę polską enklawę Andrzeja w Kolonii! Pomagał, radził, zabiegał. Był w swojej życzliwości niestrudzony. Ważna była w tym życiu pochłoniętym krajem tolerancja jego żony Eryki, która ze świętą cierpliwością gościła rodaków męża, rozprawiających godzinami w niezbyt zrozumiałym dla niej języku. Były to typowe nocne rodaków rozmowy, pełne wysokiej temperatury, optymizmu i pesymizmu zarazem. Wacek Kisielewski, też nieżyjący, zwykle z rozrzewnieniem wspominał po powrocie do Warszawy wizyty u Andrzeja.

— On wie wszystko — opowiadał. — Jaką gwarą mówią nasi cinciarze i jaką ostatnio sensacyjką żyje kawiarnia „Czytelnika”.

I tak było zawsze. Choć tyle lat na obczyźnie, mieszkał w szacownym, po mieszczańsku solidnym mieście nad Renem, w dzielnicy gdzie niegdyś hodował swoje ulubione róże późniejszy kanclerz Adenauer, to przede wszystkim uczestniczył z całym oddaniem w tym, co działo się w kraju. Jako człowiek nie zabiegał o fawory, rozgłos, pozbawiony próżności i pychy. A przecież był świetnym dziennikarzem; jego od lat prowadzone w paryskiej *Kulturze* kroniki niemieckie, złożone z gęstej faktury realiów, informacji, cytatów, spostrzeżeń, bywały częstokroć majstersztykiem syntetycznego obrazu złożonych stosunków między Republiką Federalną a NRD, wnikliwym rejestrem zmieniającego się nastawienia do Polski i Polaków, do Wschodu w ogóle. W tych jak kolaże komponowanych tekstach stałym motywem była sytuacja Polaków w Niemczech, analiza zawiąływanych losów ostatnich fal emigrantów politycznych i zarobkowych. W swojej publicystyce przeciwstawiał się wszelkim fobiom, uprzedzeniom i schematom. Wiele uczynił dla zbliżenia narodów żyjących tak blisko siebie. Za tę ceną i wnikliwą kronikę otrzymał zaszczytną Nagrodę Przyjaźni paryskiej *Kultury*. Także był niezastąpiony jako organizator stoiska wydawnictw Instytutu Literackiego podczas Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie nad Menem. Inne oficyny, Puls, Polonia Book i te krajowe niezależne, również wiele mają mu do zawdzięczenia. Zajmował się wszystkim, poczynając od reklamy i kończąc na dźwiganiu ciężkich pak z książkami. Czynił to z zapałem, w sposób skromny, często niezauważalny. Po prostu jest na miejscu i należy to robić. Tak uważał.

Widywaliśmy się rzadko. Nieczęsto mogłem być w Niemczech, te bariery, trudności, dostanę paszport czy nie — rzecz nigdy nie była łatwa. Ale ilekroć go odwiedzałem, zwykle po dłuższej przerwie, czułem się, jakbym widział go wczoraj, tyle mieliśmy sobie do powiedzenia. Czas, który nastał w Polsce wraz z wprowadzeniem stanu wojennego uczynił z nas swoistych współników. Po wydaniu „Raportu o stanie wojennym” i „Notatek z codzienności”

w Paryżu i w krajowym obiegu podziemnym zostałem aresztowany i oskarżony o sporządzanie fałszywych opracowań szkalujących Polskę Ludową, jej partię, policję, wojsko itp. Andrzej zaś w tym oskarżeniu występował jako mój współnik właśnie, tam w zachodnim świecie, przedstawiciel wrogich ośrodków czyhających na imperialistyczną aneksję Polski. Pocztwówki przesyłane przez niego z Kolonii, informujące mnie o zagranicznych przekładach „Raportu” były jednym z koronnych dowodów naszej przestępczej działalności. To absurdałne oskarżenie scementowało naszą przyjaźń jeszcze bardziej. Pamiętam z tamtych lat pacuszki z mocnym czarnym tytoniem, przychodziły regularnie i były wzruszającym dowodem pamięci. I te grube, ciepłe skarpety, była zima, siedziałem wtedy w więzieniu.

Tego roku widzieliśmy się ostatni raz. Było to tak niedawno, przełom kwietnia i maja, po tylu latach, dziewięciu bez mała, odwiedziłem go znów w Kolonii. Słoneczna wiosna, nasze spacerowanie nad Renem, obiady w jego domu, mecze w ping-ponga z jego synem Stefanem, wizyta w polskiej księgarni „Wawel”. I tyle rozmów, wspominaliśmy tamten czas stanu wojennego, mówiliśmy o nowej sytuacji w Polsce, okrągły stół, opozycja i władze zawierają *pacta conventa*, otwierają się szanse, nadzieje. Andrzej bardzo był tym ożywiony.

— Po tylu latach — powiedział — Może nareszcie... — zaśmiał się — może i ja będę mógł przyjechać do kraju.

Miał tu przecież ojca, matkę, siostrę, rodzinę.

Moment naszego pożegnania. Dworzec, peron, odchodzi mój pociąg. Macham mu ręką z okna, on też.

Wołamy równocześnie — Do szybkiego zobaczenia!

Nie ma już Andrzeja. Brak kogoś bardzo bliskiego. Świadomość jego obecności tam w Kolonii wiele dla mnie znaczyła. Jeszcze jedno puste miejsce. Została tylko pamięć. Cześć Andrzej!

Od dnia śmierci Andrzeja do wydrukowania tego wspomnienia upłynęło już kilka miesięcy, w których nastąpiło wiele nowych wydarzeń. Teraz więc kiedy w kraju dokonuje się tak istotny przełom, należy w imię pamięci dokonać pełnej Jego rehabilitacji. Został wszakże niegdyś skazany na wieloletnie więzienie w klasycznym procesie walki z urojonym wrogiem. Będzie to swoista kontynuacja Jego wiary i nadziei, że zniewolona Polska stanie się wreszcie prawdziwą Polską. Toteż myślę, że w niedawno wybranych organach przedstawicielskich znajdują się ludzie, którzy w poczuciu symbolicznej wagi tego, co nie mogło się dokonać za Jego życia, zajmą się pełną rehabilitacją swego przyjaciela Andrzeja Chileckiego.

Marek NOWAKOWSKI

Roman Palester

Kiedy umiera wybitny twórca, we wspomnieniach o nim cytuje się jak najczęściej tytułów jego dzieł, opatrując niektóre przymiotnikami: odkrywcze, na wskroś oryginalne, niezwykle, wspaniałe, imponujące — a w życiorys wplata się określenia w rodzaju: nieprzeciętny, wielki, człowiek o rzadkich zaletach umysłu i serca...

Roman Palester jest jednym z największych polskich kompozytorów dwudziestego stulecia. Jest, nie „był”. Pozostał też w pewnym sensie twórcą tragicznym. Jednak na niepowodzenia i przeszkody odpowiadał wzmogoną pracą, najdotkliwsze nawet ciosy parując pogodą ducha i pewną ironią. Nie znosił też banałów i stereotypów. Nasza trzydziestosiedmioletnia znajomość rychło przemieniła się w przyjaźń, a z tego dwadzieścia kilka lat pracowaliśmy pod jednym dachem, bardzo często w tym samym studio radiowym. Toteż dzisiejsze pożegnanie nie przychodzi mi łatwo...

Oceną, analizą i klasyfikacją dorobku kompozytorskiego Romana Palestra niechaj zajmą się fachowcy. Nie będzie to proste zadanie i należy oczekiwać (a także mieć nadzieję), że dyskusje na ten temat potrwać długo. Nie tylko dlatego, że Palester-kompozytor, to osobowość niezwykle złożona. Już od początku nie było na przykład zgody co do tego, który z jego przedwojennych utworów należy uważać za najbardziej udany: czy wykonywany na zagranicznych festiwalach *Taniec z Osmołody*, *Suitę dziecięcą*, balet *Pieśń o ziemi* (złoty medal na Światowej Wystawie w Paryżu 1937), czy też bardzo ceniony przez krytyków *Drugi Kwartet smyczkowy*; a może najczęściej graną *Małą uwerturę*? Sam kompozytor uważał, że najlepszym jego przedwojennym utworem jest *Suita symfoniczna*.

Jak ocenić partytury, które spłonęły w Warszawie w czasie Powstania? Były to: *Sonatina na skrzypce i wiolonczelę*, *Pięć pieśni do słów Kazimierza Iłłakowiczówny* (na sopran i pięć instrumentów), *Piąty psalm*, *Sonatina na trzy klarnety*, *Divertimento na sześć instrumentów* i *Pierwszy Kwartet smyczkowy*.

Czy można porównywać pięć *Symfonii* Palestra? Każda jest inna w stylu i w doborze środków wyrazu. A niedokończoną jeszcze operę *Żywe kamienie* według Berenta z lat wojennych z powstała na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych „akcją muzyczną w jednym akcie” (choć to też opera) *Śmierć Don Juana*, do tekstu misterium dramatycznego Oskara Miłosza? Jak zakwalifikować utwory pisane w latach wojny, okupacji i konspiracji? *Sonata na dwoje skrzypiec i fortepian*, *Druga Symfonia*, *Trzeci Kwartet smyczkowy*, *Requiem* i *Kantata Wiśła* do tekstu Żeromskiego — to pogłębiona emocjonalność, większa indywidualność

rozwiązań, rozbudowa koncepcji — ale też okres przejściowy w twórczym życiu artysty.

W jakiś czas po wojnie Palester przeszedł z poetyki neoklasyycznej do muzyki dodekafonicznej, później również do aleatorycznej i do form otwartych. Bardzo ceniona *Passacaglia* na orkiestrę, *Missa brevis*, *Czwarta symfonia*, *Koncert na altówkę*, *Metamorfozy* na orkiestrę, *Treny Kochanowskiego* i może kilka innych pozycji z tego okresu doczekało się wydania i wykonania. Jednak większość ostatniego, ponad trzydziestoletniego dorobku — chyba najciekawszego w życiu twórczym Palestra — pozostała w rękopisie. Tylko nieliczne z następujących kilkunastu tytułów zostały wydane: *Symfonia* na dwie orkiestry smyczkowe, *Czwarta symfonia*, *Wariacje* na orkiestrę, *Study 58* na małą orkiestrę, *Muzyka* na dwa fortepiany i orkiestrę, *Piąta symfonia*, *Trzy sonety do Orfeusza*, *Trzy wiersze Czesława Miłosza* na głos i zespół instrumentalny, *Monogramy* czyli koncert na głos i fortepian, do słów Kazimierza Sowińskiego, *Varianti* na dwa fortepiany, *Dwie sonaty*, *Wariacje*, cykl *Espressioni*, *Passacaglia* na fortepian, *Suita* we czwórkę na obój, skrzypce, altówkę i wiolonczelę, *Trio* na flet, altówkę i harfę, *Trio stroikowe* na obój, klarnet i fagort — i, nade wszystko, *Hymnus Pro Gratiarum Actione* (ten tytuł oznacza *Te Deum* Palestra) na chór dziecięcy, dwa chóry mieszane i zespół instrumentalny — dzieło dedykowane i wręczone przez kompozytora papieżowi Janowi Pawłowi Drugiemu.

Ostatnią ukończoną, ale nawet jeszcze nie sfotografowaną kompozycją są *Listy do matki*, kantata na baryton i małą orkiestrę do słów Juliusza Słowackiego.

Palester był polskim patriotą w najgłębszym tego słowa znaczeniu i nie-konformistą w najszerszym pojęciu: rozsądzał ramy każdej, pozornie przez siebie przyjętej, konwencji muzycznej, narzucając każdej własny styl i osobowość. Nic dziwnego, że pod koniec lat czterdziestych protestował otwarcie przeciwko reglamentacji kultury polskiej i przymusowemu włączaniu jej w jarzmo socrealizmu — i wkrótce, wobec bezowocności tych zabiegów, pozostał na stałe za granicą, gdzie nadal prowadził czynną walkę o wolność sztuki i o integralność polskiej kultury. Logiczną tego konsekwencją było związanie się Palestra z właśnie z powstającą polską rozgłośnią *Radia Wolna Europa* i znamienne tytuły jego pierwszych cyklów radiowych: „*Muzyka obala granice*” i „*Okno na Zachód*”. Został redaktorem programów kulturalnych, ale niezależnie od tego z miejsca podjął z żoną Barbarą olbrzymi trud sprowadzenia ze wszystkich możliwych źródeł materiału nutowego i następnie nagrywania polskich pieśni klasycznych, ludowych, tradycyjnych, żołnierskich, patriotycznych (od najstarszych po najnowsze), a także religijnych, kolęd, pastorałek — rzeczy, które nie tylko za granicą były nieosiągalne, ale również w Polsce wówczas praktycznie nie istniały. W krótkim czasie powstała dzięki temu bogata i jedyna za granicą polska narodowa taśmoteca muzyczna.

Jako kierownik polskiego działu kulturalnego RWE okazał się Palester najwłaściwszym człowiekiem na właściwym miejscu: znał wyborne języki (francuski, niemiecki, angielski i włoski), literaturę polską, światową i staroklasyczną, a o sztuce plastycznej, teatrze i filmie mówił w swoich pogadankach z równym znanstwem, co o muzyce. Właśnie: mówił do radia, nie odczytywał swoich tekstów. O sprawach trudnych i zawiłych umiał mówić zrozumiale i sugestywnie. Toteż jego pogadanki, a także dyskusje przy mikrofonie, które organizował, nie były audycjami elitarnymi. Przeciwnie: „brały” słuchaczy. Pamiętam, że był w radio koleżeński, dżentelmeński, życzliwy — słowem przyjemny we współpracy. I żartobliwy. Nieraz, gdy przychodził do studia, prosił technika o takie ustawienie mikrofonu, żeby jego głos brzmiał „dźwięcznie i młodzieńczo”. Miał taki głos i chyba o tym wiedział.

Za swój patriotyzm i bezkompromisowość zapłacił Palester cenę bardzo wysoką. W kraju skazano go na z górą trzydziestoletni niebyt, m.in. usuwając ze Związku Kompozytorów Polskich oraz wprowadzając na indeks jego nazwisko i wszystkie kompozycje. Natomiast na Zachodzie praca w RWE niezmiernie utrudniała mu dostęp do estrad koncertowych, radiofonii i wydawców — bo wpływowe koła muzyczne, podobnie jak wielu intelektualistów, bojkotowały Wolną Europę. Przy tym, do końca życia Roman Palester pozostał uchodzącą politycznym — nie tylko *de facto*: *de jure* też.

Około dziesięciu lat temu, kiedy już dość długo wiódł pracowity żywot emeryta, zaczęto w Polsce przypominać sobie, raczej nieśmiało, Rómę Palestrę i interesować się jego twórczością. *Sui generis* „rehabilitacja” i ponowne przyjęcie do Związku Kompozytorów (ściślej: anulowanie decyzji sprzed trzydziestu lat o usunięciu go, jako nieprawnej i niezgodnej ze statutem) nastąpiły dwa lata później.

W tym mniej więcej okresie, gdy byliśmy z żoną jeszcze w Monachium, Palester napisał do nas list bardziej niż zwykle pogodny i podpisał go „wasz Romós”. I takim już dla nas pozostał na zawsze: naszym Romósiem przez o z kreską...

Dopiero przed dwoma mniej więcej laty zaczęto coś mówić o „renesansie” Palestry. Postanowiono również jego dzieła kolejno w kraju wydawać, zaczynając od najbardziej reprezentatywnych dla poszczególnych okresów twórczości — i następnie wprowadzać je na estrady koncertowe, do radia, do telewizji, do nagrań płytowych. Obok tego zaliczono go, trochę arbitralnie, w poczet tzw. „źle obecnych” (eufemizm zgrabny i w niektórych przypadkach trafny, lecz przyklepany nie zawsze logicznie i konsekwentnie; Palester mocno na to się zżywał). Niewątpliwie jest to proces pracy i czasochłonny, ale miejmy nadzieję, że śmierć kompozytora zbytnio nie opóźni klasyfikacji i publikacji jego utworów, zaś przez Polskę chyba trafią za granicę, gdzie zajmą należne miejsce w światowej literaturze muzycznej.

Romós przychodził do nas często, gdy tylko przyjeżdżaliśmy z

Hiszpanii do Paryża. Śmierć żony przeżył boleśnie, ale z biegiem lat, dzięki intensywnej pracy i jaśniejszym widokom na przyszłość, wróciła mu dawna pogoda ducha i humor — zawsze nieco sarkastyczny. Opowiadał wiele o sobie (i innych) w teatrze, w filmie, w radio, gdzie komponował i dyrygował, o swych perypetiach wojennych i powojennych, ale nawet z najcięższych przeżyć (jak pobyt na Pawiaku) i najtrudniejszych momentów wydobywał elementy tragiczności, paradoksu, humoru. Charakterystyczne, że będąc dyrygentem, nie chciał publicznie brać batuty do ręki, zwłaszcza gdy chodziło o wykonanie jego własnych kompozycji — tylko, że z dyrygentury innych rzadko był zadowolony, znajdując tu i ówdzie niedociągnięcia, a nawet niepełne zrozumienie treści utworu.

Przed rokiem zaczął coś przebąkiwać o śmierci. Może przeczuwał zbliżającą się chorobę, może już odczuwał ją w sobie. Ale mówił o tym tak niefrasobliwie, że kładliśmy to raczej na karb właściwej mu przekory. Tak, przekora była jedną z dominujących cech jego charakteru. Podejrzewam, że nawet solenne zerwanie z muzyką programową i sporadyczne do niej powroty — to też była głównie przekora.

Raz powiedział: „Wiecie, umieranie będę musiał odłożyć na później. Po prostu nie mam na to teraz czasu, bo do zrobienia jest bardzo wiele”. Niestety, umieranie udało mu się odłożyć tylko o kilka miesięcy. Z „wielu rzeczy do zrobienia” znaczna część pozostała nietknięta.

Jacek K. MACHNIEWICZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Książki

O Leopoldzie Buczkowskim — zamiast nekrologu

Młodsze pokolenia Polaków mogą podróżować po Galicji Wschodniej wzdłuż palcem po mapie i niejasno wyobrażać sobie te ziemie na podstawie lektur. Krótka lekcja topografii w literaturze: Krzemieniec — miasto rodzinne Słowackiego, Drohobycz — Brunona Schulza, Czerniowce — Paula Celana. W powiecie czortkowskim urodził się Zygmunt Haupt, a Julian Strykowski — w Stryju. Andrzej Kuśniewicz przyszedł na świat pod Samborem. A Brody, „te słynne Brody”, jak je wspomina Leopold Buczkowski, nie dodając jednakże, czym były słynne, wykształciły w gimnazjum niemieckim Josepha Rotha i w gimnazjum polskim — Józefa Wittlina, dwu późniejszych przyjaciół i żołnierzy pierwszej wojny. W „Doryckim krążanku” Buczkowskiego Brody są epicentrum minionego świata, któremu autor napisał podzwonne. Jego „Pierwszą świetność” można streścić w największym skrócie jako opowieść o zagładzie Bełzca. „Od pierwszych już stron zwraca uwagę osobliwy język Buczkowskiego, rozumiwały bez reszty tylko w Brodach i w Radziwiłowie. Językiem tym autor posługuje się po mistrzowsku — pisze Jerzy Stempowski, urodzony w Szebutyńcach na Ukrainie. — Wystarczy mu włożyć w usta swej postaci kilka słów, aby scharakteryzować ją nieomylnie, pokazać jak żywą. (...) Mimo swej pozornej nowości w literaturze jest to właściwie stary język jagielloński. Tak mniej więcej mówiła połowa dawnej Rzplitej i jakaś czwarta część Polaków niedawnego dwudziestolecia. Dawna

Rzplita, gdzie mieszały się ze sobą języki i narzecza kilku ludów, była republiką wiejską”¹.

Te słynne Brody. W latach międzywojennych powstał w Ameryce klub milionerów wywodzących się z Brodów. Jeśli pieniądze rodzi pieniądze, to i słowo rodzi słowo. Obszar wielu kultur — polskiej, żydowskiej, ukraińskiej, ruskiej, austriackiej — okazał się też żyznym podglebiem literackim. Leopold Buczkowski w rozmowie z krytykiem literackim Zbigniewem Taranienko² przyznaje, że z kresowej gawędy i z ukraińskiego skazu „wywodzi się jak roślina”. Swoją babkę, z pochodzenia Ormiankę, wspomina z podziwem jako niepospolitą narratorkę. W dzieciństwie słuchał opowiadanych przez nią baśni i historii z powstania styczniowego. W drodze do szkoły spotykał wędrownych Rusinów: pieśniarzy, dziadów proszalnych, pastuchów, umiających wspaniale opowiadać. Będąc młodym człowiekiem często jeździł nocą do młyna, by przysłuchiwać się, jak miejscowi chłopcy opowiadają tam sobie niestworzone historie o bitwach, rzeziach, czarownicach i diabłach. Wiele tych opowieści spisał, ale notatki zaginęły w czasie wojny. Musiał jednak je zapamiętać, bo stanowią tworzywo literackie wielu jego książek.

Zatem tak można sobie wyobrazić adepta sztuki literackiej na Podolu: w gimnazjum klasycznym ćwiczy się w retoryce i uczy na pamięć żywotów sławnych Rzymian. Czyta modernistów i rozmyśla nad Absolutem. Zastanawia się, czym jest historia i czy można z niej zrobić prawdziwą naukę, jak fizjologię. Upaja się scjentyzmem, czytuje Bergsona. Po lekcjach pograża się w chaosie różnojęzycznej mowy, bujnej i nieuporządkowanej jak natura. Kręte linie barokowych budowli wyciskają piętno na stylu jego wypowiedzi. Wydaje mu się, że jest naturalistą, aż tu zamyśla się nad mitem eschatologicznym.

Związek z tą ziemią, którą Buczkowski nazywa „moją Rusią”, jest silny do dziś u sędziwego pokolenia pisarzy podolskich i ich nielicznych następców. Jest to jednakże związek odległy od idyllicznego wspomnienia o kraju lat dziecińczych. Ich świadectwo jest raczej rezultatem, jak powiedział Buczkowski w rozmowie z Taranienką, „zanurzenia się od dziesiątego roku życia po dzień dzisiejszy w wojny, potyczki, napady, rabunki, palenia, pożogi, zniszczenia, śmierci”. Oto i pierwszy z wielu paradoksów w twórczości autora „Czarnego potoku”: pamiętanie, utrwalanie w piśmie przeszłości jest rytuałem obronionym przeciwko śmierci. Utrwalanie bez hierarchii, jakby na oślep.

1. Jerzy Stempowski, „Klimat życia i klimat literatury”, Czytelnik, Warszawa 1988.

2. Zbigniew Taranienko, „Rozmowy z pisarzami”, Wiedza Powszechna, Warszawa, 1986.

Może dlatego, że jak czytamy w „Kamieniu w pieluszkach” — „Nie ma hierarchii bytów. Każda istota jest tak samo ważna, równa w swoich prawach”. Ale przeszłość u Buczkowskiego jest najczęściej rodzajem monstrualnego szlachtuza, skąd dobiegają krzyki zabijanych. Z takiego doświadczenia nie sposób sporządzić potocznej gawędy szlacheckiej. Strzaskany świat domaga się innego wyrazu w literaturze. Głosy dochodzące z otchłani nie mogą śpiewać unisono, zgodnie z zasadami klasycznej harmonii. Z przeszłości, jeśli się w nią wsłuchać, dobywa się zgiełk i lament. Mówi Buczkowski w autokomentarzu do swej twórczości: „Weseli i smutni spotykają się na tym świecie, ten w pierzynie, ten w słomianym barłogu, ów szepce, że konie czekają, tamta, nadzieją przejęta, wymyka się do męża, żeby z nim uciec za granicę, tamtych sześciu wieszają. Wszystko to cisnie się razem wokół nas, w hełmach, kapeluszach, szlafmycach, furażerkach, pikielhaubach, czapkach, kaszkietach — każdy pragnie podnieść głowę ponad innych kwiląc, śpiewając, jęcząc, prozelitując”.

Leopold Buczkowski (1905-1989) urodził się w Nakwaszy, majątku Konięcpolskich, gdzie jego ojciec, z zawodu snycerz, był także kustoszem miejscowego pałacu. W 1914 roku rodzina wraz z siedmiorgiem dzieci przeniosła się do podolskiego Podkamienia. Przyszły pisarz, obdarzony również talentem plastycznym, zdał maturę jako ekstern i kilkakrotnie podejmował studia polonistyczne we Lwowie, Krakowie i Warszawie. Nie ukończył ich jednak z powodu ciężkiej sytuacji materialnej, a może znudziła go po prostu wiedza filologiczna. Albo nie mógł zdecydować: słowo czy linia. Bo studiował też na akademii sztuk pięknych, a jego profesorami byli Fałat i Wyczółkowski. Po latach życzliwie wspomni Leona Chwistka, którego teorie nie pozostały bez wpływu na kształt jego późniejszych wypowiedzi literackich, i Stanisława Noakowskiego. Debiutował na przełomie lat dwudziestych, niemal jednocześnie jako poeta i litograf. Te dwie umiejętności, literacką i plastyczną, wykorzysta później między innymi w zbiorze opowiadań „Młody poeta w zamku”, gdzie rysunki piórkiem stanowią nie tyle ilustracje, co część składową narracji. Zachęcony przez Bolesława Leśmiana, rozpoczął pisanie pierwszej swojej powieści, „Wertepy”, wstrzymanej tuż przed edycją w 1939 roku nakazem policyjnym, ze względu na drapieżny obraz wsi wołyńskiej. Książka ukazała się dopiero w 1947 roku.

Pisarz, którego wojna zastała na Podolu, brał udział w kampanii wrześniowej i, wzięty do niewoli, zbiegł. Wrócił do Podkamienia, utrzymywał się ze snycerki i innych zajęć gospodarsko-rzemieślniczych, działając zarazem w podziemiu. W 1944 roku, gdy los Podola był już przesądzony, zbiegł znowu. Dotarł

do Warszawy, walczył w szeregach AK w powstaniu, i znowu ratował się ucieczką — tym razem z obozu przejściowego w Pruszkowie. Krytycy zauważają potem, że temat dezertera będzie obsesyjnie wracał w jego twórczości. W 1946 roku, w trakcie kuracji przeciwgruźliczej w Zakopanem, napisał — jak mówi — na leżaku, lecząc kawernę, „Czarny potok”, powieść uważaną za najwybitniejszy utwór w jego dorobku. Jest ona rodzajem pozornie niezbornej, gorączkowej relacji ocalańca z rzezi, Heindla, który przystępuje do leśnego oddziału. Akcja powieści rozgrywa się w miasteczkach i wioskach nad Seretem, Ikwą, Horyniem, gdzie trwa bezlitosna hekatomba. Wszyscy, jakby zarażeni powszechną śmiercią, walczą ze wszystkimi: Polacy, Niemcy, Ukraińcy, Żydzi. „Późną jesienią wymarły cmentarze żydowskie. Zielone, mszyste macejły zaścieliły szosy. Na alej bajsach zgrzytały czołgi. Ludzie z hilfspolicji przetrząsali sklepy, szli za dziecięcymi skomleniami do kryjówek i rzucali granaty w krzyk”. Prerażający pejzaż wojenny opisany sucho, stylem beznamiętnym. Rządzi tu gwałt, zdrada, okrucieństwo. Wzjęte trupy, zwłoki kobiet z odrąbanymi dłońmi, zmasakrowane dzieci. Przeciw tej bezsensownej przemocy — garstka ludzi, gotowa iść na ratunek innym za cenę własnego życia. „Czarny potok”, nie ustępujący siłą wyrazu prozie Borowskiego, był pierwszą częścią tryptyku wojennego, na który złożyły się „Dorycki krążganek” i „Pierwsza świetność”. „Krużganek”, którego tematem jest zagłada Brodów, zadedykował autor „Moim poległym braciom.” W tym tryptyku wykorzystał częściowo doświadczenia własne, częściowo losy krewnych i przyjaciół. Chaim z „Czarnego potoku” jest wzorowany na rzeczywistej postaci — lekarzu domowym babki autora. Młody Buczkowski wędrował z nim po nocach, niosąc torbę chirurga. „Ta wędrowka po czarnych nocach charakteryzuje książkę” — mówi w rozmowie z Taranienką.

W 1949 roku Buczkowski zamieszkał na stałe w Konstancinie pod Warszawą. Przez wiele lat zarabkował jako ilustrator książek, kontynuując twórczość literacką. Zajął się również rzeźbą w drzewie, uprawiał amatorsko muzykę. Przymuszczenie nie liczył na dochody z literatury. „Wertepy” i „Czarny potok” ukazały się z ośmioletnim opóźnieniem w formie książkowej. Następne książki — w tym „Oficer na nieszporach”, „Kamień w pieluszkach”, „Kąpiele w Lucca”, „Uroda na czasie” — wydawano już z większą regularnością, ale w niskich nakładach i w różnych wydawnictwach. „Niezależne od literackiej mody pisarstwo Buczkowskiego, trudne w odbiorze, często zbijające z tropu nawet wytrawnych krytyków, niełatwo torowało sobie drogę do czytelnika” — pisze Hanna Kirchner w przewodniku encyklopedycznym „Literatura polska”. Dopiero krakowskie

Wydawnictwo Literackie zajęło się bardziej systematycznie jego dorobkiem, ogłaszając nowe i wznawiając dawniejsze utwory. Jednakże Buczkowski pozostał pisarzem elitarnym. Badacz jego twórczości, Zygmunt Trziszka, w nekrologu po zgonie pisarza wypomina czynnikiem oficjalnym i środkiem przekazu, że praktycznie zapomniał o sędziwym artyście, który długo umierał w szpitalu. Pominięto go nawet przy rozdaniu nagród dla pisarzy starej generacji. Krytyk uważa Buczkowskiego za współczesnego Sokratesa, nie pogodzonego ze światem i przekonanego, że ludzkość obrała mylną drogę. Był błędnym rycerzem literatury, szyderstwem reagującym na ból istnienia.

Do końca życia szukał nowego wyrazu wypowiedzi literackiej. Niektóre swoje utwory — jak „Kamień w pieluszkach”, opowieść wpisana w kampanię wrześniową — nazywał nie powieściami, lecz traktatami, „Kąpiele w Lucca” są pastiszem rozprawy z dziedziny retoryki, „Uroda na czasie” — pastiszem rozmówek obcojęzycznych. Dwie ostatnie jego książki — „Dialogi żywe” i „Proza żywa” — są luźnymi zapisami wielojęzycznej mowy z jego stron rodzinnych. Zdaniem autora są zbliżone do prób podejmowanych przez Becketta w jego późnych utworach. Za swych mistrzów uważa jednak Buczkowski Pilińskiego i Céline'a. Nie lubił określenia „powieść” w stosunku do swoich tekstów. Nazywał je po prostu dokumentami. Był wrogi „prozie mieszczańskiej”, jak ją określił, przepowiadając jej rychły koniec. Wedle Andrzeja Falkiewicza Leopold Buczkowski był „jednym z największych artystów słowa w języku polskim, człowiekiem posiadającym słuch absolutny słowa, umiejącym napisać wszystko”, ale zarazem — ciągnie krytyk — miał on impuls porzucania „każdego ze sposobów komunikowania i umykania każdej z możliwych interpretacji swego utworu”³. Na tym, zdaniem krytyka, polega zasadnicza dezercja literacka Buczkowskiego, który, trzeba dodać, wprowadza często w swoich książkach postacie dezercerów, a akt dezercji jest w jego twórczości jednym z powracających tematów. Falkiewicz w tym dostrzega podobieństwo prozy Buczkowskiego do prozy Joyce'a i Faulknera, że i jego utwory są przede wszystkim narracją o narracji. Cała przeszłość zostaje sprowadzona do wielkiego „teraz”. „Mówi się, że Buczkowski jest piewą wojny, że jego powieści można usytuować w określonej przestrzeni geograficznej (Kresy Wschodnie) i w określonym czasie (II wojna światowa). Otóż nie, moim zdaniem Buczkowski w swoich utworach przedstawia nie wojnę, lecz przypominanie wojny”. Proces przypominania nie jest jednak przypisany jednej osobie. Autor ciągle

3. Andrzej Falkiewicz, „Dezercja Leopolda Buczkowskiego”, *Twórczość* 1977 nr 1.

powołuje nowych narratorów, często chwilowych i anonimowych. Rezultatem jest niezmiernie zawikłana konstrukcja, jakby rząd luster: „Tłum narratorów — którzy emanują z siebie narratorów — którzy emanują nowych narratorów”.

Za intelektualną wyniosłość, encyklopedyczną wiedzę i niechęć do „mieszczańskiej prozy” płaci się cenę. Buczkowski, prócz fantastycznego zasobu słownictwa, miał też dar do skrajnego zawężania narracji. Można było sądzić, że chce przeegzaminować czytelników z umiejętności kojarzenia i składania w jako tako spójną całość rozbitych części informacji. Może tym sposobem chciał przedstawić chaos świata i wspomnianą już niepowtarzalność każdego istnienia. Oddając głos wielu „ja” odrzucał zarazem fabułę i łańcuch przyczynowo-skutkowy. Ten zamysł kontynuował w kolejnych utworach, aż dotarł niemal do granicy: gdy czytelna jest nie całość, lecz tylko osobne zdania, niekiedy dużej piękności. Można by przypuszczać, że Leopold Buczkowski pisał nie dla zwykłych czytelników, lecz literaturoznawców, każąc im zagłębiać się w niekończące się interpretacje. Podjął się tego między innymi Ryszard Nycz w kilku przenikliwych szkicach pod koniec lat siedemdziesiątych⁴. Spośród licznych narratorów u Buczkowskiego krytyk wyróżnił trzy zasadnicze wcielenia: Historyka, Artysty i Filozofa. Jednakże każdy w nich rozczłonkuje się na szereg innych. Historyk pokazuje się w masce średniowiecznego kronikarza, ale równie często gra rolę powiatowego archiwisty, maniakalnego zbieracza militariów, bibliotekarza grzebiącego w prowincjonalnych szpargałach. Filozof zaczytany w rzymskich klasykach bywa ciemny jak Heraklit lub dygresyjny jak Montaigne. Artysta mieni się uczniem Owidiusza, jest malarzem i poetą jednocześnie, ale ma też skłonność do surrealizmu. Poszczególne frazy u Buczkowskiego funkcjonują jakby samoistnie i być może należy je po prostu traktować autonomicznie. Oto i następny paradoks: pisarz, który w młodości podziwiał naturalną sztukę narracji w swoich stronach rodzinnych, jakby celowo odrzuca tę umiejętność w swojej twórczości, tłumi ją, stale przerywa tok wypowiedzi. Już w 1956 roku Jan Błoński zauważył: „Buczkowski nie chce czytelnikowi niczego powiedzieć, chce, aby to ów czytelnik współprzeżył. Stąd oryginalność konstrukcji, a także niezwykła trudność 'Czarnego potoku'”.

„Czarny potok”, czytany ponownie po wielu latach, nie nastęrcza już takich trudności. W moim mniemaniu istnieje jeden praktyczny sprawdzian pisarstwa określanego mianem awangardowego; jeśli jest ono rzeczywiście wynikiem twórczych

4. Ryszard Nycz, „Oko i dłoń pisarza”, *Teksty* 1977, nr 3; „Teufelsdröck redivivus albo o pewnym dialogu tekstowym”, *Teksty* 1978, nr 1.

poszukiwań, a nie naśladownictwem modnych nowinek literackich, zawiera samowyjaśniające się właściwości. Czas działa na jego korzyść. Taki utwór w miarę upływu lat staje się bardziej przejrzysty w odbiorze. Toteż nie określe, choćby z ostrożności, późniejszych utworów Buczkowskiego mianem hermetycznych i niezrozumiałych. Niech przejdą próbę czasu. Są niezrozumiałe wtedy, gdy nie przyjmie się warunków postawionych przez autora, a są to warunki drakońskie: nadzwyczajna cierpliwość w rozsypywaniu splątanych nitek i ciągła uwaga.

Nowatorem jest ten, kto już dziś trafnie odgaduje wyraz przyszłej epoki. I, jeśli niemal od samego początku określano książki Buczkowskiego mianem kolaży literackich (Wyka w „Pograniczu powieści” zwrócił uwagę na mozaikową konstrukcję „Wertepów”), to na potwierdzenie słuszności obranej przezeń drogi mogę przytoczyć opinię amerykańskiego pisarza, Donalda Barthelemy: powieść XX wieku przybrała kształt kolażu. Kolaż, czyli tekst montowany, posługuje się jako głównym tworzywem cytatami i przytoczeniami pochodzącymi z wszelkich zapisów mowy, z dowolnej dziedziny piśmiennictwa, z języka potocznego, reklam, z przejawów kultury masowej. Prócz cytatów autentycznych twórca kolaży posługuje się cytatami rzekomymi, to jest pastiszami, stylizacją, parodią różnych typów wypowiedzi. Używając takiego materiału, pisarz staje się rzemieślnikiem korzystającym z gigantycznej masy odpadków użytkowych, majstrem w składnicy surowców wtórnych. Niczego lub prawie niczego nie wytwarza od początku, lecz składa z istniejących rzeczy lub ich resztek. W konsekwencji zrywa mniej czy bardziej radykalnie z zasadą spójności tekstu, dążąc wskutek zderzenia pozornie nie przylegających do siebie rzeczy do wykrycia nowych sensów. Stwarza formę otwartą, rozchwianą i wieloznaczną.

Pozostaje jednak pytaniem, dlaczego tekst montowany, literacki *bricolage*, stał się najbardziej reprezentacyjnym wyrazem sztuki XX wieku. Czy dlatego, że nie można już niczego nowego wymyślić i wobec tego należy grzebać w śmietniku cywilizacji? Czy stoi za tym coraz powszechniejszy eklektyzm, charakteryzujący okres schyłkowy? I tu napotykamy na kolejny, bynajmniej nie ostatni paradoks w twórczości Buczkowskiego, który upominając się o „sztukę dla postępu”, będąc autorem nowatorskich powieści, zapatrzony jest zarazem w przeszłość, z upodobaniem posługuje się archaizmami, przypomina słownictwo minionych epok i regionów, odnawia stary język jagielloński.

Renata GORCZYŃSKA

Książki najgorsze

Gdy przeczytałem takie oto zdanie: „Zwięzieniem książki Gronczewskiego są eseje o Brzozowskim i Irzykowskim” — pomyślałem sobie, że dość to zaskakująca ortografia. Cóż: pisarz nawet nie musi znać jej dobrze, powinien ją znać redaktor książki, który tym razem widać zasnął. Gdy nieco dalej przeczytałem, że powieść Céline'a nosi tytuł „Podróż do kresów nocy”, zacząłem się zastanawiać, ileż tych kresów może być i biadać nad wyraźnym błędem tłumacza, który w tytule dostrzegł tylko jeden. Kiedy wreszcie przeczytałem, że autor książki mieszkał „w pracowni Maryli Tatarczuch”, domyśliłem się, że chodzi o fikcję literacką nie pozbawioną odwagi eksperymentów językowych rodem z futurystycznych pieluszek: Maryla nosi bowiem nazwisko Tatarczuk (mieszka obecnie w Sztokholmie).

Zbigniew Jerzyna we wstępie do swej „Wędrowki w słowie” (rodzaj buta, balona? — nie wiadomo) podkreśla nie tylko, że jest „dzieckiem wojny”, lecz także, iż może być naiwny. Wreszcie zaprasza do twórczej współpracy. Powiada mianowicie o oddawanej nam do rąk książce: „Jej lektura może wzbudzać u Czytelnika uczucie niedosytu spowodowane fragmentarycznością zawartych tu refleksji. Niech sobie wtedy dopowie to, czego w niej brakuje”. Przyznam, że z tak zaawansowanym eksperymentem twórczym jeszcze nie miałem do czynienia. Aż strach o tym pisać — nowatorstwo jednak oneśmiela.

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, będąca agendą RSW „Prasa-Książka-Ruch” (spółdzielnia, której dochód w całości zasila kasę awangardy klasy robotniczej) nie po raz pierwszy raczy czytelników takimi rarytasami krytyczno-literackimi. Tym razem mamy do czynienia z „rozważaniami o poezji”. Oto kilka prób owych „rozważań”: „Jednego, czego nie można odmówić Mauriacowi, to jego aktywności światopoglądowej”. O Baudelaire: „Obca mu była wszelka powierzchowność. Miał dużo do powiedzenia światu i mógł sobie na wiele pozwolić”. Coś z odkryć: „Nie ma poezji bez wewnętrzznego rytmu”, „Poeta bez indywidualnej formy nie istnieje”. Coś o jedności przeciwiwstawności: „z powodu różnych przypadłości losu Grochowiak w swoim życiu był na początku postury chudziutki, później zaś był bardzo gruby. I tak oglądał świat w dwóch odrębnych postawach mentalnych. (...) Niewielu artystom jest dane uzyskać taką pełni”. Precyzja sądu: „Osobnym dziełem w twórczości poety jest 'Pamiętnik z powstania warszawskiego'. Co by kto nie mówił (a mówiono sporo — przypis L.S.), jest to książka rewelacyjna”. Na koniec tych cytatów coś z odkryć kulinarnych: „Smażyliśmy befsztyki tatarskie”.

Dlaczego zatem w ogóle o tej książce piszę? Z obowiązku; przysłał mi ją redaktor Giedroyc z prośbą o krótką recenzję. Oto jej *zwięzienie*: w słowie nie wędruję, wędruję w butach — przyziemnie to zapewne, lecz za to wygodne, nawet dla tych którzy (jak ja) od czasu do czasu pisują wiersze.

Leszek SZARUGA

Zbigniew Jerzyna, „Wędrownka w słowie (rozważania o poezji)”, MAW, Warszawa 1988, s. 240.

Nadesłane nowości wydawnicze

- BRODSKI (Josif) *Śpiew wahadła*. Eseje. Tłumaczyli Stanisław Barańczak, Renata Gorczyńska, Anna Husarska, Ewa Krasińska, Andrzej Mietkowski, Krystyna Tarnowska i Andrzej Konarek, Adam Pomorski, Adam Zagajewski. Str. 260 i 4 nbl. (Wyd. Zeszyty Literackie, Paryż 1989, cena F. 130, \$US 23)
- CIESIELCZYK (Marek). *KGB. Z historii rosyjskiej i sowieckiej polityki politycznej*. Str. 204 i 4 nbl. (Wyd. Pogląd, Berlin Zach. 1989).
- JASTRUN (Tomasz). *W złotej klatce. Notatnik amerykański*. Str. 127 i 1 nbl. (Wyd. Veto Verlag, Berlin Zach. 1989).
- KARPINSKI (Jakub). *Portrety lat. Polska w odcinkach, 1944-1988*. Str. 286 i 2 nbl. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).
- Pomniki i pamiątki wojenne na szlaku walk I Dywizji Pancerniej 1944-1945*. Album. Str. 189 i 3 nbl. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).
- Polskie żeglarstwo w Chicago*. Album. Str. 62 i 34 nbl. (Wyd. Joseph Conrad Yacht Club, Chicago 1989).
- ŁUKASIEWICZ (Juliusz). *Dyplomata w Paryżu 1936-1939. Wspomnienia i dokumenty Juliusza Łukasiewicza, ambasadora R.P.* Opr. Waclaw Jędrzejewicz i Henryk Bułhak, Str. 461 i 3 nbl. (Wyd. PFK, Londyn 1989).
- ŚMIGŁY-RYDZ (Edward). *Dążąc do końca swoich dróg*. Wiersze. Str. 29 i 5 nbl. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- DOROSZ (Krzysztof). *Maski Prometeusza. Eseje konserwatywne*. Str. 239 i 1 nbl. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £ 6,50, \$US 13).
- ŁABĘDŹ (Leopold). *Bez złudzeń. Wybór pism 1962-1988*. Str. 337 i 5 nbl. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).
- TERLECKI (Tymon). *Antynomia dionizyjsko-apollińska we wczesnej poezji Kazimierza Wierzyńskiego*. (Nadbitka z Przeglądu Humanistycznego nr 7/1988, str. 55-73).
- ŁOJEK (Jerzy). *Ku naprawie Rzeczypospolitej. Konstytucja 3. Maja*. Str. 213 i 3 nbl. (Wyd. Interpress, Warszawa 1988).
- Bullarium Poloniae III. 1378-1417*. Ediderunt et curaverunt Irena Sułkowska-Karaś et Stanisław Karaś. Str. 301 i 1 nbl. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski i Fundacja Jana Pawła II, Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, Rzym-Lublin 1988).

Humor krajowy (niestety)

Poniższy tekst został opublikowany w nr 60 pisma *Bez cenzury* — gazety szeregowych członków NSZZ „Solidarność” we Wrocławiu — z następującą notą:

„Przytoczone niżej listy to nie kawał primaaprilisowy. Zostały rzeczywiście napisane (posiadamy ich kserokopie). W ich tekstach nie dokonaliśmy poprawek — zachowaliśmy styl i ortografię oraz niezwykłą zaiste interpunkcję.”

Podpisujemy się pod tą notą i oto tekst:

14.II.1988

Jego Ekscelencja
Pan Prezydent Rzeczypospolitej
Juliusz Nowina-Sokolnicki
Londyn.

JWPanie Prezydencie,

Uprzejmie donoszę, że w dniu 4 lutego 1988, po uroczystościach religijnych w Kościele św. Brigidy w Gdańsku, zgromadziło się na Plebanii u Ks. Pułkownika Henryka Jankowskiego ponad 150 Reprezentantów Tych, którzy walczą o Honor i Wolność Polaków.

Wśród Przedstawicieli Dyplomacji zagranicznych był Zastępca Ambadora U.S.A, Pana Deivisa Jr. który jeszcze nie przybył ze Stanów Zjednoczonych, oraz Pierwszy Sekretarz Ambasady U.S.A. — Również Francja, Anglia Szwecja, Denmark, R.F.N. i prasa zagraniczna z Włoch, U.S.A. i R.F.N.

W podniosłej atmosferze, wręczyłem Panu Prezesowi Lechowi WAŁĘSIE, — wielką WSTĘGĘ ORDERU ODRODZENIA POLSKI. Po moim przemówieniu, — mówił Pan Lech Wałęsa, — Ks. Pułkownik Henryk Jankowski, — Mecenias Władysław SIŁA-NOWICKI i Wikariusz Generalny Diecezji Gdańskiej X. Prałat SOLCYN.

W załączeniu przesyłam Panu Prezydentowi podziękowanie Pana Lecha Wałęsy, — Ks. Pułkownika Jankowskiego i Zarządu SOLIDARNOŚCI.

Jednocześnie serdecznie dziękuję Waszej Ekscelencji za miłe listy, za Dyplomy i Nominacje.

Przy tym proszę przyjąć
Panie Prezydencie Rzeczypospolitej
od nas wszystkich wyrazy szacunku, wdzięczności
i oddania. Ukłony dla Jego współpracownika
General Bernard Witucki

Lech Wałęsa
17D m. 3
80-270 Gdańsk

Gdańsk, dnia 2.02.1988

J.E. Pan Prezydent Rzeczypospolitej
Juliusz Nowina Sokolnicki
Anglia

Szanowny Panie Prezydencie

Pragnę tą drogą podziękować za wspianą gest względem mojej osoby i całego narodu. Odnaczenie przyjąłem z rąk przewielebnego Księdza Generała dr Bernarda Wituckiego.

Odnaczenie tak wielkie tym bardziej zobowiązuje mnie do walki w obronie praw robotnika polskiego, obrony suwerenności świata pracy w Ojczyźnie naszej.

Łączę wyrazy głębokiego
szacunku dla Pana i Małzonki
Z poważaniem
/-/ Lech Wałęsa

KS. HENRYK JANKOWSKI
Proboszcz
Parafii Św. Brygidy
80-856 GDANSK

Gdańsk A.D. 1988

Jego Ekscelencja
Szanowny Pan Prezydent Rzeczypospolitej
Juliusz Nowina Sokolnicki
Londyn

Ekscelencjo
Szanowny Panie Prezydencie
Rzeczypospolitej

Pragnę tą drogą wyrazić swoje serdeczne podziękowanie za tak wielkie wyróżnienia i włączenia w poczet korpusu oficerów DUSZPASTERSTWA.

Proszę przyjąć moje słowa zapewnienia o wierności Przysiędze Polskim Sztandarom, Bogu i Ojczyźnie.

Nadany stopień oficerski jak również odnaczenie zobowiązują mnie do jeszcze intensywniejszej pracy i walki o wolność, suwerenność i niezależność naszej umęczonej Rzeczypospolitej.

Odnaczenia wręczył mi osobiście Ksiądz Generał Bernard Witucki i po przez Jego ręce pragnę wyrazić swoją lojalność i oddanie wielkiej sprawie jakim jest umiłowanie Ojczyzny.

Zapewniam o stałej pamięci modlitewnej w intencji Waszej Ekscelencji — niech Dobry Bóg wynagrodzi wszelkie trudy w służbie naszemu Narodowi.

Łączę wyrazy głębokiej czci
i szacunku

In Christo
/-/ Ks. Henryk Jankowski

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1.7.89.

W Magnitogorsku (ZSSR) ukazuje się pismo *Gazeta nad Uralem* w nakładzie 800 egzemplarzy. Jest to jedyna gazeta dla polskich budowlanych, pracujących na eksportowych budowlach w ZSSR. W samym tylko Magnitogorsku jest kilka tysięcy polskich budowlanych.

11.7.89.

VIII Kapituła Generalna Towarzystwa Chrystusowego wybrała nowy zarząd generalny zgromadzenia: przełożonym wybrano ks. prof. Bogusława Nadolskiego a jego wikariuszem ks. dr. Bernarda Kołodzieja.

25.7.89.

Wrocławska Fabryka Wagonów PAFAWAG ze względu na trudną sytuację kadrową tego przedsiębiorstwa sprowadza grupę Wietnamczyków w celu przeszkolenia. Na początek przyjechało ich 60-ciu. Dyrektor Błaszczuk jest z tego eksperymentu zadowolony i jest gotów zwiększyć ilość Wietnamczyków PAFAWAG-u nawet do 200 osób. Można i tak. ■ Jednocześnie Polska Żegluga Morska oraz inni armatorzy otrzymali zezwolenie na zatrudnianie obcokrajowców. Ma to na celu zlikwidowanie braków kadrowych, spowodowanych zatrudnianiem polskich oficerów, nawigatorów i mechaników przez armatorów zagranicznych. Pracą na polskich statkach są zainteresowani oficerowie marynarki Związku Sowieckiego. Mają być podjęte rozmowy z armatorami innych krajów socjalistycznych ■ W poszukiwaniu wyjścia z kryzysu panującego na wsi, prezes Gminnej Spółdzielni „Samopomoc chłopska” w Łądku Źródło wystąpił z pomysłem, by za sprzedawane zboże oraz mięso płacić dostawcom w dolarach. Taki też wniosek zgłosiła miejscowa „Solidarność Rolników Indywidualnych”. Na przykład za 1 q pszenicy — 3 dol. USA bądź 21 tys. zł; za 1 q żyta — 2,5 dol. lub 17 tys. zł., a gryki — dol. 10,00 albo 70 tys. zł. Za 1 kg żywca wieprzowego GS miały zapłacić 35 centów lub 2.500 zł. a wołowego — 30 centów albo 2.100 zł. Pomysłodawcy zażyczyli sobie, aby ceny przez nich proponowane aktualizować przy zmianie kursu dolara.

26.7.89.

Sąd Najwyższy PRL wobec braku dowodów uniewinnił skazanych przez b. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie i b. Najwyższy Sąd Wojskowy członka PSL Kazimierza Bagińskiego, Tadeusza Węgrzynieka, Wiktora Bazylewskiego i Tadeusza Wyrzykowskiego. Skazani byli oni na kary od 3-ch do 6-ciu lat więzienia za publikację artykułów i wiadomości, które miały rzekomo doprowadzić do obalenia ustroju PRL. Uniewinnił też Stanisława Mroczkowskiego, skazanego na karę 8 lat więzienia za wejście w porozumienie w 1946 roku z przedstawicielami nielegalnej organizacji WiN (Wolność i Niepodległość).

7.8.89.

Przedsiębiorstwo Przemysłu Spirytusowego „Polmos” zakomunikowało, że roczny plan produkcji — 150 mln litrów alkoholu — został już przekroczony o 10 mln litrów.

7.8.89.

Ars Polona, według informacji jej dyrektora Jerzego Kobylńskiego, sprzedaje na Zachodzie około 200 tys. książek wartości 700-800 tys. dolarów.

10.8.89.

Powstało Stowarzyszenie Obywateli Radzieckich mieszkających w PRL — jest ich około 10 tys., ale brak oficjalnej ewidencji. Zebranie organizacyjne zostało wyznaczone na 29 września br.

17.8.89.

Włodzimierz Łodziński, jeden z redaktorów *Trybuny Ludu*, został mianowany rzecznikiem prasowym prezydenta PRL, Wojciecha Jaruzelskiego.

19.8.89.

Na posiedzeniu Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności” Lech Wałęsa zwrócił się do obecnych na sali członków OKP, oświadczając: „Sam pojedynczo rozegrałem tę partię i sam dla was załatwiłem premiera. I sam proszę, (...) aby wszyscy pomogli, aby ten premier, który spał w maju i sierpniu razem ze mną pod stołem na styropianie, i razem wywalczył tę sytuację — aby mu pomóc we wszystkim. I tak jak wy weszliście na moim i jego grzbiecie do Parlamentu, żebyście z kolei jemu pomogli wejść na najwyższy stopień władzy. Tego oczekuję i tego żądam. Albo powiem społeczeństwu, że nie bierzemy odpowiedzialności za Polskę, nie będziemy ryzykować, bo nie chcemy”.

Na zarzuty, że decyzja została podjęta poza KK i OKP Wałęsa odpowiedział: — „Dokonałem wyboru za was, za to, że wy nie potraficie. Nie miejcie do mnie pretensji, że mnie w pojedynkę udało się to, co nie udało się wam dwustu sześćdziesięciu. Rzeczywiście, sam zagrałem tę partię, widząc, że wy nie jesteście w stanie. Ale czy możecie mieć do mnie o to pretensje?”.

22.8.89.

Od pół roku działa zespół roboczy do spraw rehabilitacji osób niesłusznie represjonowanych w latach 1944-1955, powołany przez Prokuratora Generalnego PRL. Do 31 lipca br. podjęto badania 94 spraw. Dotychczas załatwiono merytorycznie 49 spraw. Wniesiono siedem rewizji nadzwyczajnych z wnioskami o uniewinnienie osób uprzednio skazanych. W 27-miu przypadkach uznano, że brak podstaw do podejmowania procesowych czynności rehabilitacyjnych.

23.8.89.

Na podstawie ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, uchwalonej przez Sejm PRL 17 maja br., zaczyna się rewindykacja mienia kościelnego, skonfiskowanego w okresie stalinowskim.

25.8.89.

Od 1 września br. język rosyjski przestanie być w szkołach PRL przedmiotem obowiązkowym w województwach: konińskim, krakowskim, łódzkim, olsztyńskim, poznańskim, przemyskim, szczecińskim, warszawskim i wrocławskim.

26.8.89.

Zmarła w Warszawie w wieku 77 lat Wanda Żółkiewska, prozaik, autorka książek dla młodzieży. ■ W Warszawie odbyło się spotkanie działaczy ruchu narodowego z całego kraju. Postanowiono wznowić jawną działalność Stronnictwa Narodowego. Tymczasowym przewodniczącym został Antoni Henryk Lutosławski z Kalisza. ■ Papież mianował ks. prałata Józefa Kowalczyka z watykańskiego Sekretariatu Stanu nuncjuszem apostolskim w Polsce, podnosząc go jednocześnie do godności arcybiskupa. Ambasadorem PRL przy Stolicy Apostolskiej został Jerzy Kuberski.

28.8.89.

Zmarł w Warszawie w wieku 60 lat Konstanty Puzyna, krytyk, eseista, redaktor naczelny miesięcznika *Dialog*.

1.9.89.

3 listopada br. odbędzie się na Uniwersytecie Wrocławskim międzynarodowe seminarium poświęcone zagadnieniom kultury środkowoeuropejskiej.

4.9.89.

Zmarł w Warszawie w wieku 81 lat Zenon Kliszko, b. sekretarz KC PZPR, b. poseł do Sejmu PRL.

6.9.89.

Zmarł w Warszawie w wieku 64 lat Stefan Nowak, wybitny socjolog.

10.9.89.

Znany miesięcznik moskiewski *Nowyj Mir* zamierza drukować książkę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „Inny świat”.

11.9.89.

Na IX plenum Naczelnego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego prezes Roman Malinowski złożył rezygnację ze swego stanowiska, co zostało przyjęte. Nowym prezesem został wybrany Dominik Ludwiczak. ZSL przyzywa ciężki kryzys, postanowiono zwołać na 10 stycznia 1990 r. Nadzwyczajny Kongres, który zadecyduje o dalszych losach stronnictwa. ■ Na posiedzeniu Zarządu Głównego Stowarzyszenia PAX Zenon Komender zrezygnował ze stanowiska przewodniczącego, a na jego miejsce wybrano Macieja Wrzeszcza.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1.7.89.

Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku utworzył Fundusz im. Jerzego Łojka, z którego będą pokrywane koszty gromadzenia materiałów, kierowanie, nadzór i nagradzanie badań naukowych oraz opracowań literackich o walce zbrojnej Polaków z okupacją komunistyczną w latach 1944-1945. Jednocześnie p. Bożena Łojek utworzyła nagrodę im. Jerzego Łojka, która będzie przyznawana za prace z zakresu historii Polski z lat 1772-1956. Źródłem funduszy na nagrody będą należności z tytułu honorariów autorskich śp. Jerzego Łojka. Nagroda ta będzie przyznawana co dwa lata — po raz pierwszy 7 października br.

24.8.89.

Zmarł w Londynie w wieku 82 lat Feliks Topolski, znany malarz i rysownik.

1.9.89.

Andrzej Szczypiorski został laureatem tegorocznej nagrody literackiej im. Nelly Sachs, przyznawanej przez miasto Dortmund (RFN). Nagroda wynosi 20 tys. marek.

4.9.89.

W dniach od 28 sierpnia do 4 września br. w Galerie Etienne de Causans w Paryżu wystawiała swoje prace Joanna Zamojdo.

10.9.89.

Papież mianował biskupem ks. Alojzego Orszulika, zastępcę sekretarza Episkopatu Polski.

13.9.89.

W Londynie odbyło się zebranie Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata. W tym samym czasie miał miejsce w Londynie światowy zjazd Wolnych Polaków.

14.9.89.

W Klubie „Kontakt” w Paryżu odbył się wieczór autorski Marka Nowakowskiego, zaś 22 września br. wyświetlono film video-Kontakt pt. „Czesław Miłosz o przestrzeni”.

15.9.89.

W Centre du Dialogue w Paryżu Jan Nowak-Jeziorański wygłosił odczyt pt. „Polska widziana z Waszyngtonu i z Warszawy”. W ciągu września odbyły się jeszcze następujące odczyty: 22.09.br. — Ewa Szumańska mówiła na temat „Wybory czerwcowe — przygoda obywatelska”; 29.09.br. — wieczór autorski Kazimierza Brandy.

21.9.89.

W Bibliotece Polskiej w Paryżu otwarto VIII Uniwersytet Letni, organizowany przez Wspólnotę Polsko-Francuską. Przemówienie inauguracyjne ma wygłosić p. Simone Veil; przewidziane są wystąpienia: gen. Yves Faury, b. ambasadora Jacques Dupuy, Jean Lacouture oraz Marca de Montfort.

KRONIKA KANADYJSKA

■ Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej wystąpił po raz drugi do rządu federalnego w Ottawie w sprawie pomocy dla Polski. Związyły memoriał z wyszczególnieniem form i sposobów udzielania pomocy przedłożyli pp. Orłowski i Kogler — tj. prezes i sekretarz generalny KPK — p. Alanowi McLaine, dyrektorowi biura wschodnioeuropejskiego w MSZ. Memoriał wyraża nadzieję, iż rząd Kanady udzieli Polsce pomocy „w tym historycznym momencie” przez: 1) poparcie wniosku Polski o przyjęcie do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i Banku Światowego; 2) przeprowadzenie zmian w spłacie zadłużenia; 3) udzielenie nowych pożyczek dla specjalnych projektów; 4) przyznanie Polsce ulg celnych na niektóre towary; 5) zwiększenie obrotów handlowych z Polską; 6) udzielenie pomocy poprzez zorganizowanie kursów, udzielanie porad w prowadzeniu przedsiębiorstw i handlu; 7) poprawę systemu komunikacji i informacji; 8) dostarczenie pomocy żywnościowej, gdy będzie potrzebna; 9) dostarczenie leków i aparatury medycznej oraz specjalistów; 10) dostarczenie sprzętu niezbędnego do oczyszczania środowiska. Dyr. McLaine — z gronem swoich współpracowników — przyjął delegację KPK, wysłuchał dodatkowych argumentów, ale nie udzielił żadnej odpowiedzi, gdyż nie należy to do niego. Czy i kiedy sprawa zostanie rozpatrzona przez ministra Spraw Zagranicznych, Clarka, a następnie przez Radę Ministrów — pokaże przyszłość. ■ Akcję na rzecz budowy Kolegium Jana Pawła II na KUL-u w Lublinie zainicjował i prowadzi od 1984 r. Henry Słaby, działacz społeczny na odcinku charytatywnym (m.in. odegrał wielką rolę w budowie Copernicus Lodge — Domu Spokojnej Starości w Toronto). Na budowę Kolegium zebrano w ciągu pięciu lat około 2 mln dolarów — jak to wynika z zestawień ogłaszanych w prasie. Inna inicjatywa p. Słabego, budowa wspólnego reprezentacyjnego domu Polonii, z powodu braku porozumienia między organizacjami zawisła w próżni. ■ W każdym numerze prasy kanadyjskiej podaje się nazwiska osób proszących o sponsorowanie. Są wśród nich osoby przebywające czasowo w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych, ale najwięcej zgłoszeń jest z RFN, Włoch, Grecji i Hiszpanii. Przeważają fachowcy rzemieślnicy: tapicer,

elektryk, monter, kuźnicz, murarz, ślusarz-spawacz, technik drogowy, kucharz. Wśród kilkudziesięciu osób jest tylko jeden inżynier mechanik. ■ 22 sierpnia br. zmarł w Toronto po operacji serca Robert W. Harney, profesor historii nowożytnej University of Toronto, założyciel i kierownik naukowy Multicultural History Society of Ontario, pierwszy kierownik katedry Studiów Etnicznych i Imigracji. M.H.S.O. powstało w 1976 r. głównie dzięki wysiłkom jego i kilku innych profesorów i stało się ośrodkiem badań problematyki etnicznej w Ontario. Prof. Harney założył i redagował półrocznik *Polyphony*, na łamach którego ukazywały się różne prace i materiały archiwalne. Zostały wydane także numery specjalne — obszerne tomy — poświęcone poszczególnym grupom etnicznym: polskiej, fińskiej, ukraińskiej. Zorganizował też szereg konferencji międzynarodowych na temat procesów imigracyjnych oraz znaczenia i roli grup etnicznych w krajach osiedlenia. W październiku 1980 r. odbyła się w Toronto z jego inicjatywy konferencja „Polacy w USA i Kanadzie” z udziałem naukowców z Kanady, USA, Polski i Australii. W jej ramach miała miejsce sesja „Polskość” z udziałem profesorów-poetów: Miłosza, Śmieji i Czaykowskiego oraz przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych. Referaty wygłoszone na tej konferencji zostały opublikowane. Prof. Harney nawiązał i utrzymywał łączność m.in. z Polish American Historical Assn. i Polish Canadian Research Institute w Toronto, uczestniczył w spotkaniach poświęconych problemom imigracji i imigrantów z Polski. Nawiązał współpracę z placówkami naukowymi zajmującymi się imigracją w różnych państwach, w tym z Instytutem Badań Polonijnych U.J. w Krakowie. W 1987r. przybył z gronem kanadyjskich specjalistów do Krakowa na konferencję na temat „Grupa polska a inne grupy etniczne w Kanadzie”, na której wygłosił referat o kanadyjskiej polityce wielokulturowości. Archiwum i biblioteka prowadzonego przez niego M.H.S.O. zgromadziły wszelkie materiały dotyczące organizacji etnicznych i największy — poza Biblioteką Narodową — zbiór prasy, fotografii, oraz wydawnictw (6 tys. godzin) utrwalaonych na taśmach magnetofonowych. Ostatnia praca prof. Harneya — *Political Discourse and Toronto's Slavic Ethnicities* — ogłoszona w Uppsali w 1988 r. w tomie *Multicultural Studies in Uppsala* — dotyczy grup słowiańskich w Kanadzie. ■ Na zaproszenie centrali kanadyjskich związków zawodowych — Canadian Labor Congress — przybędzie do Kanady w dniach 10-12 listopada br. Lech Wałęsa. ■ Na University of Winnipeg utworzono katedrę studiów niemiecko-kanadyjskich, której celem jest umożliwienie pracownikom naukowym oraz studentom prowadzenia wielostronnych badań nad wkładem Niemców kanadyjskich w życie Kanady oraz nauczanie o dziejach Niemców kanadyjskich. Na potrzeby katedry Uniwersytet powinien dysponować funduszem w wysokości dol. 1.900.000, pochodzącym z dotacji. Społeczność pochodzenia niemieckiego ofiarowała dol. 500.000 a Rząd Federalny oraz Ministerstwo Wielokulturowości i Obywatelstwa — dol. 400.000. ■ Senator Stanley Haidasz wystosował do przewodniczącego Izby Gmin pismo z propozycją utworzenia kanadyjsko-polskiej grupy parlamentarnej. Jego zdaniem, zmiany zasze w Polsce po czerwcowych wyborach uzasadniają powstanie parlamentarnej komórki, mającej na celu wymianę poglądów, poznanie procedury parlamentarnej itp. Senator Haidasz sugerował wystanie do Polski — na otwarcie Izby i wybór prezydenta — kanadyjskiej delegacji parlamentarnej, która mogłaby przedyskutować wszystkie aktualne problemy. W piśmie swoim wskazywał na celowość inwestycji w Polsce i na konieczność zrewidowania postanowień w sprawie spłat zadłużenia. Jak dotychczas — być może na skutek przerwy wakacyjnej — kanadyjsko-polska grupa parlamentarna jeszcze nie powstała. ■ W Toronto ukazuje się do czerwca br. dwutygodnik *Świat biznesu*, wydawany przez pp. Andrzeja Ładę i Andrzeja Widerszpila. Pismo prezentuje i omawia aktualne problemy gospodarcze w Kanadzie, przedstawia sytuację w Polsce i informuje o możliwościach inwestycyjnych w Polsce.

Listy do Redakcji

Monachium, 8.09.89.

Szanowny Panie Redaktorze !

Żydzi idą w zaparte.

Moim głównym informatorem codziennym o sprawach polskich jest „Głos Ameryki”, ponieważ miejscowa rozgłośnia „Wolnej Europy” nadaje głównie na krótkich falach, na eksport. Stąd też czerpałem wiadomości o konflikcie wokół klasztoru sióstr karmelitanek w Oświęcimiu.

Pierwszą jaskółką była krótka informacja o protestach żydowskich bez szczególnego wyjaśnienia sprawy. Wkrótce potem odczytano list jakiegoś anonimowego słuchacza stwierdzający, że karmelitanki znalazły się w podobnej sytuacji, jak w czasie okupacji, kiedy hitlerowcy dowolnie przenosili z miejsca na miejsce (?) polskie klasztory. Cytowano także listy innych Polaków, wyrażających zdumienie, iż karmelitanki nie mogą się spokojnie modlić za dusze Żydów zamordowanych w Oświęcimiu. Następnie „Głos Ameryki” wspominał krótko o wypowiedzi Jana Pawła II, który miał oświadczyć, że „Żydzi zradzili Boga”, który w związku z tym przestał ich uważać za naród wybrany.

Z kolei nadano wiadomość, że kardynał Macharski uznał za niemożliwe kontynuowanie budowy wspólnego polsko-żydowskiego Domu Modlitwy, ze względu na nacisk z zewnątrz i brak dostatecznych środków. Z następnej audycji dowiedziałem się, iż przeciwko tej decyzji kardynała zaprotestowało trzech innych kardynałów — z Francji i z Belgii — którzy swego czasu, wraz z kardynałem Macharskim, wynegocjowali porozumienie w tej sprawie. Kolejnego wieczoru „Głos Ameryki” doniósł, iż Prymas Glemp dyskwalifikował całą czwórkę kardynałów-negocjatorów, uznając ich, wraz z kardynałem Macharskim, za niekompetentnych i zaproponował ponowne negocjacje, nie wyjaśniając, czemu dopiero obecnie doszedł do takiego wniosku, jeśli budowa Domu miała być zakończona w lutym br. Miał on również powiedzieć, że Żydzi nie powinni patrzeć na Polaków z góry, że ginęli oni w Brzezince a Polacy w Oświęcimiu i że życie sióstr karmelitanek znalazło się w niebezpieczeństwie, w związku z wtargnięciem na teren klasztoru protestujących Żydów amerykańskich.

Następnego dnia „Głos Ameryki” poinformował, że wypowiedzi powyższe Prymasa Glempla skrytykowane zostały w *Gazecie Wyborczej* przez p. Sliwińskiego, po czym powtórzył obszernie wywody Prymasa, nie cytując ani jednego zdania ze wspomnianego artykułu. Z kolei rozgłośnia doniosła, że Żydzi krytykują Papieża za milczenie w tej sprawie i że rabin Weiss zamierza zażądać od Prymasa Glempla milionów dolarów tytułem odszkodowania za zniesławienie, ponieważ nie zamierzał on mordować sióstr karmelitanek.

Wreszcie ostatnio nadano rozmowę specjalnego wystannika „Głosu Ameryki” bodajże p. Wyględowskiego, ze znanym dziennikarzem katolickim w Warszawie, który powiedział, że zarówno ksiądz Prymas, jak i kardynał Macharski bardzo pragną zbudowania polsko-żydowskiego Domu Wspólnej Modlitwy, ale widocznie nie dogadza to niektórym Żydom. „Czy można stwierdzić, że Żydzi idą w zaparte?” — spytał z troską specjalny wystannik. Odpowiedź była bardziej niż twierdząca.

Po wysłuchaniu wszystkich tych audycji obraz sprawy wydaje mi się całkowicie jasny. Prymas pragnie wybudować Dom Wspólnej Modlitwy, lecz przeszkadza mu w tym, oprócz Żydów, niekompetencja niektórych kardynałów. Natomiast Żydzi po prostu idą w zaparte. Czyż nie jest to jasne, Panie Redaktorze?

Z głębokim szacunkiem

Andrzej ALBRECHT
Polak-katolik

19.08.89.

Drogi Panie,

Sprawa raczej drobna, ale z takich czasem składa się historia. W ostatnim nrze *Kultury* 7/502-8/503 1986, na stronie 203 u dołu jest wzmianka, że „Romuald Traugutt nie posiada ani pomnika ani tablicy”.

Jeżeli tak, to smutna prawda. Pragnę jednak powiadomić, że nasz dyktator powstania 1863 miał swego czasu pomnik, który prawie na pewno został rozebrany czy zniszczony po 17 września 1939 roku przez Sowiety. Oto wyjątek z moich „Wspomnień niefrasobliwych” (PFK, Londyn, 1985, str. 13):

„Mój pradziad, Jan Budny, właściciel dóbr Szostaków, Koscicze, Murzyny etc., żonaty był z Doroteą z Hofmeisterów. Ojcem Dorotei był Apollin Hofmeister, wojewoda powstańczy województwa brzesko-podlaskiego i od dziecka przyjacielem Romualda Traugutta, dyktatora powstania 1863 roku. Powtarzam za moim Ojcem tradycję rodzinną, że Apollin Hofmeister, jako dziedzic Szostakowa, miał w młodym wieku wciągnąć syna administratora tego majątku i swego serdecznego przyjaciela, Romualda Traugutta, do ruchu powstańczego. Mój Ojciec jeździł specjalnie z Warszawy w roku 1927 lub 1928 na odsłonięcie pomnika Traugutta w Szostakowie”.

Do dziś dnia doskonale pamiętam, z jakim wzruszeniem i przejęciem mój śp. Ojciec, inż. Antoni Budny, wyjeżdżał uroczyście w tę podróż i z jakim przejęciem opowiadał nam po powrocie cały przebieg odsłonięcia tego pomnika.

Serdeczny uścisk dłoni łączę

Michał BUDNY

Haan 23.06.89.

Szanowny Panie Redaktorze,

z „Kroniki Niemieckiej”, str. 105, wynika, jakoby pianistka Ursula Krysta przypadkowo przebywała w RFN i była obywatelką PRL. Tymczasem pani Krysta mieszka stale i to kupę lat w Meckenheim koło Bonn. Znam pianistkę od roku 1949, jest Niemką, a wykonała parokrotnie moje kompozycje, m.in. w „Haus des Deutschen Ostens” w Düsseldorf i „Haus Oberschlesien” w Ratingen k. Düsseldorf.

Łączę wyrazy szacunku

Mgr. Joachim Georg GÖRLICH

Sartrouville, 4.09.89.

31 sierpnia powstał w Paryżu list skierowany do Episkopatu polskiego w sprawie Karmelu w Oświęcimiu.

Oto treść tego listu.

W ziemi oświęcimskiej leżą prochy naszych pomordowanych bliskich. Miejsce to i wydarzenia, jakie się na nim dokonały, nie dają się ogarnąć rozumem. Kojąca była dla nas świadomość, że powstaje tu klasztor, a w nim modli się kilka zakonnic. To miejsce potrzebuje skupienia i modlitwy.

Nie wydaje się najważniejsze dzisiaj, jakie były przyczyny, dla których nie można było dotrzymać terminu budowy ośrodka modlitwy dla ludzi wszystkich

wyznań. Ważne jest, że dziś modlitwa siostr karmelitanek nie służy refleksjom. Ich obecność rodzi żal i gniew.

Siostry karmelitanki nie takie miały intencje. Nie zasłużyły, aby stać się zarzewiem konfliktu, należy się im przeniesienie w inne miejsce. Niech modlą się w spokoju.

Od Kościoła oczekiwaliśmy nauki płynącej z tego zdarzenia, że nigdy nie dosyć jest szacunku dla uczuć bliźnich. Że nigdy nie jest za dużo pracy serc i mózgow dla ułożenia wspólnego życia.

Bolą nas głosy o antysemityzmie polskiego Kościoła i Polaków. Ale, jeżeli nic nie zrobimy w sprawie Karmelu w Oświęcimiu, czyż w głosach tych nie będzie prawdy o nas?

Prosimy usilnie Episkopat polski o znalezienie dla siostr karmelitanek spokojnego miejsca na czas budowy. Ośrodek modlitw w Oświęcimiu nie musi być wspaniały. Musi jednak być miejscem wzajemnego szacunku i zrozumienia.

Paryż, 31 sierpnia 1989

Pierwszego dnia list podpisali Halina Kuczyńska, Katarzyna i Zbigniew Herbertowie, Maria Łamzaki, Grażyna i Krzysztof Pomianowie, Izabella Chruslińska, Tomasz Łabędź, Piotr Kasznia, Jerzy Nowacki, Mirosław Chojecki, Adam Zagajewski, Joanna Pomian, Teresa Brykalska.

Niektóre osoby zaproponowały stworzenie funduszu budowy ośrodka międzynarodowego modlitw i medytacji i zadeklarowały na ten cel:

Maciej Morawski, Halina Kuczyńska, Piotr Kasznia, Tomasz Łabędź, Izabella Chruslińska, Joanna Pomian, Jerzy Nowacki, Mirosław Chojecki — po 100 franków.

Maria Łamzaki, Grażyna i Krzysztof Pomianowie — po 200 F

Kultura paryska — 1000 F

Stowarzyszenie Kontakt — 1000 F

List krąży wśród Polaków zamieszkałych w Paryżu. Dalsze podpisy i deklaracje składek przesłamy w miarę ich napływania, a jeżeli znane będzie konto, na które można będzie skierować pieniądze, zbierzemy i prześlemy zadeklarowane sumy.

Za zgodność ze stanem faktycznym Halina Kuczyńska, 32 rue du Mont Olivet, 78500 Sartrouville, Francja

Halina KUCZYŃSKA

Londyn 4.09.89.

Szanowny Panie Redaktorze,

W sierpniowym numerze *Panoramy Polskiej* został zamieszczony wywiad ze mną, zrobiony na podstawie rozmowy ze mną w Warszawie w czasie Międzynarodowych Targów Książki.

Maszynopis tego wywiadu został mi przysłany przed publikacją i odmówił jego autoryzacji.

Chcę też poinformować czytelników, że informacje podane we wstępie do wywiadu nie oddają wiarygodnie pertraktacji w sprawie stoiska emigracyjnych książek na Targach. Ani p. Józef Klasa ani p. Andrzej Kurz nie brali w nich udziału, zaś od samego początku było ustalone, że stoisko nie będzie cenzurowane. Był to mój warunek, od którego w żadnym wypadku bym nie odszedł.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

J. KULCZYCKI

Łaskawy Panie Redaktorze,

7.8.89.

Zamieszczony w numerze 7/502-8/503 *Kultury* wywiad z p. Wyszowskim pt. „Spod stołu” pokrywa się z ogólną linią, którą *Kultura* najwyraźniej przyjęła wobec ostatnich wydarzeń w Kraju. Wyróżnia się natomiast wyjątkowo demagogicznym tonem i spiskową teorią dziejów — przy czym zapatrzenie w widoki pod stołem oczywiście nie sprzyja uwzględnieniu szerszych horyzontów.

Nie mam zamiaru polemizować merytorycznie z tym tekstem. Sądzę jednak, że powaga sytuacji — nie mówiąc o powadze samej *Kultury* — wymaga zrównoważenia enuncjacji p. Wyszowskiego przez analogiczną i równie obszerną rozmowę z przedstawicielem, czy przedstawicielami, odmiennego punktu widzenia.

Łączę najlepsze wyrazy

Krystyna MAREK

Paryż 30.08.89.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałabym zaznaczyć, że artykuł który ukazał się w *Kulturze* w związku ze 150-leciem istnienia Biblioteki Polskiej w Paryżu został opracowany na podstawie mojego wywiadu z Panem Markiem Prokopem — kierownikiem działu rękopisów, którego nazwisko zostało niesłusznie pominięte. Proszę niniejszym u umieszczenie tego sprostowania.

Łączę wyrazy szacunku

Maria RODOWICZ

Londyn 14.08.89.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę nawiązać do refleksji A. Pospieszalskiego „Bunt teologów” w 500-nym numerze *Kultury*, maj 1989.

Sam tytuł działu, w którym ukazały się te refleksje, „O religii bez namaszczenia”, budzi zastrzeżenia: w tradycji judeo-chrześcijańskiej, a także w wielu innych tradycjach każde przeżycie religijne jest uważane za swoiste namaszczenie. Określenie Pana Jezusa jako Mesjasza czyli Chrystusa właśnie oznacza „Namaszczony”. Na pewno nie trzeba tego wyjaśniać czytelnikom *Kultury*. Stąd tytuł, jakkolwiek dwuznaczny, można poprawnie transponować: „O religii bez religijnego przeżycia”. Czy taka jest intencja redakcji *Kultury*?

Miałem najszerszą intencję podjąć dyskusję z p. Pospieszalskim, lecz szkic listu urastał do ogromnych rozmiarów; tyle pojęć i argumentów, którymi drogi Antek operuje, jest tak podbudowanych treściami i rozterkami uczuciowymi i wieloznacznościami, iż stają się często swoistym „prywatnym językiem”. Wymagają rozsądnych, konfrontacji opinii z faktami i refleksji między sobą. Jakże się z tym uporać?

W zadaniu tym zostałem znakomicie i z nieporównanie większą kompetencją wyręczony przez serię 5-ciu obszernych artykułów w londyńskim *The Times*, dział „Spectrum” z dni 24-28 lipca br. i przez obfitą i wartościową korespondencję, którą one wywołały (od 1-go do 10-go sierpnia). Szczególnie warto zwrócić uwagę na 4-ty artykuł, „A moving embrace for the faith”, pióra Owena Hickeya (27.7), w którym zajmuje on stanowisko bardzo odmienne od p. Pospieszalskiego. A także na listy na temat 5-go artykułu w tej serii, pióra Hansa Künga, „któremu wiele zawdzięczam (choć nie jestem

jego bezkrytycznym wielbicielem)" — jak pisze o sobie p. Pospieszalski. W listach tych padają niezwykle mocne — jak na prasę angielską — określenia, że artykuł profesora Künga jest wzorem „jak stawiać fakty na głowie”.

Zarówno p. Pospieszalski, jak i H. Küng są bardzo jednostronni w swych źródłach, pomijając stanowisko arcybiskupa Lefebvre i innych, którzy chcieliby „przejąć” Kościół w zupełnie odwrotnym kierunku.

Chciałbym zakończyć myślą, z którą — jak sądzę — zgodzi się p. Pospieszalski (jakkolwiek w jakimś stopniu podważa ona jego główne stwierdzenia): że *Kościół ze swej natury jest zawsze „znakiem sprzeciwu”*. Jeśli będzie inny — sprzeniewierzy się swemu Założycielowi, gdyż On takim znakiem był — i jest. Taki sprzeciw z zewnątrz ma niemal zawsze swój odpowiednik w sprzeciwie i krytyce wewnątrz Kościoła. Sprzeciw ten rozpoznał „wiedziony Duchem Symeon” w świątyni jerozolimskiej — i rozpoznał go kardynał Wojtyła, wygłaszając pod tym tytułem wielkopostne rekolekcje dla papieża Pawła VI i jego otoczenia w Watykanie. Ciężar gatunkowy tych rekolekcji m.in. doprowadził go na Stolicę Piotrową, która jest — i zawsze winna być — Znakem Sprzeciwu.

Z wyrazami szacunku i poważania,

Olgierd M. STEPAN

Antoni Pospieszalski pisze:

Rad jestem, że wreszcie pojawił się jeden głos w odpowiedzi na mój artykuł przeznaczony do publikacji. Wszystkie dotychczasowe reakcje, adresowane czy to do redaktora *Kultury* czy do mnie, były prywatne; jeden, od znanej w życiu katolickim osobistości, wprost zastrzegając się przeciw publikacji w obawie, że zostanie źle rozumiany; inny wyrażał pewne zakłopotanie brakiem publicznego odzewu, ale sam również najwyraźniej nie był do publikacji przeznaczony. Były wśród nich głosy krytyczne, głównie ze strony osób duchownych, ale przeważały głosy pozytywne, wyrażające zadowolenie, że ten kłopotliwy temat został wreszcie podniesiony na łamach polskiego pisma.

Serię artykułów w londyńskim *The Times* jak i korespondencję, którą wywołały, oczywiście czytałem. I tu oceny pontyfikatu Jana Pawła II były różne i nie można powiedzieć — jak to sugeruje mój przyjaciel Olgierd — by w sumie dezawuowały one to, co ja napisałem. Artykuł Hansa Künga nie był jedynym głosem krytycznym. Wprost przeciwnie, cała seria została podyktowana potrzebą przedyskutowania (publicznego przedyskutowania) zarówno jasnych, jak i ciemniejszych stron posługi apostolskiej Jana Pawła II na Stolicy Piotrowej. I tak być powinno, a tak w polskiej prasie nie jest. Nawiasem mówiąc, także w moim artykule jasne strony bynajmniej nie zostały całkiem pominięte, choć celem artykułu było zwrócenie uwagi na to, co w tym pontyfikacie może podlegać krytyce i w światowej opinii katolickiej, w odróżnieniu od opinii polskiej, faktycznie krytyce podlega. W tym sensie mój artykuł był istotnie jednostronny, gdyż miał stanowić przeciwwagę dla panującego wśród polskich katolików bezkrytycznego uwielbienia dla „naszego” papieża.

Nie można powiedzieć, by arcybiskup Lefebvre usiłował „przejąć” Kościół w zupełnie odwrotnym kierunku” od tego, który reprezentuje papież. Lefebvre jest niezdyscyplinowanym ultra-konserwatystą, podczas gdy Jan Paweł II jest konserwatywny (w potocznym znaczeniu tego słowa) w jednych sprawach, a postępowy (*sit venia verbo*) w innych, ale ich kierunki bynajmniej nie są przeciwstawne. Ultra-konserwatysta został ekskomunikowany za brak dyscypliny (sprzeczny zresztą z jego ultra-konserwatywnym), nie za jego postawę doktrynalną; w tym względzie okazywano mu znacznie więcej zrozumienia niż innym, choćby Küngowi. Nie mogę zrozumieć, dlaczego papież, który rozmawia (słusznie) z nie-chrześcijańcami i ateistami, nie może przyjąć Künga, chrześcijanina przecież, na szczerą rozmowę.

Tak, Kościół ze swej natury jest zawsze „znakiem sprzeciwu”. Ale,

Olgierdzie drogi, czy można wszystkie sprzeciwy wrzucać do jednego worka? Także każdą krytykę posunięć hierarchii kościelnej? Każdą krytykę Stolicy Piotrowej? Nie mówiąc już o krytyce, dajmy na to, papieżu Renesansu (Reformacja), jestem przekonany, że nie wrzucisz do tego worka o. de Lubac czy o. Congara, którzy krytykowali wiele rzeczy w przedsoborowym Kościele. Mam nadzieję, że i mnie nie wrzucisz do worka kontrewangelicznego sprzeciwu.

Antoni POSPIESZALSKI

OŚWIADCZENIE

W dniu 29 sierpnia br., w programie telewizyjnym studia „Solidarność” nadana była rozmowa, w której udział brali Włodzimierz Bojarski, Zbigniew Romaszewski, Barbara Stanosz i niżej podpisany. Rozmowa pomyślana była jako informacja o celach stawianych sobie przez świeżo powstałe Porozumienie Ponad Podziałami. Z drastycznie skróconej rozmowy na antenę nie weszły m.in. trzy fragmenty:

— mówiący o tym, że Porozumienie powstało również po to, by przeciwstawić się istniejącemu wewnątrz opozycji monopolowi;

— mówiący o tym, że wewnątrz opozycji istnieje podział na słusznych i bardziej słusznych oraz że chodzi o to, by tym pierwszym umożliwić formułowanie i publikowanie swego stanowiska;

— mówiący o tym, że chodzi o to, by stwierdzić w jakich to konkretnych sprawach Polacy, zachowując odmienne poglądy, są w stanie się porozumieć, co oczywiście ma doniosłe znaczenie praktyczne.

Bez tych trzech informacji nadających sens całości rozmowa zamieniona została w szlachetne ple-ple.

Morał może wysnuć każdy czytelnik niniejszego oświadczenia.

Warszawa, 29 sierpnia 1989 r.

Roman ZIMAND

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.P., Włochy; A.H.D. w Kraju; A.P.-G. w Kraju; L.M.-K., Izrael; A.J.P.Ch., Anglia; Z.S., RFN; I.W.Z., RFN; R.R., RFN; A.W., Kanada; R.W., RFN; W.J.P. w Kraju; J.P.P. w Kraju; W.D., RFN; M.B., Australia; J.D., Hiszpania; I.J., Kanada; E.O. w Kraju; J.J., Anglia. — Z wierszy nie skorzystamy.

M.T.B.v.O., Francja. — Pana „esej o detronizacji historii jako nauki o prawdzie” posuwa się chyba za daleko. Truizmem jest twierdzenie o nieuchronnym subiektywizmie każdego historyka, o nieistnieniu „prawdy absolutnej, a więc i historii całkowicie obiektywnej”. Ale twierdzić, że wobec tego „historia w zasadzie, w takim sensie w jakim chcieliby ją widzieć historycy, nie istnieje” — to wniosek z pewnością zbyt radykalny.

M.W., Francja. — Można w końcu obraz opisać, i to niekiedy nawet ładnie, niewielki natomiast ma sens swoista inwentaryzacja obrazów w tekście o ambicjach literackich. A tak właśnie wypadła *Podróż po ścianie*.

- T.M.B.* w Kraju. — Niestety wszystkie trzy opowiadania są słabe i banalne, choć napisane dość zgrabnie.
- M.K.-R., RFN.* — Drobne epizody z osiedla dla przybyszających z Polski wysiedleńców są błahie, trudno je uważać za opowiadanie.
- M.M., RFN.* — „Obserwator-psychoterapeuta” styka się w swojej praktyce lekarskiej z dziwnymi przypadkami, lecz jego darowi obserwacji nie towarzyszy dar opowiadania.
- W.K. w Kraju.* — Ocena powieści na podstawie dwóch krótkich fragmentów jest niemożliwa. Fragmenty nie wróżą najlepiej.
- S.R., Francja.* — *Zwierzenia grzecznego chłopczyka* są tak przejrzyste jako aluzja do sytuacji w Polsce, że tracą smak utworu literackiego.
- J.Z., Kanada.* — *Kasia* jest według nas opowiadaniem nieudanym.
- J.D., Malaga (Hiszpania).* — Przesłanych materiałów nie wykorzystamy.
- L.F., Carlsberg (RFN).* — Artykułu „Modelowanie koncepcyjne” nie zamieścimy.
- E.W., Polska.* — Felietonów „Pytania — do kogo?” oraz „Cena rośnie” nie zamieścimy.
- J. i K., Warszawa.* — Radio Wolna Europa jest nastawione na Kraj i odbiór jego audycji jest na Zachodzie bardzo trudny. Voice of America nie jest słyszalny w Stanach Zjednoczonych na skutek zarządzeń administracji amerykańskiej. Dziękujemy za uwagi o *Kulturze*.
- J.W.* — „Nes polin” nie zamieścimy.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1989.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 1974-1989

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1989			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabywcia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA: Zb. Tyszek, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 4882346	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 448 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA 1981-87

Zawiera pełną bibliografię „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” oraz działalności wydawniczej Instytutu Literackiego w latach 1981-87.

Str. 352.

Cena F. 150,00.

TOM 449 — WITOLD BERĘŚ, KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych” ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkim.

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 452 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: J. Lewandowski: *Ludowe Wojsko Polskie*; A. Suchcitz: *Archiwa wywiadu polskiego po 1945 r.*; A. Akuliczew, A. Pamiatnik: *Katyń: potwierdzić czy zaprzeczyć?*; Płk Van Vliet: *Relacja amerykańskiego oficera*; J. Trznadel: *Czarodziejska góra komunizmu — rozmowa z Jackiem Łukasiewiczem (13 lutego 1981)*; J. Tyszkiewicz-Łącki: *Byłem adiutantem gen. Sikorskiego*; K. Dołęga: *Moja służba w armii sowieckiej*; /pk/: *Korespondencje Kazimierza Wierzyńskiego z Białorusi (sierpień 1919)*; J. Kostrowicki: *Dziennik VII batalionu 77 pp AK z operacji wileńskiej, lipiec 1944*; A. Tuszyńska: *Raporty dyplomatów francuskich z Warszawy 1863 roku* oraz bogate działy RECENZJE, POLEMIKI, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 80,00